

WYDANIE SPECJALNE
NA ŚWIĘTA

JAN ROKITA
PRZEPIS NA
NORMALNE ŻYCIE

SZYMAŃSKI
ODPOWIADA NA
WYWIAD ZIOBRZY

BUDZISZ
OBRAZKI Z ROSYJSKIEJ
PROWINCJI

KINDZIUK
MSZA ONLINE: PRAWDZIWA
CZY TYLKO NAMIĄSTKA?

SIECI

Aż
124
strony

W TYM MAGAZYN

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 13 (435) 2021
29 marca–5 kwietnia 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



NASZE ŚLEDZTWO

TAJEMNICA KRZYŻA

GRZEGORZ GÓRNY SZUKA PRAWDY
O LOSACH ŚWIĘTEJ RELIKWII,
NA KTÓREJ UMARŁ JEZUS CHRYSTUS.
WYNIKI REPORTERSKIEGO DOCHODZENIA
SĄ ZASKAKUJĄCE

INDEKS 287593 ISSN: 2544-2694
13
9 772544 269106

SPORTOWE EMOCJE CZY FILMOWA GORĄCZKA?

WYBIERZ OFERTĘ TV Z ULUBIONYMI
KANALAMI OD **30 ZŁ/MIES.**
I DODAWAJ PAKIETY!



TV KABLOWA IPTV | TV INTERNETOWA | TV SATELITARNA



Na start pełna oferta przez

**1 MIESIĄC
BEZ OPŁAT!**

Oferta ważna na dzień 24.03.2021 r. Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Nierealne” © Home Box Office. „Oszustki” © 2020 Home Box Office Inc. LaLiga Santander oraz cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trademarks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved. „Shrek Trzeci”™ & © 2007 Dreamworks Animation LLC.



Niech Światło
Zmartwychwstałego Chrystusa
umocni naszą wiarę w zwycięstwo
dobra nad złem i życia nad śmiercią.
Niech rozproszy mroki naszych czasów.
Niech nas prowadzi
do pokonywania naszych słabości.
Zdrowych, spokojnych,
radosnych świąt Wielkanocy

życzy Czytelnikom
redakcja tygodnika „Sieci”

To teraz zdajemy egzamin

Równy rok temu Polska, Europa i świat stanęły w obliczu niebezpieczeństwa nieznanego od kilku pokoleń: pandemii, która zagraża życiu i zdrowiu milionów ludzi. W niemal każdym kraju społeczeństwa odpowiadały tak samo: pięknymi gestami solidarności, troską o najbardziej narażonych, wsparciem dla służby zdrowia, dyscypliną w realizowaniu zaleceń władz. Dziś, gdy minął rok, coraz trudniej o tego typu postawy. Wiele osób ma poczucie, że ktoś kradnie im spory kawałek życia. Narastają irytacja, zmęczenie, frustracja. Pojawia się lekceważenie przepisów, któremu towarzyszy także wiara, że istnieją ścieżki na skróty, proste i łatwe do zastosowania, za pomocą których można oddalić zagrożenie. Wciąż popularne są też teorie bagatelizujące zagrożenie, bez zwracania uwagi na otaczającą nas bardzo smutną, a chwilami wręcz tragiczną rzeczywistość.

W ciągu ostatniego roku często używaliśmy słowa „egzamin”. Słusznie. Ale tak naprawdę to dopiero teraz ten egzamin zdajemy. Teraz gdy mamy serdecznie dość różnych ograniczeń, gdy płacimy coraz wyższą cenę za kolejne lockdowny. Teraz okazuje się, czy rzeczywiście potrafimy być solidarni, ofiarni, dzielni. Łatwo bowiem o wielkie słowa w sytuacji relatywnie komfortowej. Trudniej o takie postawy, gdy atmosfera gęstnieje, gdy nasze życie uparcie nie chce wracać do tego, co uważamy za normę.

Szansa na normalność wciąż istnieje. Przykłady takich krajów jak Izrael czy Wielka Brytania pokazują, że po szczepieniu ponad połowy populacji można zrezygnować z wielu obostrzeń. Szczepionki generalnie okazują się bardzo skuteczne i bezpieczne. Z naukowego punktu widzenia nasza cywilizacja poradziła sobie z nowym zagrożeniem bardzo szybko. Oczywiście, nie można też wykluczyć czarnego scenariusza, a więc takich mutacji wirusa, które skazą nas na kolejne lata ciężkiej walki. Możliwe, że nasz stary piękny świat umarł na zawsze. Ale oby nie.

Chrześcijańskie święta Wielkiejnocy, zbiegające się z ostatnią być może wielką falą pandemii, to także dobry moment, by przemyśleć to wszystko, co przyniósł nam ostatni rok, zarówno w kontekście osobistym, prywatnym, jak i społecznym. Czy w czasie przed pandemią świat nie pędził za bardzo? Czy my sami nie gubiliśmy zbyt łatwo smaku codzienności, małych radości, relacji z innymi? Czy nie za mało docenialiśmy – i wciąż nie doceniamy – tego, co dostajemy? Bo przecież w perspektywie wieków żyliśmy – i wciąż żyjemy – w świecie wyjątkowo dostatnim, bezpiecznym, przyjaznym, pełnym możliwości. A mimo to w tak wielu sercach gościł smutek. I chyba nie mogło być inaczej, skoro brakowało sensu. Sensu, którego nasza cywilizacja nie odnajdzie, jeśli nie wróci do swoich chrześcijańskich źródeł. 

Jacek Karnowski




58
Głupienie polityki
Stanisław Janecki

65
**Koncert
na trzech aktorów**
Jolanta Gajda-Zadworna

78
**Dziś też jesteśmy
na wojnie**
Dorota Łosiewicz

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **BRZEZIN**
Krzysztof Feusette
- 9** **BADANIE AMANTADYNY**
Dorota Łosiewicz
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12** **MAGICZNA SZTUCZKA TUSKA**
Jan Pietrzak
- 12** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13** **PO TRUPACH DO CELU**
Bronisław Wildstein
- 14** **WALIZKA MARZENY KAWY**
Michał Korsun
- 16** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17** **WSPÓLNOTA DZIEJÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** **NAJGORSZA JEST PRZESADA**
Jerzy Jachowicz
- 20** **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20** **TAJEMNICA KRZYŻA**
Grzegorz Górny
- 24** **MSZA ONLINE – PRAWDZIWA
CZY JEDYNNIE NAMIASTKA?**
Milena Kindziuk

KRAJ

- 28** **BITWA O RZESZÓW**
Stanisław Janecki
- 31** **SZEROKI FRONT GOWINA**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 35** **Z KONRADEM SZYMAŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 42** **Z PROF. IWONĄ PARADOWSKĄ-
STANKIEWICZ**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 46** **BÓG RZEZI**
Aleksandra Rybińska

WIELKANOCNY MAGAZYN

- 50** **BRZDYKIE SŁOWO NA „M”**
Maja Narbutt
- 54** **POCZTÓWKI Z ZANZIBARU,
CZYLI O PRÓŻNOŚCI ELIT**
Konrad Kołodziejski
- 58** **GLUPIENIE POLITYKI**
Stanisław Janecki
- 62** **MAKSZYMA NA CODZIENNOŚĆ**
Jan Rokita

- 65** **KONCERT NA TRZECH AKTORÓW**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69** **MISTRZ NIE TYLKO LEKKIEGO SŁOWA**
Jerzy Biernacki
- 74** **PIRACI Z KARAIBÓW**
Wojciech Łada
- 78** **DZIŚ TEŻ JESTEŚMY NA WOJNIE**
Dorota Łosiewicz
- 81** **EFEKT ŁAZARZA**
Przemysław Barszcz
- 84** **TO NIE JEST KRAJ
DLA ŻYWYCH LUDZI**
Marek Budzisz
- 88** **ŚWIĘTA POD NIEBEM**
Anna Monicka
- 92** **RWA KULSZOWA**
Krzysztof Logan Tomaszewski
- 94** **POSTREWOLUCJA**
Robert Tekieli
- 95** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 96** **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

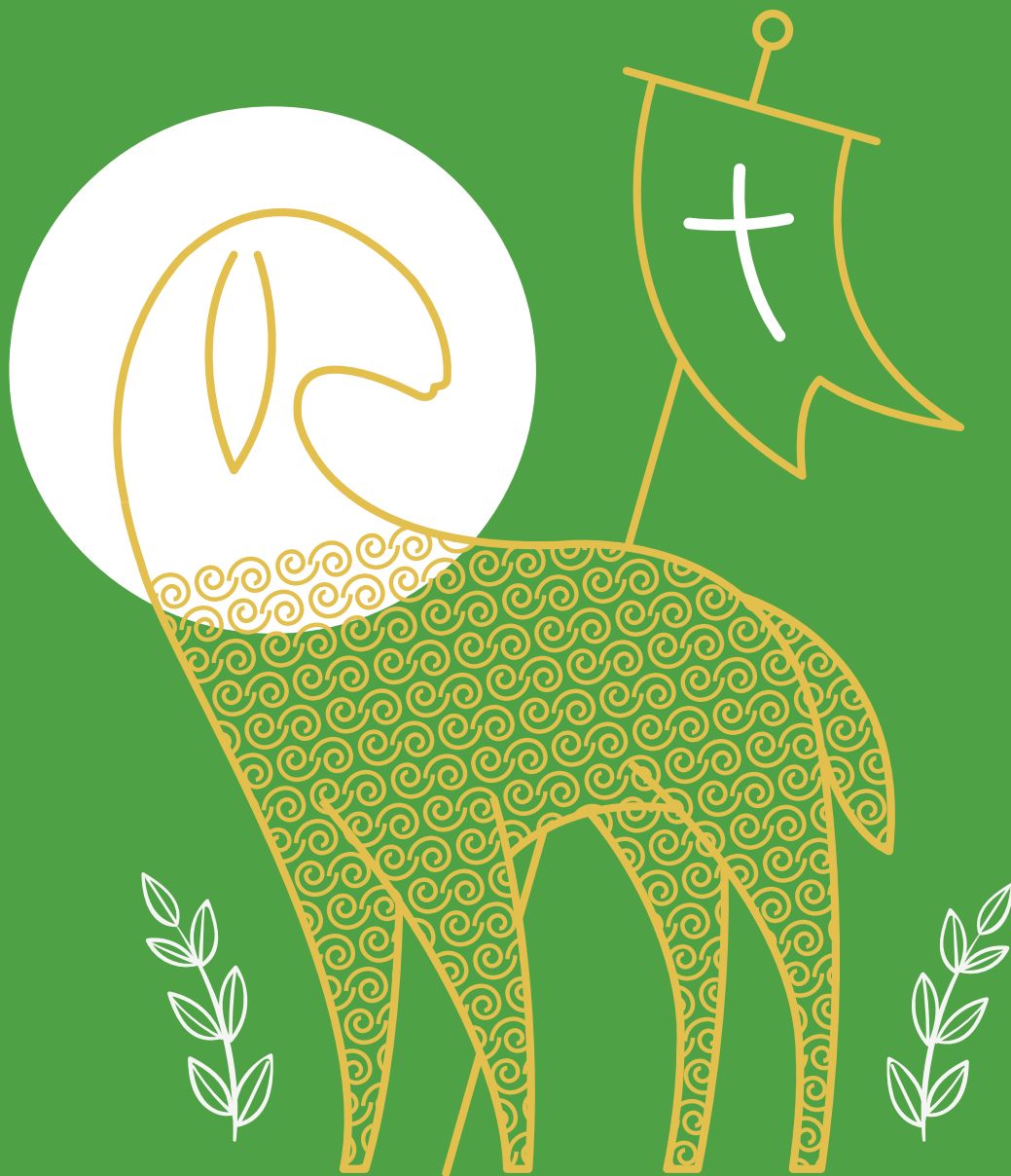
- 98** **Z MARCINEM CHLUDZIŃSKIM**
rozmawiają Michał Karnowski
i Maciej Wośko
- 106** **Z MAKSEM KRACZKOWSKIM**
rozmawia Stanisław Kocot
- 110** **POWTÓRZYĆ HISTORIĘ SUKCESU**
Forum Gospodarcze Polska-Azja
„Zbliżenia” 2021

KUCHNIA

- 114** **MOJE SZLAKI: WIELKANOCNE WYPIEKI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 115** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 116** **BARDZO RÓŻNE RODZINY**
Wojciech Reszczyński
- 118** **AD ASTRA**
Aleksander Nalaskowski
- 119** **PO PYSKU**
Wiktor Świetlik
- 120** **WIELKANOCNE DÉJÀ VU**
Ryszard Makowski
- 121** **TE DWIE LINIJKI...**
Leszek Długosz
- 122** **BAŁAMUTNE MAKSYM**
Andrzej Zybortowicz



*Pełnych spokoju i ciepła Świąt Wielkiej Nocy,
wiosennego nastroju
oraz chwil wytchnienia od codzienności
życzy*



Sygnalista nadaaje

🔊 **Borys Budka** udzielił obszernego wywiadu „Gazecie Wyborczej”. I się zwierzył, że pomyślił powołania ruchu społecznego, który zagospodarowałby wyborców Rafała Trzaskowskiego z wyborów prezydenckich, został rzucony „pod wpływem emocji”: „Rzuciliśmy hasło i potem trzeba się tłumaczyć” – wyjaśniał gorąco i szczerze, bo to był rzeczywiście pomysł bez sensu.

🔊 Budka to lider naprawdę wyjątkowy. Podczas gdy inni przywódcy przekonują, że mają pomysł na cały świat, on wyznaje, że nie ma pomysłu na obalenie rządów PiS: „No tak, ale co można zrobić? [...] To armię mam przejąć?! Zrobić zamach stanu?!” – pyta dramatycznie, dodając, że „wielce wkurzający jest ten brak sprawczości”. W sumie to charakterystyczne dla Platformy, niezależnie od tego, czy jest u władzy, czy w opozycji. Gdy rządziła, też twierdziła, że nic nie da się zrobić z biedą, bezrobociem, emigracją. To takie DNA tej partii.

🔊 Lider PO chciałby też ograniczyć finansowanie wydziałów teologicznych i historycznych na uczelniach oraz zmienić programy nauczania: „To trzeba zabrać z ministerstwa, powołać coś w rodzaju Komisji Edukacji Narodowej złożonej z ekspertów, organizacji pozarządowych, żeby oni się tym zajmowali”. Aha, czyli dzieci ma nam wychowywać Soros. Przy okazji małe sprostowanie: Komisja Edukacji Narodowej to był pierwowzór Ministerstwa Edukacji, a nie jego zaprzeczenie. To są rażące braki w wiedzy historycznej.

🔊 W rozmowie pojawił się wątek Schetyny. Budka dość jasno sugeruje, że były lider PO jest już zbyt stary, by walczyć na pierwszej linii: „To jest pokolenie, które powoli odchodzi z polityki. I Grzegorz chyba tego się boi... On mi kiedyś powiedział, że czuje się jeszcze młody [...]”. Ludzie domagają się nowych twarzy, nowego spojrzenia. Nie tego »dziaderstwa«. W tym wątku doradzamy ostrożność, bo skoro Schetyna jest dziś dziadersem, to już jutro okaże się nim również Borys Budka, urodzony 11 marca 1978 r. w Czeladzi.

🔊 W „Magazynie śledczym Anity Gargas” w TVP1 zaprezentowano nieznane nagrania z rozmowy Donalda Tuska z tzw. polskim akredytowanym w Moskwie Edmundem Klichem. Działo się to 23 kwietnia 2010 r. Tusk mówił m.in.: „Prawdziwe źródło niepokoju w Polsce to jest, czy to zrobili Rosjanie. To są te najgroźniejsze spekulacje [...]” oczekiwania są z reguły naiwne i najbardziej takimi oczywistymi, chociaż nie zawsze racjonalnymi, oczekiwaniami, to pełna transparentność i jak najszybsze zakończenie śledztwa”. Mówiąc wprost, najważniejsze dla niego było oczyszczenie Rosjan i szybkie zgaszenie sprawy. Zdumiewające, jak potwierdzają się nasze intuicje z tamtych lat.

🔊 Najbardziej wstrząsające są jednak słowa Edmunda Klicha, który poleciał do Moskwy bez tłumacza, nie miał żadnego wsparcia prawnego z kraju, a po kilku dniach zabrano mu nawet łączność kryptograficzną. „Ja czuję na sobie wielką odpowiedzialność za to, co robię. Natomiast w tej mojej

🔊
Liderka
tzw. Strajku
Kobiet Marta
Lempart przez
całe miesiące
zwoływała
protesty,
których głównym
przesłaniem było
żądanie prawa
do zabijania dzieci
niepełnosprawnych,
a więc przede wszystkim
dzieci z zespołem Downa.
Gdy jednak nadszedł
Światowy Dzień Osób
z Zespołem Downa, założyła
kolorowe skarpetki i ogłosiła:
„Niech te kolorowe skarpetki
solidarności nie oznaczają:
»jesteśmy z nimi! / jesteśmy
z Wami!«, tylko: »jesteśmy razem,
wśród nas są osoby z ZD!«. Różni, ale
równi”. Jak to ktoś skomentował: to
trochę tak, jak gdyby naziści świętowali
dzień judaizmu. Obrzydliwe.

pracy nie było żadnego zrozumienia osób, z którymi się kontaktowałem” – ocenił polski akredytowany, i jest to w tym kontekście oskarżenie najcięższe z możliwych. Bo potwierdza, że oni zajmowali się PR, a nie katastrofą.

🔊 Tusk sprawę skomentował tak: „Wykorzystują tragedię smoleńską, by przykryć brudy Obajtka. Można upaść niżej?”. W tym wypadku to pytanie retoryczne. Oczywiście, że można. Hańba przedsmoleńska, tragedia smoleńska i kompromitacja posmoleńska są tu najlepszym przykładem.

🔊 W sprawie Obajtka głos zabrał **Szymon Hołownia**: „Panie Jarosławie Kaczyński, niech pan przeprosi za Daniela Obajtka. Niech pan przeprosi za psucie Polski, zniszczenia, jakich dopuścił się pan i pana podopieczny, a potem, jak to mówiły doprowadzone również przez pana do płaczu Polki, proszę się żwawo oddalić”. Ten irytujący manieryzm staje się nie do zniesienia. Niezrealizowani zakonnicy z TVN-owskim szlifem to mieszanka mało strawna.

🔊 Hołownia tradycyjnie już pouczył też biskupów: „Epidemia zabrała już 50 tys. naszych obywateli. Apeluję do episkopatu o wezwanie wiernych do zostania w domach na Wielkanoc i zachęcenie do uczestnictwa w transmisjach nabożeństw”. Wciąż nie rozumiał, że może wygrać wszystkie wybory, ale naszym biskupem nigdy nie będzie?

🔊 Prezydent Andrzej Duda odznaczył Roberta Lewandowskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Nie spodobało się to prof. Magdalenie Środzie. „Lewandowski... coś powyżej kopania nie podskoczy, czasem też wali głową. Oto skutki. Chyba nie pokumał, gdzie był i od kogo odbierał medal, tak jak Duda chyba nie za bardzo kuma, komu je daje, mimo że nie kopie ani nie wali głową w piłkę... w sumie to ciekawe zjawisko, z tym kopaniem i medalami za kopanie, bardzo dziaderskie...”. Jeden wpis, a ile mówi o człowieku i jego złości na cały świat.

🔊 Odznaczenie Lewandowskiego próbowała wyszydzić także posłanka Koalicji Obywatelskiej Iwona Hartwich, stwierdzając: „Nigdy nie przyjąłbym odznaczenia z rąk Andrzeja Dudy”. Tu sprawa jest prosta: absurdałne jest twierdzenie, że kiedykolwiek mogłaby się doczekać choćby wstępnej, sondującej propozycji.

🔊 Robert Lewandowski zagra na Wembley w meczu z Anglikami. Wcześniej wydawało

się, że jednak zostanie w Monachium, ponieważ niemieckie przepisy nakazują 14-dniową kwarantannę w takiej sytuacji, na co kluby nie chciały się zgodzić. Sprawę załatwiła od ręki Angela Merkel po rozmowie z premierem Mateuszem Morawieckim. I dobrze. A przy okazji wyszło na jaw, że w kraju tak demokratycznym jak Niemcy szefowa rządu może naprawdę dużo. Sprawa niby drobna, ale to przecież właśnie w drobiazgach widać siłę władzy.

🔊 Tabloid „Fakt” – zazwyczaj bardzo „światły” i „europejski” – poszedł na skróty i z okładki postraszył Polaków szczepionką AstraZeneca. Opisano historię pani Agaty z Gdańska – nauczycielki, która stwierdziła, że „omal nie umarła”. A redakcja pyta w dramatycznym tonie: „ZAKRZEPY po szczepionce?!”. Zapewne fakt, że tę brytyjsko-szwedzką szczepionkę, która doskonale sprawdziła się w Wielkiej Brytanii, zwalczają Francuzi i po cichu także Niemcy, nie miał absolutnie żadnego znaczenia.

🔊 **Grzegorz Braun** pochwalił się zdjęciem z autokaru jadącego na „wolnościową” manifestację. W środku on, kilkadziesiąt innych osób i ani jednej maseczki na twarzy. „Do zobaczenia za kilka godzin w Warszawie!” – cieszył się Braun. Oby nie w szpitalu. To są ludzie, którzy w czasie II wojny światowej w Londynie zwalczaliby zaciemnienie przeciwnotnicze, argumentując, że „Niemcy i tak wiedzą, gdzie jest miasto”. I nawet gdyby mieli rację, to i tak byłoby to w fatalnym guście.

🔊 „Zdarzają się takie sytuacje, że biologiczny, podkreślam biologiczny mężczyzna, rodzi dziecko. To się zdarza na świecie” – oświadczyła na antenie TVP Info Anna Maria Żukowska. Prowadzący program red. Jacek Łęski najpierw zaniemówił, a później poprosił o konkrety. „To się zdarzyło kilka razy na świecie. Bo to jest osoba z macicą” – wyjaśniła rzecznik SLD. Może i się zdarzają, ale pomysł, by na tych kuriozach budować ład społeczny jest szalony.

🔊 Wiceszefowa klubu Lewicy Monika Pawłowska – czyli nie byle kto po stronie opozycyjnej – dołączyła do Porozumienia Jarosława Gowina. Nie wstąpiła jednak do klubu parlamentarnego PiS i pozostanie posłem niezrzeszonym. „To jedyne ugrupowanie szczerze zainteresowane ponadpartijną współpracą dla dobra Polski” – tłumaczy. Piękne słowa, ale chyba celem jest coś więcej. Czyżby wicepremier Gowin potrzebował lewej nogi, bo myśli o zbudowaniu konkurencji dla Hołowni?



Przepraszam, nie będzie zabawnie. Chociaż o człowieku, który rozba-
wiał innych do łez, a teraz do łez tych
samych ludzi strasznie zasmucił. Odszedł
mój wielki Przyjaciół, a dokładniej: Przyja-
ciół z Tamtych Lat, młodości ani sielskiej, ani anielskiej,
a jednak niezapomnianie pięknej i beztrudnej. Dobrych,
choć raczej niedobrych, kilka lat temu zerwał nam się
kontakt, ale z pewnymi ludźmi nie trzeba się spotykać,
by o nich myśleć. A nawet – z nich czerpać, sięgając
do rozklekotanych szufladek w głowie i sercu, z któ-
rych już nigdy niczego się nie wyrzuci, bo wszystko
może się przydać. A już na pewno sztabki autentycznej
Przyjaźni.

Brzezina – Artura Brzezińskiego – po-
znałem w akademiku przy Krakow-
skim Przedmieściu, słynnej Dzie-
kance, w której kłębiły się energie
studentów szkół artystycznych.
Byli początkujący plastycy, rzeź-
biarze, muzycy, śpiewacy i my,
aktorzy. Były spontaniczne kon-
certy muzyki góralskiej w pokoju
Tola Michałka i jeszcze bardziej
spontaniczne ogniska w poko-
jach (ale i własnoręczne gasze-
nie pożaru wywołanego przez
budowlańców). Było wszystko,
co trudno sobie wyobrazić,
zwłaszcza ludziom, którzy nigdy
nie studiowali, a nawet było więcej.
Ze szkoły aktorskiej odszedłem po
dwóch latach, ale zanim to nastą-
piło, zdążyliśmy się z Brzezi-
nem zaprzyjaźnić na lata znacz-
nie dłuższe. Scalila nas śmierć
wspólnego przyjaciela, malarza
Wojtka Gabrysia, który z innym kumplem, śpiewakiem
Jackiem Wypiórem, zginęli w wypadku samochodowym
równy trzy dekady temu. Oswajaliśmy to żartami, bo tacy
byli też Gabrys i Wypiór. Koronnym numerem na impre-
zach było wykonywanie przez Brzezina piosenki radzie-
ckich marynarzy, zaczynającej się od słów: „Do oddziału
marynarzy/ trafił chłopak wprost na front/ mnóstwo
piegów miał na twarzy/ a na czole loczek blond...”. Nikt,
jak on, nie pokaże, jak wygląda miś na rowerze czy zbla-
zowany kierowca pekaesu. Był Milesem Davisem dow-
cipu i dobrego humoru nawet w skrajnie pesymistycznej
sytuacji. Pobyt na bezludnej wyspie z nim wydawał się
wyjazdem all inclusive (wiem, co mówię, bo po Dziekance
mieszkaliśmy we trzech w małej kawalerce). A przy całej
tej kosmicznej osobowości był też kosmicznie zdolnym
artystą, grafikiem, projektantem. Zawsze pełnym pomys-
łów, z reguły genialnych, które, niestety, często równie
genialnie odbijały się od ściany niemożności, wynikającej
na ogół z braku funduszy „do zainwestowania” w najge-
niałniejszy nawet projekt.

Brzezina



KRZYSZTOF FEUSETTE

Jak choćby ten związany ze zbieraniem
przez całe nasze, czteroosobowe „pueblo”
(więc także z „Bananem” i „Metą”) pudełek po
papierosach, konkretnie czerwonych L&M,
z których kiedyś miała powstać wielka, już
z założenia, artystyczna instalacja. Wiele lat póź-
niej pod strychem w Dziekance odnaleziono po-
kazną liczbę wielkich pudeł z kartonami, uznając
je za dowód istnienia w akademiku... przemysł-
nej kontrabandy. Nic dziwnego, skoro Brzezina
namówił do zbiórki co najmniej kilkadziesiąt
osób, a akcja trwała kilkanaście miesięcy. Ale
perłą w koronie „puebla” była organizacja wesela
dla pary naszych przyjaciół, Ewy i Sławka, których,
jak to studentów, było stać po ślubie jedynie
na obiad dla rodziny. Wspomnienia ula-
tują, ale na 99 proc. jestem pewien, że
wymyślił to Brzezina. Padło hasło: „To
my im zrobimy wesela!”. I zrobiliśmy.
Bez zgody władz uczelni, ba, nawet
bez ich poinformowania (bo szanse
na zgodę były zerowe), w bufecie
PWST, z wielkim udziałem pani
z bufetu, w sobotę późnym wie-
czorem. Weszliśmy na totalny rym-
pał. Po wcześniejszym zaproszeniu
kilkudziesięciu osób, zbiorce kasy
na jedzenie, utrzymaniu wszyst-
kiego w całkowitej konspiracji nie
tylko przed kadrami, lecz i „życzliwymi” ko-
legami, oraz, co nie było bez znaczenia,
samą parą młodą (zostali zaproszeni na
skromne spotkanie w wąskim gronie
godzinę później niż reszta). A potem
zadzwoniliśmy do drzwi uczelni,
w której o tej porze przebywać mo-
gła wyłącznie pani szatniarka. Za-

pytała, co tam robimy o tej porze, a my: „Jak to, pani nic nie
wie? Przecież tu jest impreza dzisiaj!”. Nie było komórek, więc
wpuściła – najpierw nas, „organizatorów z ramienia uczelni”,
a potem zaczęły wjeżdżać głośniki, sprzęt grający, płyty, ciasta,
kanapki, alkohol... Rzecz potwała do białego rana, wliczając
w to czas totalnego zacierania śladów. Dwa dni później kadra
pedagogiczna z rektorem Englertem poznała prawdę. Bukie-
tami kwiatów uratowaliśmy panią z szatni przed utratą pracy,
rektor darował nam kary dyscyplinarne, choć Brzeziniowi i tak
zrobić mógł niewiele. Zwłaszcza że nawet nie wiedział, iż ten,
choć nigdy w PWST nie studiował, jest członkiem piłkarskiej
reprezentacji jego uczelni, gdyż został dopisany do listy przez
kapitana drużyny.

Taki był Brzezina. Cieszył siebie i innych każdym dniem,
człowiekiem, obrazem. Z covidem walczył przez kilkanaście
dni marca i niech piekło pochłonie ludzi, którzy wciąż lek-
ceważą tę straszną chorobę, płując na męczeństwo lekarzy
i cierpienie ofiar. Przyjaciółu z Tamtych Lat, uściskaj Gabry-
sia, Wypióra, Asię... i do zobaczenia, w niebiańskim „pueblo”.
Jeszcze nawywijamy, chłopaku.

Badanie amantadyny

*Zespół pod kierownictwem
prof. Rejdaka wreszcie zacznie
podawać lek pacjentom*

W połowie grudnia minister zdrowia zapowiedział na konferencji prasowej, że będzie badanie kliniczne skuteczności amantadyny w leczeniu COVID-19. Dość szybko było wiadomo, że środki na badanie dostał prof. dr hab. n. med. Konrad Rejdak, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, który już w kwietniu ubiegłego roku informował, że jego pacjenci neurologiczni, którzy przyjmują amantadynę, nie chorują lub chorują skąpoobjawowo na COVID-19. W lutym okazało się, że będzie też drugie badanie kliniczne z udziałem dr. Włodzimierza Bodnara, a przewodniczącym drugiego komitetu naukowego został prof. dr hab. n. med. Adam Barczyk, kierownik Katedry i Kliniki Pneumonologii Wydziału Nauk Medycznych Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Teraz pierwszy z badaczy rozpocznie podawanie leku pacjentom.

„Na szczęście udało się przejść wszystkie procedury i od poniedziałku, wtorku rozpoczynamy badania kliniczne nad amantadyną. To bardzo dobra wiadomość” – powiedział prof. Konrad Rejdak w Radiu Zet. – Chcemy zbadać ten lek, bo mamy liczne doniesienia od pacjentów, że on rzeczywiście może pomóc, ale w takiej najwcześniejszej fazie infekcji. To jest nisza, w ogóle w całej strategii terapeutycznej, bo dla pacjentów we wczesnej fazie choroby nie mamy wiele do zaoferowania” – tłumaczył prof. Rejdak.

Trzeba się cieszyć, że zespół pod kierownictwem prof. Rejdaka wreszcie zacznie podawać lek pacjentom, jednak zupełnie szokuje to, że od chwili ogłoszenia przez ministra Niedzielskiego zgody na badanie kliniczne leku upłynęły już trzy miesiące. W tym czasie doszło do licznych negatywnych wypowiedzi ekspertów z Rady Medycznej na temat leku. Co więcej, Rada przed wynikiem badania klinicznego orzekła o nieskuteczności i niezalecaniu stosowania amantadyny w leczeniu

COVID-19. Eksperci Rady straszili potencjalnymi mutacjami koronawirusa, które miałyby wywoływać podanie leku, straszili też toksycznością i skutkami ubocznymi.

Tymczasem o bezpieczeństwie amantadyny przekonany jest Grzegorz Cessak, prezes Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych. „Tu nie ma gdybienia, musi być twardy dowód na skuteczność. Profil bezpieczeństwa amantadyny też znamy, tu nie ma kwestii oceny profilu bezpieczeństwa” – mówił w Radiu Plus

Cessak. Ta wypowiedź nie pozostawia wątpliwości, że lek jest bezpieczny. Konieczne jest oczywiście udowodnienie jego skuteczności w leczeniu COVID-19, choć wielu pacjentów w tej sprawie nie ma najmniejszych wątpliwości, a ich relacje publikowaliśmy na łamach tygodnika „Sieci”.

W teorii z mutacjami, którą wygłosił prof. Simon, wątpi sam prof. Rejdak. „Lek używany jest od 30 lat i na pewno byśmy dawno wiedzieli o takim zjawisku. Pytanie, czy leczyć, czy nie podawać nic i czekać, aż pandemia sama zniknie?” – pytał neurolog.

I to jest kluczowe pytanie. Wobec gigantycznej fali zachorowań, potwornie trudnej sytuacji w służbie zdrowia i braku innych możliwości Ministerstwo Zdrowia, nie czekając na wynik badania klinicznego, powinno zdjąć reglamentację z jednego z leków zawierającego amantadynę i ułatwić pacjentom dostęp do tego preparatu. Powinno być go w aptekach tyle, by nie brakowało dla osób leczących się na parkinsona ani chorych na koronawirusa. Jeśli resort zdrowia nie chce lub nie może zachęcać lekarzy, by ten lek zapisywali, niech chociaż im tego nie utrudnia i ich nie straszy. Lekarzom warto zaś przypomnieć, że według obowiązującej ustawy o zawodzie lekarza i dentysty: „Lekarz ma obowiązek wykonywać zawód, zgodnie ze wskazaniami aktualnej wiedzy medycznej, dostępnymi mu metodami i środkami zapobiegania, rozpoznawania i leczenia chorób, zgodnie z zasadami etyki zawodowej oraz z należytą starannością”.

Dorota Losiewicz



Rodzina w postępowym duchu USA

Już dwa miasta w stanie Massachusetts zalegalizowały związki poliamoryczne, czyli z więcej niż jednym partnerem. W lipcu ub.r. na taki krok zdecydowały się władze liczącego 80 tys. mieszkańców miasta Somerville. Tamtejszy radny Lande Davis, który przygotował rozporządzenie, przekonywał, że rząd nie ma prawa mówić ludziom, co jest, a co nie jest rodziną. „Definiowanie rodziny to coś, w czym pod względem historycznym pomyliliśmy się jako społeczeństwo i nie powinniśmy już próbować się tym zajmować” – tłumaczył Davis. Wtórował mu radny J.T. Scott, który przekonywał, że „ludzie od zawsze żyli w rodzinach, które mają więcej niż dwóch dorosłych”.

Teraz wzorem Somerville poszło Cambridge. Cambridge jest drugim co do wielkości miastem w Massachusetts, więc jego uchwała ma większą moc. Miasto należy do metropolii bostońskiej i siedzibę ma w nim Uniwersytet Harvarda. Jest to dla jedno z najważniejszych miejsc dla intelektualnej elity USA. Rada miasta przegłosowała uchwałę zmieniającą definicję związku, który dotychczas był określany jako „dwie osoby mieszkające razem”. Nowa definicja mówi o „dwóch albo więcej osobach”,

które nie są spokrewnione więzami krwi. Do uznania takiego związku wystarczy deklaracja bycia rodziną. Zlikwidowano też wymóg, by osoby będące w związku partnerskim mieszkaly razem. Nie muszą też przedstawiać miastu dowodu na to, że pozostają ze sobą w związku.

Przeciwnicy obu poliamorycznych uchwał zwracają uwagę, że są one konsekwencją rewolucji, jaka odbywa się w genderowej polityce. Redefinicja małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety musi bowiem prowadzić do postulatów kolejnych grup domagających się, by uznano ich związki za pełnoprawne.

Nad zmianą prawa w dwóch miastach z Massachusetts lobbowała grupa Polyamory Legal Advocacy Coalition związana z organizacją LGBTQ+ działającą przy Harvard Law School. Ma ona pełne wsparcie Amerykańskiego Towar-

zystwa Psychologicznego, więc w niedalekiej przyszłości można się spodziewać mocnej ofensywy zwolenników legalizacji poligamii w całych Stanach Zjednoczonych. Ostatnie decyzje administracji Joe Bidena w sprawie transseksualistów w armii i szkolnych drużynach sportowych pokazują, że obecna władza będzie ochoczo wspierać kolejne rewolucyjne pomysły środowisk LGBT.

Lukasz Adamski



Fot. Shutterstock

Dwa tygodnie przed zaplanowanymi na 4 kwietnia wyborami parlamentarnymi w Bułgarii krajem wstrząsnęła wielka afera szpiegowska. W jej wyniku aresztowano już pięciu wysokich rangą emerytowanych i czynnych oficerów bułgarskich służb specjalnych, a dwóch rosyjskich dyplomatów zostało uznanych przez Sofię za „osoby niepożądane”.

Na czele rosyjskiej siatki szpiegowskiej stał Iwan Iliew, emerytowany (od 2016 r.) pułkownik bułgarskiego wywiadu wojskowego, którego pochodząca z Rosji żona była łączniczką między nim a rosyjską ambasadą. Iliew w czasie służby wchodził w skład kierownictwa bułgarskiego wywiadu i odpowiadał m.in. za plasowanie agentów poza granicami oraz szkolenie kadr. Udało mu się zbudować sieć pracującą na rzecz Rosji, którą interesowało przede wszystkim Centrum Koordynacyjne NATO w Warnie oraz informacje ze spotkań Sojuszu Północnoatlantyckiego, w tym zwłaszcza te, które dotyczyły Ukrainy i Białorusi. Z Iliewem i jego żoną współpracowali m.in. wysoki rangą urzędnik bułgarskiego ministerstwa obrony, do którego obowiązków

Polowanie na szpiegów

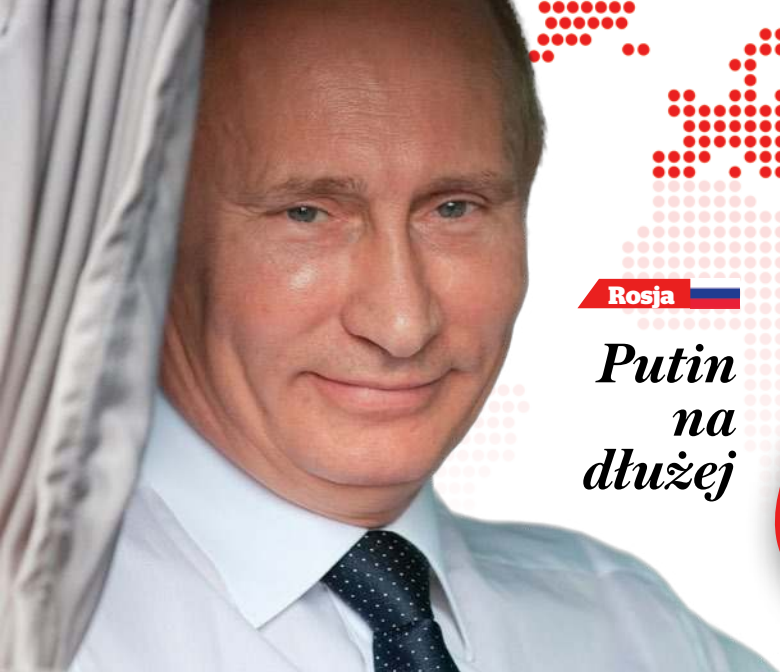
Bulgaria

należały kwestie związane z budżetem sił zbrojnych, oraz czynny oficer służb specjalnych, który odpowiadał za ochronę kraju przed „zagrożeniami hybrydowymi”. Iliewowi udało się także zwerbować oficera wywiadu, w przeszłości attaché wojskowego w kilku krajach Europy Zachodniej,

a obecnie funkcjonariusza odpowiadającego za „wywiadowcze zabezpieczenie” bułgarskiego parlamentu.

Jak poinformował na konferencji prasowej szef bułgarskiego resortu obrony Krasimir Karakaczanow, rozpracowywanie grupy rozpoczęło się we wrześniu ub.r. Bułgarskie dzienniki przypominają przy okazji, że zarzut szpiegostwa na rzecz Rosji postawiono w 2019 r. Nikołajowi Malinowowi, szefowi ruchu społecznego Rusofile, jednemu z liderów partii Odrodzenie Ojczyzny, która otwarcie dąży do zmiany geostrategicznej orientacji Bułgarii na prorosyjską. Premier Bojko Borisow wezwał oficjalnie Rosję, aby ta „przestała szpiegować” Bułgarię, bo tego rodzaju praktyki nie idą, jak powiedział, w parze z deklarowaną przyjaźnią.

Marek Budzisz



Rosja

Putin na dłużej

Duma Państwowa przegłosowała w minioną środę poprawkę do rosyjskiej konstytucji, która pozwala na „wyzerowanie” dotychczasowych kadencji Władimira Putina. Dzięki temu prezydent Rosji, który wyczerpał już swój limit kadencji i w 2024 r. powinien odejść z urzędu, będzie mógł ponownie wystartować w wyborach. Zgodnie z przyjętą poprawką prezydent może pozostawać na urzędzie jeszcze przez dwie sześcioletnie kadencje, a to oznacza, że jeśli będący u władzy od ponad 20 lat Putin zdecyduje się wystartować w kolejnych wyborach, to jego rządy w Rosji mogą potrwać nawet do 2036 r. W ten sposób obecny prezydent ustępowałby pod względem długości panowania jedynie Piotrowi Wielkiemu i odchodząc z Kremla, miałby 84 lata.

Pytanie jednak, czy Putin naprawdę chce tak długo pozostawać u władzy? Pomijając już kwestie zdrowotne, nie jest to do końca kwestią jego woli. System władzy w Rosji jest silnie spersonifikowany, ale oznacza to zarazem, że skomplikowany układ interesów i przywilejów, którego gwarantem jest dziś Putin, mógłby nie przetrwać jego odejścia. Nic więc dziwnego, że skupieni wokół Kremla oligarchowie i wysocy funkcjonariusze reżimu nie są entuzjastami zmian na szczycie. Taka zmiana musiałaby bowiem prowadzić do ponownego podziału tortu, a na to nie wszyscy mają ochotę. Bezalternatywność Putina, która pozwalała mu się utrzymywać u władzy od 2000 r., stała się więc poważną przeszkodą w ewentualnej sukcesji. Na razie nic nie jest przesądzone, choć „wyzerowanie” kadencji pozwala Kremlowi na opracowanie nowych scenariuszy.

Jest jeszcze pytanie o opinię samych Rosjan. Formalnie poprawki do konstytucji (w tym „wyzerowanie” kadencji Putina) zostały zatwierdzone przez większość obywateli w zeszłorocznym referendum. Jednak wyniki głosowania – tak jak w przypadku innych plebiscytów w Rosji – trudno uznać za całkiem wiarygodne. Sondaże przeprowadzone przez niezależne Centrum Lewady wskazują, że 41 proc. Rosjan nie chce wydłużenia prezydentury Putina. I choć to ciągle mniejszość – to trudno jednocześnie nie zauważyć erozji poparcia dla prezydenta, zwłaszcza w obliczu kryzysu wywołanego pandemią i zachodnimi sankcjami. Wygląda więc na to, że nastroje władzy i społeczeństwa coraz bardziej się rozmiągają. Jeżeli więc Putin i jego otoczenie myślą o kolejnych kadencjach, to muszą zatrzymać ten niekorzystny trend. W jaki sposób? Od kilku lat główną metodą przełamywania marazmu była mobilizacja społeczeństwa i zwycięskie wojenki z sąsiadami. Czy i tym razem też tak będzie?

Konrad Kołodziejewski

+ Dania

Jak na tureckim kazaniu

Socjaldemokratyczny rząd w Kopenhadze chce walczyć z radykalizmem islamskim. Wiadomo, że jednym z rozsądników dżihadizmu w Danii (podobnie jak w innych krajach zachodnich) jest część meczetów, w których imamowie głoszą kazania po arabsku, turecku czy persku. Duńskie służby z powodu nieznamości tych języków nie są więc w stanie ocenić, czy treści zawarte w owych wystąpieniach mają charakter ekstremistyczny.

W tej sytuacji władze planują wprowadzenie zakazu wygłaszania kazań podczas nabożeństw w językach innych niż duński. Nie można jednak takiego prawa zastosować tylko wobec społeczności muzułmańskiej, ponieważ byłaby to jawna dyskryminacja tej religii na tle innych wyznań. W związku z tym rząd w Kopenhadze zamierza rozciągnąć ów zakaz także na wspólnoty chrześcijańskie.

Projekt ustawy został oprotestowany przez hierarchów katolickich zebranych na niedawnym zgromadzeniu plenarnym Konferencji Episkopatu Nordyckiego. Gremium to skupia biskupów z Kopenhagi, Helsinek, Sztokholmu, Oslo, Trondheim, Tromsø i Reykjavíku. Zauważają oni, że wielu katolików w Danii to przedstawiciele rozmaitych mniejszości narodowych, którzy uczestniczą w mszach odprawianych w różnych językach, np. angielskim, hiszpańskim czy polskim.

Do wycofania się z planowanej ustawy wzywają też duńskich socjaldemokratów przedstawiciele niemieckich wspólnot protestanckich. Na południu Danii mieszka bowiem liczna mniejszość niemiecka, która w większości wyznaje luteranizm i uczestniczy w nabożeństwach w swoim ojczystym języku. W tej sprawie katolicy i protestanci mówią więc jednym głosem, twierdząc, że przygotowywane ustawodawstwo ograniczy poważnie wolność religijną dużej części chrześcijan w Danii.

Nie jest to jednak problem tylko tego skandynawskiego państwa. Także w innych krajach, np. we Francji, część wprowadzonych przepisów, mająca na celu przeciwdziałanie islamizacji, uderza przy okazji w chrześcijan. Ich prawa są więc poświęcane na ołtarzu walki z muzułmańskim ekstremizmem.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Magiczna sztuczka Tuska

Parę numerów wstecz napisałem w felietonie „Najwyższy czas skończyć z doktryną”, że Tusk jest Polakiem. I to się potwierdza. Redaktor Anita Gargas opublikowała w TVP rozmowę z kwietnia 2010 r. ówczesnego premiera Tuska z „akredytowanym” Klichem. Świadczy ona o wyraźnej niechęci wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej. Dla Polaków jest to postawa niezrozumiała, w skali światowej bez precedensu. Nie zdarzyło się nigdy, by jakiś rząd nie był zainteresowany tragedią swoich obywateli ginących w strasznym wypadku. Istnieją przepisy regulujące współpracę międzynarodową pod tym względem.

W naszej sytuacji są dwie możliwości: konwencja chicagowska ogólnie obowiązująca w lotnictwie cywilnym lub umowa międzypaństwowa z 1993 r. dotycząca wypadków lotnictwa wojskowego. Tu-154 był maszyną wojskową. Według obowiązującego prawa wypadek powinna analizować wspólna komisja obu stron. Żeby się od tego obowiązku wymigać, Tusk z dnia na dzień zmienił status samolotu wojskowego na cywilny, pułk



**Jan
Pietrzak**

rozwiązał, pilotów rozpedził po odległych garnizonach. Zaiste magik z tego Tuska. Fiku-machu i po strachu! Samolot wylatujący z załogą oficerów po kraksie w Rosji stał się cywilny. Był to warunek konieczny, aby Rosja mogła w pełni przejąć śledztwo, wrak i wszelkie dowody na wieczne czasy. Konwencja takiej sytuacji nie przewiduje. Więc żeby nie utrudniać pracy błyskotliwej komisji MAK, z obowiązującej konwencji wybrano załącznik 13. Ten jeden, wyrwany z kontekstu, przepis stał się formalną podstawą dalszych przestępstw, jakie popełniono wobec ofiar katastrofy. Ofiarami są polscy obywatele, w tym para prezydencka, ale również państwo polskie, potraktowane jak „priwisliskij kraj”. Zarządził to ówczesny premier. W sensie moralnym stracił status Polaka. W sensie prawnym powinien być oddany pod sąd.

Naturalnie, moja wiedza jest powierzchowna, dogłębnej analizy wydarzeń powinni dokonać specjaliści, osądzić uczciwi sędziowie. Ja jedynie w odruchu niezgody na smoleńskie oszustwa rozsiewam felietonowe wątpliwości... Dubito ergo sum. 

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Barwa ma znaczenie

Jak przestaje się być legendą? To proste. Wystarczy, zamiast przyznać się do złego zachowania, atakować tych, którzy je wypominają, jako argumentów używać zamiast faktów politycznej poprawności. I tym razem nie będzie o Lechu Wałęsie, ale o Stevenie Gerardzie. Dla tych, którzy znają Wałęsę, a nie znają Gerarda: to wielki piłkarz był, najwybitniejszy być może angielski pomocnik w historii, genialny i charyzmatyczny. Dziś trener szkockiej drużyny Glasgow Rangers.

Niedawno w meczu Ligi Europy Rangersów wyeliminowała z rozgrywek Slavia Praga. Piłkarze drużyny Gerarda byli wyjątkowo brutalni. Jeden z nich, czarnoskóry Kemar Roofe, celowo (co podkreślała nawet hiperpoprawna politycznie „Wyborcza”) kopnął w twarz czeskiego (białego) bramkarza, którego w ciężkim stanie odwieziono do szpitala. Roofe obraził się, kiedy z czerwoną kartką wyleciał z boiska. Potem podobny los spotkał jego kolegę (także niebiałego) Leona Baloguna.

Wspominam o kolorze skóry nie dlatego, żeby dać upust swoim rasistowskim uprzedzeniom i w żadnym wypadku nie zamierzam stawiać tezy, że jak Murzyn, to musi być chamskim barbarzyńcą. Wszyscy wiemy, że i biali w tej dziedzinie mają swoje zasługi. Jednak tym razem barwa ma znaczenie.

Kiedy Rangersi przegrali ze Slavią, kartę rasizmu wyciągnął rozsierzdony Steven Gerard. Wraz z kolejnym swoim czarnoskórym piłkarzem Glenem Kamarą zaprosili do jednego z pomieszczeń czeskiego (białego) piłkarza Ondřeja Kúdela i jego trenera, po czym Kamara walnęła Kúdela pięścią w twarz. Ponoć dlatego, że piłkarz praskiej drużyny podczas meczu nazwał swojego przeciwnika z Glasgow „pieprzoną małpą”. Kúdela zaprzeczał. Twierdził, że określił go „pieprzonym facetem”, co też było niegrzeczne, ale już nie rasistowskie.

Jak było naprawdę, nigdy nie ustalimy. Jednak do takiej eskalacji chamskiego nie doszłoby przed Black Lives Matter. Dziś każde oskarżenie czarnego wobec białego jest przyjmowane bez dowodów, na wiarę, bo wiadomo, że źródłem opresji jest rasa kaukaska, a Murzyni są zawsze szykanowani. I każdy biały oskarżony o rasizm musi być natychmiast przykładowie ukarany. Zgodnie z regulaminem BLM, punkt 1: Czarny jest zawsze niewinny. Punkt 2: Kiedy czarny jest winny, patrz punkt 1.

Na koniec dla porządku zaznaczmy: pierwszą z dwóch bramek dla Slavii w meczu zdobył ciemnoskóry pomocnik Peter Olajinka.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl 



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Po trupach do celu

Oburzenie po wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził, że rząd Borysa Budki odpowiada za brak przygotowania rezerwowych szpitali na czas pandemii, nie ustaje. Sądy rozpatrują kolejne pozwy obywateli, którzy poczuli się obrażeni pomawianiem wybranych przez siebie władz. Zgodnie z powszechnym odczuciem lider PiS tym razem się nie wybroni.

– Gdyby był przy władzy, pewnie zorganizowałby szpital na Stadionie Narodowym – rzucił w TVP minister zdrowia Sławomir Neumann, co pomimo niewesołej sytuacji wywołało salwę śmiechu. Minister finansów Stanisław Gawłowski potwierdził, że otwieranie nowych szpitali nie przyniosłoby żadnych korzyści w związku z brakiem personelu medycznego. – Oskarżani bywamy nawet o emigrację lekarzy, która, zwłaszcza w ostatnich latach, jest faktem. Czy znaczy to, że PiS zakazałoby im przeniesienia się do innego regionu wspólnej Europy? – podsumował Gawłowski.

Cykl programów w TVP „W obronie praw człowieka” dowodzi, że elementy programu opozycji wymierzone są bezpośrednio w fundament prawny Unii Europejskiej. To do tego odwołuje się pozew stowarzyszeń sędziów polskich Iustitia i Themis, które domaga się delegalizacji PiS. „Jeden z głównych punktów programu wskazanej partii, czyli powstrzymanie emigracji zwłaszcza dobrze wykształconych Polaków, wymierzone jest w prawo do wolności poruszania się i osiedlania, które jest elementarnym prawem człowieka” – czytamy we wzmiankowanym pozwie. Sprawę rozstrzygnie sąd w składzie: przewodniczący Igor Tuleya oraz członkowie: Wojciech Łączewski i Beata Morawiec. Wniosek o wyłączenia tej ostatniej jako szefowej stowarzyszenia, które wytoczyło sprawę, został odrzucony jako godzący w sędziowską niezawisłość.

Tłumaczenia liderów PiS, że chodzi o poprawę warunków bytu, co emigrację by powstrzymało – mało kogo przekonuje. „Ludobójstwo Żydów poprzedzone było wezwaniami do ich separacji, co także motywowano ich dobrem” – przeczytać możemy we wstępie „Wyborczej”. Prezes Trybunału Konstytucyjnego Adam Bodnar zadeklarował, że kierowana przez niego instytucja gotowa jest rozstrzygnąć, czy zgodne z duchem konstytucji jest funkcjonowanie ugrupowań politycznych, które kwestionują prawa człowieka.

Konferencja prasowa partii Kaczyńskiego została solidarnie zbojkotowana przez wszystkie media. Pojawili się tam wyłącznie dziennikarze pisowscy. Jak ogłosił prezes TVP Tomasz Lis: „Żadne szanujące się medium, a już zwłaszcza



telewizja publiczna, nie może przykładać ręki do tego typu hucpy, która usiłuje wykorzystać światowe nieszczęście dla swoich lokalnych partyjnych interesików”.

Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich wydała oświadczenie, w którym potępia wykorzystywanie globalnej tragedii do partyjnych celów. Poparły je stowarzyszenia twórcze, znaczące centra kulturalne oraz autorytety nauki i sztuki. Karierę robi twitt Donalda Tuska: „Wyobraźmy sobie, że władzę sprawuje PiS”.

Ośrodki opiniotwórcze uznają, że rząd Budki daje sobie radę nadspodziewanie dobrze w tym trudnym czasie, o czym świadczy choćby to, że stopa zakażeń i zgonów jest w Polsce niewiele wyższa niż we Francji, a dysproporcja finansowa i organizacyjna między naszymi krajami jest przecież niekwestionowalna. Ten proporcjonalnie niezły obraz psuje nieco zapóźnienie w szczepieniach, co sytuuje nas w ogonie Europy, ale trzeba być zaślepionym nienawiścią do demokratycznie wybranych władz, aby nie dostrzegać obiektywnych okoliczności, które ten stan rzeczy powodują.

Jedyną sensowną propozycję jego poprawy zgłosił w TVN koalicjant PO, lider partii Polska 2500 Szymon Hołownia, który jako katolik zażądał, aby na czas pandemii kościoły zamienić w szpitale. Kościół powinien także zadbać o personel medyczny i pokryć wszelkie jego koszty.

Zainicjowana przez Jurka Owsiaka i Kubę Wojewódzkiego internetowa akcja „Po trupach do celu”, w którym zarówno znani artyści, jak i debiutanci nagrywają filmiki ilustrujące zerowanie Jarosława Kaczyńskiego i jego partii na pandemię, zyskała niezwykle szeroki odzew i, jak wskazuje jury, doprowadziła do stworzenia wielu interesujących małych form artystycznych. Nieoficjalnie wydaje się, że największe szanse na wysoką wygraną (anonimowy fundator tłumaczy, że powodowała nim obywatelska odpowiedzialność i dlatego z powodu przyzwoitości nie ujawnia nazwiska) ma klip Kazika „Prezes liczy trupy”.

Agnieszka Holland zaprosiła paru wybitnych twórców do wspólnego przedsięwzięcia. Ma to być seria filmów o faszyzmskim zamachu stanu, który staje się możliwy z powodu szoku społecznego wywołanego przez epidemię.

Parlament Europejski wydał rezolucję potępiającą PiS za nieodpowiedzialne wykorzystywanie tragedii zdrowotnej do politycznych celów.

Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Marzeny Karwy

dziennikarki i prezenterki telewizyjnej

Podróżowanie i poznawanie nowych miejsc to moja druga natura. Dlatego, gdy tylko mogę, korzystam z okazji, żeby gdzieś wyjechać. Ale zanim wsiądę do samochodu, pociągu czy samolotu, najpierw planuję każdy szczegół podróży. Jako dobry organizator tworzę listę tego, co powinno się znaleźć w walizce. Na pierwszym miejscu są przewodniki, dzięki którym wiem, jakie zabytki, muzea, restauracje odwiedzić, bo podróżuję też kulinarnie. Uwielbiam jeść i tam, gdzie jestem, muszę spróbować regionalnych przysmaków, bez względu na to, czy jest to Podlasie czy Portugalia.

KREM

Zwykle gdy wyjeżdżam, to staram się nie malować, żeby moja skóra odpoczęła od telewizyjnego make-upu. Podstawą jest dobre nawilżenie skóry.



ODŻYWCZE MASECZKI DO TWARZY

Wyjazd to także okazja, żeby o siebie zadbać. Choć opakowania wyglądają bardzo apetycznie, ich zawartość nie jest jadalna.

SPORTOWE OBUWIE

Szpilki zostawiam w pracy, w domu zakładam bardzo wygodne buty. Podczas wyjazdów sportowe obuwie to must have mojej walizki i pasują nawet do eleganckiej stylizacji, fajnie ją przełamując.



APARAT FOTOGRAFICZNY

Uważam, że to zdjęcia, a nie filmy są najpiękniejszą pamiątką z każdej podróży. Zatrzymać moment, łapać te chwile pozwala mi właśnie aparat fotograficzny. Oprócz zabytków portretuję napotkanych, ciekawych ludzi.



KIJKI DO NORDIC WALKINGU

Podczas nordic walkingu moja głowa odpoczywa. To są dystanse ok. 8 km dziennie. Jest to doskonały sport, bo uruchamia wiele mięśni. Podczas godzinnej marszu możemy spalić nawet do 2 tys. kalorii.

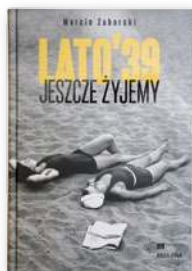




STRÓJ KĄPIELOWY

Ponieważ mam duszę bardzo usportowioną, zawsze wybieramy hotel, który posiada basen albo jest blisko niego.

Woda mnie bardzo odpręża w każdej formie. To może być jezioro, rzeka albo morze, ale staram się, żeby basen zawsze gdzieś był pod ręką, żeby móc o siódmej rano aktywnie rozpocząć dzień.



LEKTURA

Po całym dniu wrażeń dobra książka do łóżka to podstawa. W podróże zabieram te, których jeszcze nie zdążyłam przeczytać, a które napisali np. moi przyjaciele. Bardzo lubię książki historyczne, obecnie czytam te dotyczące II wojny światowej.

CZARNA TOREBKA

Bardzo ją lubię za wielofunkcyjność. Ma specjalną rączkę, co nadaje jej elegancki charakter przy wieczorowej sukience. Przy zawieszeniu na ramieniu daje jej sportowy klimat i pasuje do dziennej stylizacji.



CZEKOLADA

Zawsze ją mam w torebce lub walizce. Przede wszystkim taką, która ma dużo kakao, bo jest najzdrowsza. Poprawia nastrój, świetnie regeneruje i uzupełnia niedobory energetyczne. Do tego świetnie pasuje do kawy, a nazwisko zobowiązuje.

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY

Nie ma złej pogody, jest tylko niewłaściwe ubranie. Bardzo lubię to przysłowie, dlatego zawsze zabieram ten płaszcz, który pasuje do każdego ubioru, bo jest przezroczysty.



SMARTWATCH

Pozwala mi kontrolować liczbę kroków, którą robię w ciągu dnia. Minimum to 8–9 tys. dziennie. Tutaj nie jest istotny czas, w jakim pokonało się ten dystans, lecz aktywność sama w sobie.



SZMINKA

Ponieważ każda kobieta musi mieć szminkę, zabieram swoją, ulubionej marki z moim ulubionym kolorem pasującym absolutnie do każdej stylizacji.



PALETA CIENI

Nie maluję się na co dzień, ale na wieczorną kolację mam obowiązkowy zestaw do zrobienia dobrego make-upu.



SUKIENKA

Nawet gdy wyjazd ma charakter sportowy, w walizce musi być miejsce na coś eleganckiego, co mogłabym włożyć wieczorem na spacer czy kolację.

PRZEWODNIKI

Pozwalają przygotować się dobrze do podróży i na miejscu oszczędzają sporo czasu. Zawierają informacje nie tylko o zabytkach, lecz również o miejscach, w których urodzili się sławni ludzie. Dzięki dobremu przewodnikowi można odkryć nieznane fakty dotyczące najpopularniejszych atrakcji turystycznych.



PRZEKĄSKI

Staram się żyć zdrowo i zwracać uwagę na to, co jem. Zawsze mam przy sobie zdrowe przekąski, a suszone owoce chyba są najlepsze i w podróży najlepiej się sprawdzają.

Wysłuchał i zapisał: Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Kosmitka Edzia



Choć od minionej soboty w kościołach może przebywać jedna osoba na 20 mkw. przy zachowaniu 1,5 m odległości pomiędzy wiernymi, to politycy Lewicy i KO domagają się bezwzględniego zamknięcia świątyni na Wielkanoc. Nie podoba się im, że przed podjęciem decyzji rządzący zasięgnęli opinii hierarchów Kościoła. „Szkoda, że tak nie negocjowaliście z restauratorami czy właścicielami klubów fitness, gdy zamykaliście ich biznesy” – pohukiwał Krzysztof Śmiszek, poseł i partner czerwonowłosego Biedronia. Zaprzeczył temu minister Łukasz Schreiber, podkreślając, że konsultacje odbywały się również z przedstawicielami poszkodowanych przez restrykcje branż. Nie od dziś wiadomo, komu przeszkadzają święta Zmartwychwstania Pańskiego. Tym, którzy jeszcze w listopadzie i przed Bożym Narodzeniem mimo pandemii namawiali do gromadzenia się na ulicach celem obrony zabijania nienarodzonych dzieci. Czyli zabójstwo tak – na ulicę!, a Zmartwychwstanie – siedzieć w chałupach przy zamkniętych kościołach. Zaprawdę, powiadam wam, trudno znaleźć lepszą definicję filozofii śmierci.

Jak przyciągnąć i zadowolić klientów, gdzie najlepiej szukać »pracodawców«, co zrobić, gdy zostanie się złapanym na posiadaniu narkotyków” – to tylko kilka wskazówek zawartych w poradniku dla prostytutek, wydanym w 2019 r. przez FemFund, organizację finansowaną m.in. przez Fundację Batorego i organizację George’a Sorosa. Jeszcze dwa lata temu w radzie konsultacyjnej tej fundacji zasiadali nie kto inny, tylko zagorzały zwolennik zamykania w święta kościołów – Krzysztof Śmiszek z Wiosny i europosłanka Sylwia Spurek. Wydany w 2019 r.

instruktaż dla kobiet zawodowo lekko-myślnych nosi oficjalną nazwę „Doświadczalnik”. W podtytule natomiast wyjaśniono ideę tego poradnika: „Jak pracować seksualnie [po polsku dotąd mówiło się „prostituować” – przyp. red.] w sposób bezpieczny, świadomy i satysfakcjonujący”. Otóż, panie Śmiszek i pani Spurek, odpowiadam: takich cudów nie ma. Nie da się w branży sprzedaży za pieniądze własnego ciała pracować „w sposób bezpieczny” (zawsze może się trafić jakiś zboczeniec), nie wspominając o satysfakcji. Podczas wiosennego spaceru szybciej można spotkać białego kruka na gałęzi niż zadowoloną ze swojej pracy i szczęśliwą prostytutkę.

Zawsze czułam, ale nie miałam jakby wiedzy na ten temat, a teraz zgłębiłam tę wiedzę i absolutnie nie mam wątpliwości” – powiedziała ostatnio piosenkarka Edzia Górniak, zapewniając, że UFO istnieje. Nasza Edzia całkiem niedawno szokowała również swoim cyklem „Opowieści covidowych”. Jej zdaniem w szpitalach leżą statystyki, a jeśli szczepienie przeciwko koronawirusowi będzie obowiązkowe, opuści kraj. Ale wracając do kosmitów, jej zdaniem: „W naszej przestrzeni galaktycznej są różne cywilizacje wyższe, bardziej rozwinięte od nas i takie, które chcą nas wspierać, bardzo kochają ludzi, są gotowe pomóc i też inne, które może nie do końca kochają ludzi jako istoty boże, może z zazdrości, nie wiadomo...”. Słowami tymi nieświadomie albo świadomie, nie wiem, nawiązała do spotkania w marcu 2019 r., w Krośnie. To tam w ramach Klubu Obywatelskiego Lech Wałęsa zwrócił uwagę na zagrożenia dla Ziemi ze strony cywilizacji zamieszkujących inne galaktyki. „Na innych galaktykach są (cywi-

lizacje) na trzy razy wyższym poziomie rozwoju intelektualnego. My jesteśmy najniższe” – powiedział były prezydent i ostrzegł przed tym, co mogłoby się stać, gdyby Ziemię odwiedzili kosmici. Prof. Sławomir Cenckiewicz, badacz życiorysu Wałęsy, twierdzi, że w jednej z notatek o Wałęsie z 1981 r. przeczytał, że już w okresie służby wojskowej wierzył w pozaziemskie cywilizacje. A może to UFO, a nie żaden „Bolek”? Trzeba zapytać Edzię.

Naukowcy: Helen Pluckrose, badająca teksty religijne na temat kobiet z okresu średniowiecza, dr Peter Boghossian, będący filozofem, oraz dr James Lindsay, matematyk, przeprowadzili prowokację. Była ona wymierzona w najważniejsze czasopisma z obszaru gender studies. Naukowcy ci stworzyli 20 publikacji, które oparli na całkowicie fikcyjnych historiach. Były to np. „zmyślane obserwacje dotyczące krycia suczek przez psy w parku jako dowód na to, że parki to miejsca sprzyjające seksizmowi oraz – w innym artykule – teza, że rzadkość wykorzystywania dilda przez heteroseksualnych mężczyzn wynika ze strachu przed homoseksualizmem i transseksualizmem”. Publikacje wydrukowano w poważnych naukowych czasopismach (sic!) celem wszczęcia debaty nad poruszonymi problemami. Problem polega na tym, że na prowokację złapały się nie czasopisma trzeciorzędowe o opinii pseudonaukowych, lecz wręcz przeciwnie. Pierwsza liga. Zdaje się, że metodologiczny kryzys w psychologii staje się powoli faktem.

Andrzej Rafał Potocki

Wspólnota dziejów

W minionym tygodniu Andżelika Borys, prezes Związku Polaków na Białorusi, została zatrzymana, a dzień później skazana na 15 dni aresztu za organizację „nielegalnej imprezy masowej”. Za taką władze uznały doroczny jarmark odpustowy Grodzieńskie Kaziuki. W Dniu Wolności Białorusi pozbawiono wolności dziennikarza i działacza ZPB Andrzej Poczobuta. Zabrano go z domu i wywieziono w nieznanym kierunku. W prywatnych mieszkaniach i siedzibie polskiego związku przeprowadzono rewizje. To symboliczna data, zważywszy na ogłoszoną w lutym inicjatywę prezydenta Łukaszenki, by 17 września, dzień kojarzony jednoznacznie z sowiecką agresją na Polskę, ustanowić świętem narodowym Białorusi.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

11 lat temu mniejszość polska na Białorusi również padła ofiarą represji władz. Prezydent Lech Kaczyński skierował wówczas list do prezydenta Łukaszenki, a swoje działania komentował słowami, które nie straciły na aktualności i dziś: „Bronimy społeczeństwa obywatelskiego, w którym jest miejsce dla mniejszości narodowych i opozycji, której prawa są na Białorusi naruszane. Chcę wezwać Unię Europejską do solidarności, która jest naszym rodakom i tym wszystkim, którzy chcieliby zmian na Białorusi, bardzo potrzebna”.

Dziś do społeczności międzynarodowej apelowali zarówno premier, jak i prezydent RP. Pozbawienie wolności polonijnych działaczy to kolejny przejaw skierowanej przeciwko Polsce polityki obecnych władz Białorusi, wycelowanej w przeciwstawienie sąsiadujących ze sobą narodów. A warto pamiętać, że z naszymi wschodnimi sąsiadami łączy nas historia, która niepodważalnie integruje nasze narody.

Przez ponad 400 lat Polska, Białoruś i Litwa tworzyły państwo, za którego początek można uznać unię w Krewie w 1385 r., i które istniało aż do rozbiorów. Tworzyliśmy wspólne terytorium, zasady polityczne oraz wielobarwną kulturę. Na ziemiach dzisiejszej Białorusi żyli Tatarzy, Karaimi, kalwini i bracia polscy oraz liczna społeczność Żydów. Uznawany za bohatera trzech narodów Tadeusz Kościuszko wywodził się ze spolonizowanej białoruskiej rodziny. Powstaniec styczniowy Konstanty Kalinowski, uroczyscie pochowany w 2019 r. na wileńskiej Rossie wraz z kilkunastoma innymi współtowarzyszami broni, to bohater zarówno polski, jak i białoruski, którego rolę historyczną negują obecne białoruskie władze, ale czci jego pamięć opozycja. Stanisław Moniuszko, nazywany ojcem polskiej opery narodowej, należący do najwybitniejszych polskich kompozytorów, jest szczególnie upamiętniany także na Białorusi. Ballady urodzonego we wsi Zaosie Adama Mickiewicza to w znacznej części utwory inspirowane białoruską twórczością ludową. „Nad Niemnem” Elży Orzeszkowej rozgrywa się w okolicach Grodna, w którym mieszkała, została pochowana i ma swój pomnik. Dziś poza historią łączy nas także jeden z najważniejszych skarbów dziedzictwa naturalnego, którym jest Puszcza Białowieska.

Na ziemiach białoruskich istnieją zabytki ważne z punktu widzenia naszej wspólnej historii. Stary Zamek w Grodnie na brzegu Niemna był siedzibą polskich królów. W jego murach zmarli Kazimierz Jagiellończyk i Stefan Batory, a w czasach wspólnej państwowości obradowały w nim sejmy. W Nowym Zamku, który podobno stanowił ulubioną rezydencję króla Stefana Batorego, w 1793 r. odbył się ostatni sejm Rzeczypospolitej po drugim rozbiorze. Wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO zamek w Mirze był przez 300 lat własnością Radziwiłłów – podobnie jak figurujący również w wymienionym spisie zamek w Nieswieżu, który dziś stanowi białoruski narodowy pomnik historii i kultury.

W XX w. na ziemiach Białorusi przyszli na świat słynny malarz Mark Chagall, prezydent Izraela Szimon Peres (urodzony jako Szymon Perski). W 1942 r. w Machowie urodziła się Maria Mackiewicz, pierwsza dama RP. 27 września 1942 r. została ochrzczona w kościele św. Andrzeja Apostoła w Kobylniku, w którym od trzech lat znajduje się tablica upamiętniająca to wydarzenie. Dziś wieś, w której przyszła na świat moja Mama, nazywa się Narocz, a w miejscu, gdzie stał dom moich dziadków, pozostały jedynie zarośnięte lasem ruiny i fundamenty.



Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

TERESY MAJCHRZAK

*matki dziewiętnastoletniego wówczas Piotra Majchrzaka,
śmiertelnie pobitego przez ZOMO w czasie niepodległościowej
demonstracji w Poznaniu w maju 1982 r.*

*Szczególnym powodem do żalu jest dla mnie bolesny fakt,
że pomimo trwających wiele lat starań matka zamordowanego
nie doczekała się sprawiedliwego osądzenia zbrojczy jej syna.*

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

30/03/1/F

Pytania w zanurzeniu

Z aktorką **Lidią Pronobis** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Na platformę VOD Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy trafił spektakl „Jezioro”. Trzy nurkujące kobiety chcą w nim pobić rekord świata. Czy tylko o to im chodzi?

Lidia Pronobis: Nie bez przyczyny zagłębiłyśmy się – wraz z Heleną Ganjalyan i Agatą Różycką (aktorkami) oraz reżyserką Darią Kopiec – w tekst Zuzanny Bojdy. Ekstremalny sport, który uprawiają bohaterki, zmusza do przekraczania kolejnych granic, mierzenia się z własnymi siłami. To też trochę igranie z absolutem, ze śmiercią, z Bogiem.

„Jezioro” trafia cyfrowo do widzów w szczególny czas. Naznaczony zarówno kolejnym zamknięciem teatrów, jak i przygotowaniami do najważniejszych chrześcijańskich świąt.

Nie bez znaczenia jest to, że spektakl powstał w ramach Nowych Epifaniów. To festiwal organizowany przez Teatr Dramatyczny

i Centrum Myśli Jana Pawła II. W lipcu 2019 r. uczestniczyłyśmy (trzy aktorki i reżyserka) w warsztatach, wykładach i spotkaniach z ekspertami z różnych dziedzin – religioznawstwa, kulturoznawstwa, historii, psychologii... Ważne okazało się też miejsce.

To znaczy?

Spotkania odbywały się w miejscowości Marózek położonej tuż nad jeziorem Maró. Mimo załamania aury ciągnęło nas do wody. Wkrótce odkryłyśmy, że ludzie też w niej nurkują. Parę miesięcy później powstał tekst „Jeziora”. W wodzie się nie mówi, co nie zmniejsza siły napięcia i wagi pytań stawianych przez bohaterki sobie i innym.

Dostęp online do „Jeziora”:

<https://online.teatrdramatyczny.pl/>
Bilety – 20 zł



Najgorsza jest przesada

Jak zwykle w tym miejscu zamieszczamy od czasu do czasu materiał tygodnika „Peryskop Parlamentarny” („PP”). Tym razem przynosi sensacyjną wręcz wiadomość.

„W sposób naturalny staramy się być sojusznikami działań naszych kolegów dziennikarzy z innych mediów. Tak traktujemy swoją rolę. Jednakże poczucie wspólnoty nie może naruszać granic prawdy. Zwłaszcza jeśli odstępstwo od niej w sposób oczywisty skrzywdzić może drugiego człowieka. Z przykrością informujemy, że jedna z gazet próbowała nasze środowisko naukowe, molekularnych fizyków kwantowych, z którym jesteśmy związani, wykorzystać w intrydze o posmaku politycznym.

Jedna z codziennych gazet centralnych, znając naszą specjalność, zwróciła się do »PP« z prośbą o naukowe potwierdzenie zdobytej przez nich pokątnej informacji, wedle której – uwaga! – Daniel Obajtek jest nieślubnym synem Jarosława Kaczyńskiego!

Ktoś z teje gazety musiał wiedzieć, że dwóch naszych redakcyjnych kolegów jest zatrudnionych na etatach na UW, w pracowni Molekularna Identyfikacja Obiektów Rucho-



Jerzy Jachowicz

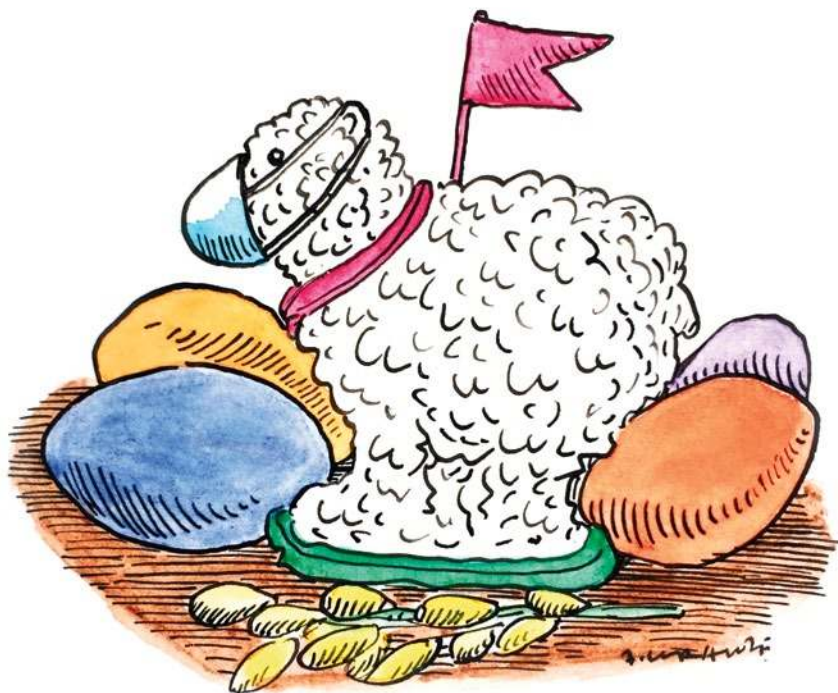
mych. Proszący zdawali sobie sprawę, że ze względów prawnych nie mają możliwości zbadania DNA swoich bohaterów, którzy od kilku tygodni są obiektem ich napastliwych ataków.

Dla rzetelności naukowej zdecydowaliśmy się na przeprowadzenie badań – ale też z myślą, aby raz na zawsze przeciąć ponurą pogłoskę, jeśli okaże się fałszywa – wiedząc, jak nieodwracalne skutki polityczne może ona przynieść. Za pomocą teleskopowej mikroczołowej aparatury dokonano utrwalenia tzw. poświaty molekularnej Daniela Obajtka i Jarosława Kaczyńskiego. Rozbieżności tych dwóch »obiektów« okazały się tak duże, jakby każdy pochodził z innej planety. O żadnym pokrewieństwie mowy być nie mogło. W przekonaniu, że to zamyka sprawę, wynik przekazaliśmy kolegom z dziennika.

Ku naszemu zdumieniu niedawni petenci zażądali od nas, abyśmy w najbliższym numerze tygodnika opisali nasze badanie, a jego wynik opatrzyli wątpliwościami. Zakazano nam też podawania informacji, kto nas prosił o weryfikację pogłoski.

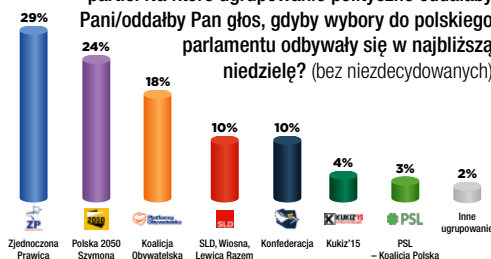
A oto nasza odpowiedź: Bez przesady, panowie. Bez przesady.”

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

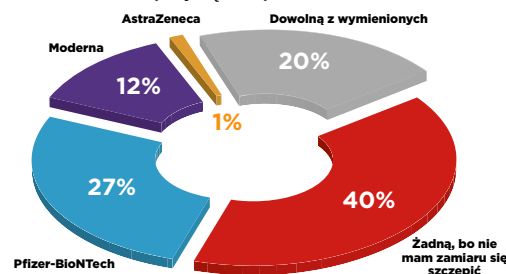


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

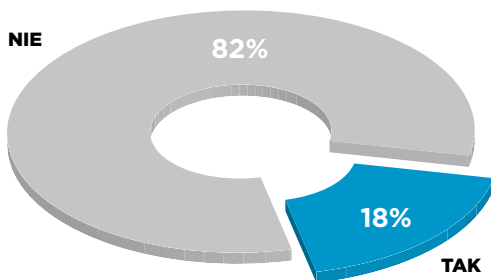
Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddalby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



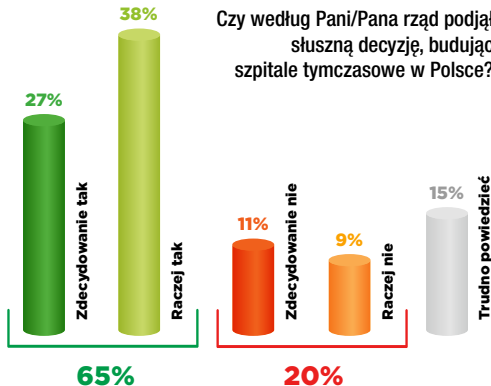
Którą szczepionką najchętniej zaszczepiłaby się Pani/zaszczepiłby się Pan przeciwko koronawirusowi?



Czy ktokolwiek z Pani/Pana rodziny lub znajomych zmarł na COVID-19?



Czy według Pani/Pana rząd podjął słuszną decyzję, budując szpitale tymczasowe w Polsce?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1085. Zakres czasowy badania 19–22 marca 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLECKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CECYLA KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANIŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. W SZYBKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: SHUTTERSTOCK X3

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWKOWSKA-SMOLINSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIAŁ: ANNA ŁABĘCKA, ANIA LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

Tajemnica Krzyża

Gablota w bazylice Świętego Krzyża w Jerozolimie (Santa Croce in Gerusalemme), w której znajdują się relikwie przywiezione do Rzymu przez św. Helenę: belka poprzeczna z krzyża Dobrego Łotra, partykuła Krzyża Świętego, gwóźdź oraz titulus damnationis



Czy fragmenty Krzyża Świętego przechowywane w różnych kościołach na całym świecie są autentyczne? Czy w ogóle zachowały się do naszych czasów jakiekolwiek fragmenty dwóch drewnianych belek, na których poniósł śmierć Jezus Chrystus?

Na początku XVI w. Erazm z Rotterdamu twierdził, że „nawet okręt handlowy nie wystarczyłby, żeby zgromadzić w jednym miejscu wszystkie części Krzyża naszego Pana, pokazywane w niezliczonych miejscach”. Marcin Luter mówił z kolei, że na świecie znajduje się „tyle kawałków Krzyża, że można by z nich zbudować cały dom, gdyby się je wszystkie posiadało”. Ich zdaniem większość relikwii Krzyża w różnych kościołach to fałszyfikaty. Opinie te podtrzymywało później wielu krytyków relikwii, twierdząc nawet, że żadna z pokazywanych na świecie partykuł Krzyża nie jest autentyczna. Czy rzeczywiście? Spróbujmy przyjrzeć się tej sprawie.

NIEZWYKŁE ODKRYCIE ŚW. HELENY

Zgodnie z najstarszymi relacjami historycznymi, spisany przez licznych dziejopisów Kościoła w IV i V stuleciu, krzyż Chrystusa odnalazła św. Helena. Była ona matką Konstantyna Wielkiego – pierwszego chrześcijańskiego cesarza imperium rzymskiego. W 325 r. władca podczas soboru w Nicei (dziś Iznik na terenie Turcji) spotkał biskupa Jerozolimy Makariusza, który opowiedział mu o żywej wśród chrześcijan jerozolimskiej tradycji, iż w mieście tym znajdują się materialne pamiątki po ukrzyżowaniu Chrystusa. Są one jednak przysypane ziemią i gruzami.

Stolica Judei została doszczętnie zniszczona w 70 r. przez rzymskie oddziały Tytusa, które krwawo stłumiły powstanie żydowskie. Żołnierze XII legionu zburzyli wówczas m.in. Świątynię Jerozolimską. Po utopieniu we krwi drugiego powstania żydowskiego, które wybuchło w roku 132, cesarz Hadrian rozpoczął na gruzach Jerozolimy budowę nowego miasta o nazwie Colonia Aelia Capitolina. Miało ono zupełnie inny układ topograficzny i architektoniczny, w niczym nie przypominając starego miasta.



GRZEGORZ GÓRNY

Mimo to w tradycji chrześcijan pochodzenia żydowskiego żywa była pamięć o męce Chrystusa i jej materialnych śladach. Być może wpływ na to miał fakt, że na czele gminy chrześcijańskiej w Jerozolimie stali przez jakiś czas krewni Jezusa z Nazaretu, m.in. Jakubi i Szymon. Jeszcze do 149 r. ostatnim judeochrześcijańskim biskupem w tym mieście był Judasz Cyriakus, którego drugie imię (Kyriakos) oznaczało „spokrewniony z Panem”.

Słyszac te opowieści, cesarz Konstantyn postanowił odszukać zaginione relikwie, przede wszystkim zaś odkopać miejsce kaźni i grobowiec Jezusa oraz wzniesć nad nimi chrześcijańską świątynię. Z taką właśnie misją wysłał do Jerozolimy swą matkę Helenę. Na miejscu nadzorowała ona prace wykopaliskowe i budowlane, podczas których robotnikom udało się odnaleźć trzy drewniane krzyże wraz z gwoździami. Ukryte były w dawnej cysternie znajdującej się niedaleko Golgoty, czyli Wzgórza Czaszek, gdzie ukrzyżowano Jezusa.

Miejsce schowku wydaje się zrozumiałe w świetle znajomości żydowskich przepisów religijnych. Wszystko, co miało kontakt ze zmarłym, było bowiem uznawane za nieczyste i nie mogło znajdować się w obrębie miasta, zwłaszcza w przededniu święta Paschy. Nic więc dziwnego, że krzyże, które miały bezpośrednią styczność ze zwłokami, wrzucono do cysterny, która wówczas znajdowała się poza murami miejskimi.

Dość szybko Helena stwierdziła, że odnalazła autentyczne krzyże Chrystusa i dwóch łotrów. Rodzi się jednak pytanie: skąd wiedziała, że są to narzędzia kaźni właśnie z Golgoty, i w jaki

sposób rozpoznała, które z nich było związane z męką Jezusa? Przecież wszystkie krzyże były takie same. Otóż nie, nie wszystkie były takie same. Jeden z odnalezionych krzyży wyróżniał się wyjątkowym szczegółem. Jakim?

TYTUŁ WINY

25 lutego 395 r. św. Ambroży z Mediolanu podczas mowy pogrzebowej cesarza Teodozjusza przypomniał zebranym, że rozpoznanie Krzyża przez św. Helenę było możliwe dzięki przedmiotowi zwanemu „titulus damnationis”, czyli tytuł winy. Była to drewniana tablica, zawieszona nad głową skazańca i wymieniająca jego imię oraz rodzaj zbrodni. Ambroży wiedział, o czym mówi, ponieważ widział tę relikwię na własne oczy.

Z Ewangelii św. Jana wiemy, że nad głową Chrystusa przymocowano napis „Jezus Nazarejczyk Król Żydowski”. Stąd wzięła się rozpowszechniona w katolicyzmie tradycja opatrywania krucyfiksów inskrypcją z inicjałami INRI (Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum). Taką właśnie tablicę, przybitą do jednego z trzech krzyży, odnalazła św. Helena w Jerozolimie. Zgodnie z tym, co pisał św. Jan Ewangelista, widniał na niej napis w trzech językach: hebrajskim, greckim i łacińskim.

Jeszcze w Jerozolimie cesarzowa podzieliła krzyż na trzy części: pierwszą pozostawiła na miejscu, drugą zabrała ze sobą do Rzymu, trzecią zaś przekazała synowi, który budował właśnie nową stolicę, Konstantynopol, i w niej postanowił umieścić odnalezioną relikwię. Tego typu praktyka zgodna była z ówczesnym światopoglądem. Nie przywiązywano wtedy wagi do zachowywania znalezisk w całości, gdyż nie myślano w kategoriach dokumentacji naukowej. Ważniejsza była tajemnicza, sakralna moc (numinosum) zawarta w każdej, najmniejszej nawet części relikwii. Zgodnie z zasadą, że część reprezentuje całość (pars pro toto),

dzielono święte przedmioty na drobne fragmenty, z których każdy obdarzony był tą samą mocą, jaką wcześniej tkwiła w jego nienaruszonej postaci.

Drewniana tablica została podzielona przez św. Helenę na dwie części – jedna pozostała w Jerozolimie, natomiast drugą cesarzowa zabrała ze sobą do Rzymu. Pierwszy z owych fragmentów przepadł bezpowrotnie w roku 614, gdy Persowie pod wodzą Chosroesa II najechali Jerozolimę, zburzyli miasto i zagrabili wiele skarbów. Ich łupem padła także relikwia Krzyża, którą zabrali do swej stolicy. W 628 r. cesarzowi Bizancjum Herakliuszowi udało się odzyskać Krzyż, jednak bez „titulusa”.

Druga część tablicy trafiła do pałacu Sessorium w Rzymie, w którym rezydowała św. Helena. Po powrocie z Ziemi Świętej przeznaczyła ona część budynku na kaplicę, w której umieściła przywiezione przez siebie relikwie: fragment Krzyża, jeden z trzech gwoździ oraz połowę „titulusa”. Po śmierci cesarzowej jej syn Konstantyn ofiarował pałac papieżowi. Rezydencja została gruntownie przebudowana i w ten sposób powstała istniejąca do dziś bazylika Świętego Krzyża w Jerozolimie (Santa Croce in Gerusalemme). Przez wieki była ona wielokrotnie przebudowywana, jednak najważniejsze relikwie pozostają w jej wnętrzu nieprzerwanie od niemal 1,7 tys. lat. Można je tam oglądać także dziś. W 1997 r. autentyczność drewnianej tablicy postanowił zbadać niemiecki historyk Michael Hesemann.

ZADANIE DLA ARCHEOLOGII I BOTANIKI

Hesemann wziął pod uwagę trzy możliwe warianty: albo relikwia jest fałszerstwem z czasów św. Heleny, albo podróbką z okresu średniowiecza, albo prawdziwą tablicą z Krzyża Jezusa Chrystusa.

„Titulus” został tak przełamany, że zawiera tylko pierwszą część inskrypcji mówiącą, iż skazańcem był Iesus Nazareus. Długość zachowanej części wynosi 25 cm, co sugerowałoby, że jego całość miała pierwotnie 50 cm. Zgadza się to z odkryciami archeologicznymi, dzięki którym wiemy, że tabliczki nad głowami ukrzyżowanych skazańców były zazwyczaj około półmetrowej długości.

Na wierzchu relikwii zachowały się resztki białego wapna, którym niegdyś była pomalowana, a we wgłębieniach po wyritych literach odnaleziono ślady czarnej farby. Odpowiada to sposobom sporządzania „titulus damnationis” w czasach imperium rzymskiego. Jak piszą archeologowie Maria Siliato i Werner Eck: „Najpierw deska była malowana białą kredą, potem pisarz malował na niej powód ukarania czarnymi lub czerwonymi literami. W rzadkich przypadkach litery były również wycinane dłutem”.

Włoski botanik prof. Elio Corona, który zbadał „titulus”, stwierdził, że pochodzi on z bardzo starego drzewa orzechowego (*Juglans regia*), rosnącego we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Zgadza się to z relacją Antoniego z Piacenzy, który pielgrzymował do Ziemi Świętej w 570 r. i opisywał, że w Jerozolimie „widział, trzymał w rękach i całował” tablicę z krzyża, wykonaną właśnie z drzewa orzechowego.

Wszystkie te szczegóły, choć przemawiały za autentycznością relikwii, nie były jednak wystarczające, by wydać ostateczne orzeczenie. Hesemann nie mógł skorzystać z badań dendrologicznych, gdyż zachowany kawałek drewna był zbyt mały, by na jego podstawie móc sporządzić datowanie. Postanowił więc skorzystać z osiągnięć paleografii porównawczej, czyli nauki zajmującej się badaniem różnych form i elementów stylu pisma. Specjaliści w tej dziedzinie są w stanie, dzięki analizie paleograficznej inskrypcji, określić czas i obszar geograficzny jej powstania.

Napis na „titulusie” składa się z trzech linijek. W pierwszej widnieją słowa napisane po hebrajsku, w drugiej po grecku, w trzeciej po łacinie. Osobliwością jest to, że inskrypcje w językach greckim i łacińskim wyrity zostały w lustrzanym odbiciu, z prawa do lewa – jakby naśladując hebrajski sposób pisania. Poza tym w dwóch wersach zamiast pełnej wersji imienia Jezusa mamy tylko inicjały (IS. – po grecku, I. – po łacinie). Tego typu skróty były charakterystyczne dla rzymskich inskrypcji. Ich użycie można tłumaczyć

tym, że dwa tysiące lat temu imię Jezus było w Judei niezwykle popularne. Józef Flawiusz w swej „Wojnie żydowskiej” wymienia aż 14 postaci noszących to imię. W tej sytuacji wyróżnikiem osoby w większym stopniu stawało się jej miejsce pochodzenia – w przypadku Jezusa: Nazareus.

W dwóch linijkach „titulusa” zachowały się też pierwsze litery trzeciego wyrazu: w języku greckim B, po łacinie R. Odpowiada to przekazowi z Ewangelii św. Jana. Chodzi mianowicie o początek słowa „Król” – po grecku Basileus, po łacinie Rex. Wyrazy jednak się urywają, gdyż deska została w tym miejscu ucięta.

PALEOGRAFOWIE MAJĄ GŁOS

Michael Hesemann dał do zbadania inskrypcję najwybitniejszym na świecie paleografom, nie mówiąc im

Srebrny relikwiarz w kształcie owalnego słońca ufundował w XVII w. opat świętokrzyski Stanisław Sierakowski



Fot. Janusz Rosikow/Rosikon Press

jednak, skąd pochodzi napis. Analizę hebrajskiego pisma przeprowadzili niezależnie od siebie żydowscy uczeni: prof. Hannah Eshel i dr Gabriel Barkay. Oboje stwierdzili, że „żydowski styl pisany” (pochyłe litery z długimi „ogonkami”) charakterystyczny jest dla „późnego okresu Drugiej Świątyni”, czyli I w. Styl ten był w użyciu jeszcze w dwóch kolejnych stuleciach, dlatego – zdaniem naukowców – napis musi pochodzić z okresu między I a III stuleciem.

Badanie inskrypcji napisanej po grecku zlecono innym paleografom, specjalizującym się w analizie pisma właśnie w tym języku. Ich uwagę zwrócił zwłaszcza styl litery Alfa oraz monogram Omikron-Ypsilon. W rezultacie prof. Carsten Peter Thiede z Uniwersytetu Ben Guriona w Beer Szewie i dr Leah di Segni z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie doszli do wniosku, że napis w języku greckim pochodzi z I w.

Ustalenia te potwierdzili także żydowscy naukowcy, profesorowie Israel Roll i Ben Isaac z Tel Awiwu. Michael Hesemann zwrócił się do nich z prośbą o zbadanie inskrypcji wyrytej na „titulusie” po łacinie. Obaj, niezależnie od siebie, uznali, że dekoracyjny styl, w jakim został wykonany napis, charakterystyczny jest dla literatury wczesnego Cesarstwa Rzymskiego, czyli dla I stulecia. Paleografowie zwrócili uwagę na stylistyczne podobieństwo łączące badaną inskrypcję z innym napisem pochodzącym z I w. Chodzi o ołtarz poświęcony cesarzowi Tyberiuszowi z dedykacją Poncjusza Piłata. Znalezisko to zostało odkryte przez włoskich archeologów w 1961 r. podczas wykopalisk w Cezarei.

Reasumując, wszyscy paleografowie badający „titulus” wykluczyli, by mógł on pochodzić z czasów św. Heleny bądź z okresu średniowiecza. Jednocześnie uznali, że napisy na tablicy musiały powstać między I a III w. po Chrystusie, choć większość z nich wskazywała na I stulecie. Opierając się na tych badaniach, Hesemann w 1999 r. opublikował pracę „Titulus Crucis”, w której ogłosił, że relikwia przechowywana w rzymskiej bazylice jest autentycznym „tytułem winy” Jezusa Chrystusa.

Rok później jeden ze wspomnianych paleografów, prof. Carsten Peter Thiede, wydał własną książkę na ten temat, w której doszedł do identycznych wniosków. „Charakter napisu jest zaskakujący – pisał Thiede. – Ktokolwiek napisał ten tekst, nie był ani kopistą, ani fałszerzem”. Badacz zdecydowanie wykluczył wersję, jakoby „titulus” mógł być fałszykiem późnoantycznym lub średniowiecznym. Żaden fałszerz w tamtym okresie nie miał bowiem wiedzy dotyczącej kroiów pisma hebrajskiego, greckiego i łacińskiego rozpowszechnionych na Bliskim Wschodzie w I w. Żaden też nie pozwoliłby sobie na umieszczenie tylko inicjałów Jezusa zamiast pełnego imienia. Fałszerze zamieściliby także napisy w trzech językach w takiej kolejności, w jakiej podawał je w swej Ewangelii św. Jan, a nie takiej jaka widnieje na tablicy.

CZY ERAZM I LUTER MIELI RACJĘ?

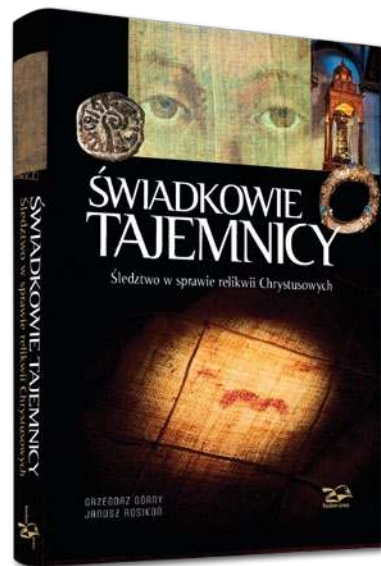
Michael Hesemann uważa, że jego odkrycie ma znacznie rozleglejsze konsekwencje: „Jeśli z wysokim prawdopodobieństwem uznać można, że Titulus Crucis pochodzi z czasów Chrystusa, potwierdzą się tym samym informacje na temat jego odkrycia, a także, w pośredni sposób, poświadczony zostanie autentyzm odnalezionych wraz z nim trzech krzyży oraz gwoździ. Oznacza to jednak, że duża część licznych relikwii krzyża, znajdujących się w europejskich katedrach, jest najprawdopodobniej prawdziwa – w każdym razie prawdziwe są wszystkie te części, które w sposób udokumentowany pochodziły z Rzymu, Konstantynopola i Jerozolimy”.

Jak pamiętamy, św. Helena podzieliła Krzyż Święty na trzy części. Dość szybko z tych fragmentów zaczęto odłupywać mniejsze części i rozsyłać je do chrześcijańskich świątyń w najodleglejszych nawet zakątkach. To stało się później podstawą twierdzeń Erazma i Lutra o nadmiernej liczbie fałszyków rozproszonych po świecie.

Te zarzuty postanowił zweryfikować w II połowie XIX w. francuski badacz Charles Rohault de Fleury, który przez wiele lat zbierał wszelkie materiały dotyczące relikwii Chrystusowych na ca-

łym globie. Wyniki swych poszukiwań opublikował w 1870 r. Otóż obliczył on, że całkowita objętość Krzyża Świętego wynosiła ok. 36 tys. cm sześciennych. Tymczasem objętość wszystkich jego fragmentów rozrzuconych po świecie osiągała zaledwie 4 tys. cm sześciennych. Oznaczało to, że wszystkie znane i oficjalnie czczone kawałki tej relikwii na kuli ziemskiej nie stanowiły nawet jednej dziewiątej jego pierwotnej całości. Krytycy mówili co prawda o olbrzymiej liczbie miejsc, w których znajdują się części krzyża, należy jednak pamiętać, że najczęściej były to cieniutkie szczapki, a niekiedy wręcz drzazgi.

Autentyczność różnych fragmentów można zidentyfikować, łącząc dwa kryteria: badając rodzaj drewna (Krzyż Prawdziwy był wykonany z sosny czarnej – *Pinus nigra*) oraz dokumentując pochodzenie partykuł z jednego z trzech miejsc: Rzymu, Konstantynopola lub Jerozolimy. W tych miastach od czasów Konstantyna znajdowały się bowiem największe części Krzyża, z których potem odłupywano mniejsze kawałki. Na tej podstawie z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić prawdziwość relikwii przechowywanych np. w najstarszym polskim klasztorze – na górze Święty Krzyż. ➤



Więcej o relikwii Krzyża w książce autorstwa Grzegorza Górny z fotografiami Janusza Rosikonia pt. „Świadkowie Tajemnicy” (wydanie 5, 2020)

To już drugie święta Zmartwychwstania i drugi Wielki Tydzień, gdy sytuacja pandemiczna wymusza ograniczenie liczby wiernych w kościołach i udział w liturgiach poprzez transmisje medialne. Rodzi się pytanie, jak się w tym odnaleźć? I czy udział we mszy online jest prawdziwym uczestnictwem w Eucharystii, czy tylko udziałem w transmisji?

Msza online

– prawdziwa czy jedynie namiastka?



MILENA KINDZIUK

Już ubiegłoroczna Wielkanoc była bez precedensu, gdy papież Franciszek odwołał otwarte publiczne obchody Triduum Paschalnego oraz msze św. z okazji świąt. Po raz pierwszy w historii ze Stolicy Apostolskiej popłynął w świat apel do włączania się w papińskie liturgie za pomocą transmisji online (także obecnie Watykan ogłosił, że w sprawie celebracji Wielkiego Tygodnia obowiązuje dekret z zeszłego roku). Ewenementem była też modlitwa Franciszka o ustanie pandemii koronawirusa, również transmitowana online, na pustym placu św. Piotra w Rzymie. Poszły za tym dyspensy i zachęty biskupów do oglądania transmisji mszy św. online zamiast uczestnictwa w liturgiach odprawianych w kościołach, w których mogło przebywać naraz tylko pięć osób.

W tym roku zapowiadają się jeszcze bardziej drastyczne obostrzenia epi-

miczne, nie tylko w Polsce, lecz także w wielu krajach. Sytuacja pandemii zmusza do przeżywania najważniejszych dni w chrześcijaństwie jedynie za pośrednictwem medialnych transmisji. Jak je należy traktować? Czy udział we mszy online jest prawdziwym uczestnictwem w Eucharystii, czy tylko udziałem w transmisji?

APLIKACJE MODLITEWNE, SŁUBY ONLINE

Aby odpowiedzieć na te pytania, należy najpierw przypomnieć, że w Polsce transmisja mszy św. w mediach nie jest zjawiskiem nowym: w telewizji pojawiła się 43 lata temu (po raz pierwszy w czasie inauguracji pontyfikatu papieża Jana Pawła II), na antenie polskiego radia zaś 41 lat temu (powróciła wtedy po II wojnie światowej). Do chwili wybuchu pandemii transmisje mszy online stanowiły dopuszczalną formę „uczestnictwa w niedzielnej lub świątecznej Eucharystii tylko w wyjątkowych wypadkach: przede wszystkim choroby lub sprawowania opieki nad osobami chorymi.

COVID-19 te warunki zmienił i zrodził nowe zjawisko, nieznane dotąd na

tak wielką skalę – transmisje mszy online w różnych formach: na stronach internetowych różnych diecezji, parafii, episkopatu Polski, pism i portali katolickich. Wreszcie – live streaming w social mediach. To wszystko umożliwia „bycie na mszy św.” w znanych polskich sanktuariach, np. Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach, na Jasnej Górze czy w Kalwarii Zebrzydowskiej. Ogromną popularność zyskały transmisje z domowej kaplicy abp. Grzegorza Rysia (w piątki także droga krzyżowa) oraz ze Świątyni Bożej Opatrzności w Warszawie, a także z wielu innych świątyń w różnych regionach Polski. Ostatnio pojawiły się też transmisje mszy online dla Ormian (www.lasbielanski.pl), licznie komentowane na Twitterze.

Tak więc zrodził się nowy wirtualny Kościół. Co ciekawe – nie tylko wokół mszy online, lecz także wokół nowych i bardzo ciekawych „pandemicznych” inicjatyw religijnych. Przykładem mogą być mocno niekonwencjonalne, cieszące się ogromną popularnością rekolekcje online dla dzieci i młodzieży Archidiecezji Warszawskiej (wszystkie tury i odcinki są wciąż dostępne na kanale YouTube). Albo spotkania modlitewne – ewenementem jest



niewątpliwie kanał ks. Teodora Sawielewicz, na którym w transmitowanych na żywo różańcu i następującej po nim modlitwie wstawienniczej uczestniczy codziennie kilkadziesiąt tysięcy osób, głównie młodych. Warto też wymienić „Boży Kosmos” na Facebooku. Młodzież chętnie skupia się również na koronce do Bożego Miłosierdzia online (np. w ramach akcji #mimoDrzwi-Zamkniętych), korzysta również z aplikacji modlitewnych na telefon. Choć trudno to sobie wyobrazić, zdarzają się nawet śluby w formie hybrydowej, gdy jedynie para młoda i świadkowie udają się do kościoła, a inni biorą udział w ceremonii online. W „Niedzieli” opisano przypadek, gdy w okresie ograniczenia liczby przeby-

Transmisje mszy online stanowią wielką wartość. Chronią przed pustką duchową, przed pandemiczną beznadzieją, przed wystudzeniem wiary

wających w kościele do pięciorga wierzących dzięki internetowej transmisji w czasie mszy św. z parą młodą łączyło się przez internet 300 osób. „W tej ciszy wiedziałam, że jest z nami wiele serc, szczęśliwych, że po prostu będziemy ra-

zem” – podkreślała panna młoda. Niekiedy są transmitowane również ceremonie pogrzebowe. Jedną z pierwszych była msza z pogrzebu znanego duszpasterza ks. Piotra Pawlukiewicza (w marcu ub.r.), która na YouTube miała ponad 152 tys. wyświetleń!

Nie ulega zatem wątpliwości, że transmisje online stanowią wielką wartość, niekiedy gromadzą wielu uczestników – często więcej niż w realu przed pandemią! Chronią przed pustką duchową, przed pandemiczną beznadzieją, przed wystudzeniem wiary. Z pewnością mogą być konkretną pomocą także w przeżywaniu tegorocznego Triduum oraz Świąt Wielkanocnych.

Powróćmy zatem do pytania: w jaki sposób traktować msze online?

OBRAZ NIE UOBECNIA

Transmisja online oznacza, że łączymy się z mszą św. odprowadzającą w kościele w czasie rzeczywistym. Słyszymy czytania mszalne, widzimy moment konsekracji, obejmuje nas błogosławieństwo, którego kapłan udziela na zakończenie Eucharystii (jak w przypadku papieskiego błogosławieństwa z Watykanu, np. „Urbi et Orbi”). Mimo to msza transmitowana online nie może się stać zamiennikiem prawdziwej Eucharystii.

Stanowisko Kościoła jest tu jasne: „Katechizm Kościoła katolickiego” określa, że Eucharystia stanowi „źródło i szczyt życia chrześcijańskiego, oznacza i urzeczywistnia komunie życia z Bogiem i jedność Ludu Bożego”. Papież Benedykt XVI zaś stwierdził w posynodalnej adhortacji apostolskiej „Sacramentum caritatis”, że obraz Eucharystii – np. jej medialny przekaz – jedynie „przedstawia rzeczywistość, ale jej samej nie uobecnia”. Stąd też transmisja mszy św. daje tylko pewną możliwość udziału w niej, jednak niepełnego. Dlaczego? Chociażby dlatego, że w internecie albo w telewizji nie ma sakramentów, ograniczony wymiar ma wspólnota liturgiczna. To wciąż tylko rzeczywistość wirtualna, nie realna.

Nie oznacza to jednak, że mszy online nie można traktować jako równoważnej z mszą w realu. Wręcz przeciwnie – można i trzeba – ale tylko w wyjątkowych, ściśle określonych okolicznościach. Trafnie ujął to na łamach „Gościa Niedzielnego” ks. prof. Wiesław Przyczyna, dowodząc, iż „transmisja nie dokonuje sakramentalnego uobecnienia Chrystusa, bo to może się dokonać tylko podczas samej Eucharystii, ale daje wierzącym szansę duchowego w niej udziału. Oglądanie transmisji ma sens, nawet gdy nie jest to bezpośredni udział w Eucharystii, lecz poprzez jej elektroniczny obraz. Dzięki niej osoby, które nie mogą być w realnym czasie w kościele, mają możliwość duchowego zjednoczenia w realnym czasie z Eucharystią celebrowaną w kościele”.

Msza online stwarza szansę nie tylko wypełnienia obowiązku trze-

ciego przykazania Dekalogu (aby dzień święty święcić), ale też okazję do religijnego przeżycia, do głębszej modlitwy i duchowego umocnienia. I to jest wielka wartość. Tym bardziej w okresie świątecznym, w sytuacji gdy pójście do kościoła jest tak bardzo ograniczone ze względu na zagrożenie epidemiczne.

Z całą pewnością nie znaczy więc, że celebrowanie przeżywane online są gorsze albo spływają wartość modlitwy. Transmisje religijne oglądane w ciszy, skupieniu, w godnym miejscu, może przy zapalanej świecy, także mogą stanowić autentyczne przeżycie duchowe i przygotowanie do świąt. Trzeba tylko pamiętać, że taka forma przeżywania najważniejszych tajemnic wiary to sytuacja przejściowa. Oczywiście jest, że e-Kościół nie jest prawdziwym Kościo-

Kanał ks. Sawielewicz
to ewenement.

W transmitowanych na nim na żywo różańcu i następującej po nim modlitwie wstawienniczej uczestniczy codziennie kilkadziesiąt tysięcy osób, głównie młodych

łem, a transmisja mszy online nie jest zamiennikiem liturgii sprawowanej w kościele, nie jest tożsama z realnym uczestnictwem w Eucharystii. Jest formą dopuszczalną tylko w czasie obowiązującej dyspensy, w wyjątkowych okolicznościach, do których Kościół zaliczył pandemię COVID-19.

RELIGIJNY LIVE STREAMING

Po ustaniu pandemii zapewne powrócimy do kościołów na msze św., do rzeczywistości sakramentów i wspólnoty ludu Bożego. Czy na pewno jednak powrócimy? Wielu się dzisiaj zastanawia, w jakim stopniu ten powrót się dokona.

Jaki będzie wpływ transmisji online na naszą religijność: czy będzie ona wzmocniona, czy osłabiona? Oczywiście bowiem jest, że to nowe zjawisko musi wywierać wpływ na praktyki religijne całego społeczeństwa.

A być może stanie się i tak, że bardziej docenimy realne uczestnictwo we mszy św. i zateśnimy za nią? A tym samym powszechnie i szybko zrezygnujemy z transmisji, gdy tylko warunki epidemiczne na to pozwolą.

Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący episkopatu Polski, nie ma tu wątpliwości: „Nie wyobrażamy sobie, aby nowa normalność miała oznaczać trwale, liczone w latach odizolowanie większości społeczeństwa od możliwości osobistego uczestnictwa we mszy św.”. Dobitnie wypowiedział się na ten temat również kard. Robert

Sarah, były przewodniczący watykańskiej Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, który stwierdził w liście na temat celebrowania liturgii w czasie pandemii COVID-19 i po jej zakończeniu: „Choć środki społecznego przekazu bardzo pomogły, to jednak transmisja mszy św. nie może zastąpić osobistego udziału w Eucharystii. Co więcej, transmisje te mogą oddalić od osobistego i intymnego spotkania z Bogiem. Chrześcijaństwo jest religią wcielenia, potrzebne jest osobiste spotkanie z Bogiem. Żadna transmisja mszy św. nie może zastąpić osobistego udziału w niej. Bóg wydał się za nas nie w sposób wirtualny, lecz rzeczywisty”.

Reasumując zatem: msza online tak – lecz tylko w wyjątkowych warunkach. Prawdziwe chrześcijaństwo nie może się zatrzymać na e-mszy. W tym kontekście warto też pamiętać, że to dotyczy zasadniczo udziału w Eucharystii i innych sakramentach. Natomiast czym innym jest samo oglądanie czy słuchanie transmisji lub nagrań różnych konferencji duchowych, lub rozważań ewangelicznych czy nawet odmawianie koronki lub różańca online. One zresztą biją rekordy popularności w social mediach. I taki live streaming religijny mógłby się utrzymać lub jeszcze bardziej rozwijać.

Słońce pracuje, rodzina zyskuje, Energa gwarantuje!

25-letnia gwarancja producenta na panele fotowoltaiczne
i 3-letnia gwarancja Energi Obrót na montaż



Obniż swoje rachunki i pomagaj chronić środowisko.

Postaw na pewnego partnera, zyskaj spokój
i produkuj zieloną energię na potrzeby swojej rodziny!

Skontaktuj się z nami, a my zajmiemy się resztą:

☒ Doradztwo ☒ Projekt ☒ Wykonanie

➤ **Umów się z Energa**
na bezpłatną wizję lokalną.
Wejdź na energa.pl
lub zadzwoń: 555 555 505
(koszt wg taryfy Twojego operatora)

 **Energa** | GRUPA ORLEN
Obrót

*Nie chodzi tylko
o stolicę Podkarpacia,
lecz o to, jaki będzie
wynik wyborów
samorządowych
i parlamentarnych
w 2023 r.*



Konrad Fijołek
– kandydat
opozycji

Bitwa o Rzeszów



STANISŁAW JANECKI

Opozycja szybko i łatwo porozumiała się w sprawie wspólnego kandydata na prezydenta Rzeszowa, mimo że żadne popierające go ugrupowanie nie może go uznać za „swego”. Konrada Fijołka, wiceprzewodniczącego Rady Miasta Rzeszowa, szefa klubu Rozwój Rzeszowa, uznano za najlepiej dopasowanego do potrzeb: samorządowca, rzeszowianina, współpracownika urzędującego przez ponad 18 lat prezydenta Tadeusza Ferenc, ale nie mechanicznego jego kontynuatora, i przed pięćdziesiątką. Taki kandydat wyszedł w badaniach. Jest w miarę znany lokalnie i do czasu poparcia przez opozycję był nieznan w Polsce.

Bitwa o Rzeszów to dla opozycji najważniejsza operacja polityczna od czasu przegranych wyborów na prezydenta Polski (druga tura 12 lipca ub.r.). I najważniejsza do pierwszych wyborów w 2023 r. (samorządowych). Rzeszowskie wybory mają przykryć porażki w wyborach europejskich, parlamentarnych i prezydenckich (w samorządowych generalna porażka nie kłóci się z lokalnymi sukcesami) w latach 2019–2020. Ale przede wszystkim mają przekonać Polaków, że Zjednoczona Prawica nie jest już w stanie wygrywać. Dlatego priorytetem jest to, żeby nie wygrał nikt związany ze Zjednoczoną Prawicą. Każdy inny zwycięzca jest do przyjęcia dla opozycji, nawet Grzegorz Braun z Konfederacji. Ale po cichu opozycja liczy na sukces ich kandydata już w pierwszej turze. To byłoby Blitzkrieg i Wunderwaffe w jednym. Zwycięstwo w Rzeszowie trafiłoby na sztandary, pozwoliło w triumfalnym nastroju czekać na wybory w 2023 r. ispektakularnie wyliczać Zjednoczoną Prawicę – niczym boksera

trafionego na ringu. Byłoby (symboliczne oczywiście) odwoływanie się do słynnego zdania sportowego sprawozdawcy i byłego już posła Koalicji Obywatelskiej Tomasza Zimocha: „Panie Turek, niech pan tu kończy to spotkanie! Turku, kończ ten mecz!”. Z tego powodu lokalne wybory w Rzeszowie są najważniejszym wydarzeniem politycznym w perspektywie ponad dwóch lat. Czy liderzy i członkowie Zjednoczonej Prawicy mają tego świadomość? Może i mają, ale zachowują się tak, jakby nie mieli. A nawet zachowują się tak, jakby te wybory chcieli przegrać, wystawiając trzech kandydatów: Ewę Leniart (PiS), Marcina Warchoła (Solidarna Polska) i Waldemara Kotulę (Porozumienie).

KIT KONRADA FIJOŁKA

Wprawdzie od 2002 r. Rzeszowem rządził Tadeusz Ferenc, który szybko ogłosił polityczną neutralność (wywodził się z SLD), ale opozycja uznała, że ta odrębność Rzeszowa może się skończyć wraz z rezygnacją jego prezydenta. Odrębność, gdyż na Podkarpaciu wygrywa i rządzi Prawo i Sprawiedliwość, a Rzeszów (oraz gmina Cisna) to enklawa, gdzie jest inaczej. Dlatego liderzy opozycji uważają, że nie wolno dopuścić do tego, by w Rzeszowie wygrała rządząca na Podkarpaciu Zjednoczona Prawica i żeby enklawa zniknęła. Zresztą wskazywanie na polityczną odrębność i oryginalność Rzeszowa ma być atutem każdego kandydata na prezydenta miasta, który nie wywodzi się ze Zjednoczonej Prawicy.

I tym przede wszystkim gra Konrad Fijołek. Przedstawia się jako „tutejszy”, który dużo o mieście wie, ale wciąż za mało. Przedstawia się jako ktoś, kto „od



Marcin Warchol
– kandydat
Solidarnej Polski

Ewa Leniart
– kandydatka PIS

Waldemar
Kotula
– kandydat
Porozumienia

zmianami. Jak liderzy ugrupowań przyporządkowali sobie do tych oczekiwań kandydatury, to wyszło, że mieszkańcy wskazali na mnie. Politycy uznali te argumenty i zrozumieli, że nie mogą tu forsować polityki. Zgodzili się na kogoś, kto będzie ich wszystkich łączył”.

Fijolek twierdzi, że „z badań wśród mieszkańców jasno wynika, że oni nie traktują tych wyborów politycznie. Chcą na stanowisku prezydenta samorządowca, nie polityka”. To oczywiście próba wdrukowania rzeszowianom, jakiego mają chcieć kandydata, a nie obraz rzeczywistego stanu rzeczy. Tym bardziej że każde wybory są polityczne, a w prawie 200-tysięcznym Rzeszowie jeszcze bardziej. Ma powstać wrażenie, że nie chodzi o politykę, choć ewentualne zwycięstwo w tych wyborach byłoby najważniejszym politycznym wydarzeniem w perspektywie około dwóch lat. To stara metoda uprawiania niepolitycznej polityki, na co sporo ludzi się nabiera, szczególnie w wyborach samorządowych. I przecież Fijolek został poparty przez cztery opozycyjne partie, czyli jest kandydatem politycznym do bólu. Jednak „ściemnia”, że „bardzo chętnie przyjął poparcie partii, to było i będzie bardzo pomocne. Ale siłą tej kampanii będą lokalni samorządowcy, lokalne autorytety, przedstawiciele osiedlowych organizacji, stowarzyszeń, rzeszowianie. Naszą siłą są samorządowcy, ludzie, którzy coś robią dla Rzeszowa. Rzeszowianie

muszą wiedzieć, że ich prezydentem jest Konrad Fijolek, sąsiad z osiedla, kolega ze szkoły, człowiek, którego spotkali na ulicy, na akcjach społecznych”.

Tyle że to chyba najbardziej polityczny obecnie kandydat z wszystkich, jacy w Rzeszowie startują. Fijolek przekonuje, że jest odwrotnie: polityczny jest Marcin Warchol, który „rozdawał na ulicy kwiatki, bo chciał, żeby go ludzie w ogóle poznali”. Ale coś tu się nie zgadza, bo skoro Warchol jest polityczny, a w dodatku jest wiceministrem sprawiedliwości i profesorem, to nie ma problemów z rozpoznawalnością. Przynajmniej nie większe niż sam Fijolek, gdyż Warchol urodził się w Nisku, oddalonym od Rzeszowa o 60 km, a jeszcze często pojawia się w ogólnopolskich i regionalnych mediach.

„ZDRADA” TADEUSZA FERENCA

Marcin Warchol jest dla Konrada Fijolka problemem, gdyż wskazał go na następcę sam Tadeusz Ferenc, choć to wspólny kandydat opozycji „był w drużynie prezydenta Ferenc’a, a na tę drużynę, głosowało ponad 34 tys. osób”. A tu niespodzianka i Ferenc poparł kogoś, kto jest daleko od „drużyny” i nie ma wkładu w „rozwoj miasta w ostatnich latach”, co „docenia 70–80 proc. mieszkańców”. Fijolek był

10 lat mocno uczy się miasta, poznaje jego problemy”. Kilka lat temu „skrzyknął grupę miłośników miasta, miłośników tematów miejskich, Rzeszowa pod hasłem Smart City”. Zorganizowali „sporo fajnych imprez, debat o mieście, szkoleń”. Fijolek postawił na „Urban Lab”, czyli laboratorium miejskie, gdzie mieszkańcy, organizacje społeczne, przedstawiciele uczelni, ludzie biznesu dyskutują o wizji rozwoju miasta. Fijolek pokazuje, że „nie wyskoczył nagle, ale od dawna przygotowywał się do tej roli [prezydenta miasta], miał pomysły na unowocześnianie miasta, wkroczenie w nową rzeczywistość”. I „to wszystko jest naturalnym ciągiem zdarzeń. Jestem samorządowcem, rzeszowianinem. Kocham to miasto, mam na nie pomysły i marzę o tym, żeby je wdrożyć”. Taka kreacja jest zrozumiała, skoro „w sondażu ludzie mówili, że chcą samorządowca, rzeszowianina, kogoś z młodszego pokolenia i kogoś, kto nie będzie dezawuował dorobku prezydenta Ferenc’a. A więc nie zaprzeczanie dorobku, jak chce PiS, i nie prosta kontynuacja, jaką przypisuje sobie pan [Marcin] Warchol [z Solidarnej Polski]. Ludzie chcą kogoś, kto nie zrobi rewolucji, ale dokona zmian. Chcą mądrej kontynuacji z koniecznymi

w szoku, ale „środowisko skupione wokół prezydenta szybko sobie z jego decyzją poradziło”. Może to być jednak problem dla mieszkańców, „dla których prezydent [Ferenc] był autorytetem. 90 proc. jego elektoratu nie rozumie tego kroku”. Chodzi o to, żeby zasugerować, iż Tadeusz Ferenc jest wprawdzie bardzo dla Rzeszowa zasłużony, ale jest już po osiemdziesiątce, więc odchodzi z powodu starości, a pewnie i kłopotów z kojarzeniem. Wprawdzie „10 lat temu, gdy prezydent Ferenc po raz pierwszy startował do Senatu, na pytanie, kogo poprze w przyspieszonych wyborach, powiedział, że Konrada Fijołka”, ale wtedy był młodszy, więc i bardziej sprawny intelektualnie. Ale nawet mimo afrontu ze strony zasłużonego włodarza miasta Konrad Fijołek, znany z hasła „Jeee...ać, jeeee...ać kaczytan!!!!”, sobie poradzi. A nawet nie uważa „za niekorzystne tego, że nie startuje z poparciem prezydenta”. Gdyby bowiem je miał, mógłby „być traktowany jako niesamodzielny, a teraz jest samodzielnym kandydatem, który potrafił zorganizować poparcie wielu środowisk. Jest uczniem Ferenc’a, ale wkroczył w polityczną dorosłość”. Dialektyka godna czołowych marksistów, ale nie dziwi ona u niepolitycznego kandydata czterech partii.

Podczas gdy Fijołek wciska rzeszowianom kit, Zjednoczona Prawica tylko mu pomaga. I Grzegorzowi Braunowi. Warchoł zgłosił się jako pierwszy, ale przez PiS nie został zaakceptowany. Stąd kandydatura wojewody podkarpackiej Ewy Leniart, urodzonej w Dylągówce w powiecie rzeszowskim i całe dorosłe życie związanej z Rzeszowem, doskonale znającej i region, i miasto, mającej za sobą doświadczenia samorządowe i parlamentarne (w latach 2019–2020). Jeśli Fijołek uważa się za młodego, to Leniart jest w jego wieku, więc różnicy nie ma. A Warchoł jest nawet cztery lata młodszy. Natomiast Waldemar Kotuła, rzeszowski radny, który skończył w Rzeszowie szkołę średnią i studia techniczne, wskazany przez lokalną strukturę Porozumienia Jarosława Gowina, jest młodszy aż o dziewięć lat. Młodość nie jest w żaden sposób atutem niepolitycznego kandydata czterech partii opozycyjnych.

W centrali PiS bagatelizują istnienie aż trzech kandydatów Zjednoczonej

Prawicy, gdyż liczą na „wyczyszczenie” sytuacji w drugiej turze. Albo wycofanie się Warchoła oraz Kotuli. Problemem jest to, który kandydat jest najsilniejszy. W sondzie portalu nowiny24.pl na temat tego, kto powinien zostać nowym prezydentem Rzeszowa, Ewę Leniart wskazało 13,16 proc. uczestników, Marcina Warchoła – 11,51 proc., a Waldemara Kotulę – 1,28 proc. Tyle że w sondzie wygrał Grzegorz Braun z Konfederacji – 45,75 proc. głosów internautów, który wyprzedził Konrada Fijołka – 23,83 proc. Sonda, choć niereprezentatywna, powinna dać do myślenia liderom Zjednoczonej Prawicy.

Rzeszów byłby dla opozycji Stalingradem i zdobyciem Berlina w jednym. Przez dwa lata po tych wyborach propaganda opozycji kręciłaby się wokół przedstawianego jako wielki triumf zdobycia Rzeszowa

KLUCZ DO POLSKI

Choć Braun wygrał w internetowej sondzie, większe szanse ma Fijołek, gdyż w takich próbach zwykle bardzo się mobilizują zwolennicy Konfederacji, w tym wielu niepełnoletnich, a więc niemogących głosować. I paradoksalnie te większe szanse na wygraną ma Fijołek w pierwszej niż w drugiej turze. Nie tylko dlatego, że dojdzie do rozproszenia głosów kandydatów Zjednoczonej Prawicy. Przede wszystkim dlatego, że część głosów odbierze im Braun, ale także były poseł Kukiz15 Maciej Masłowski. W drugiej turze Fijołkowi byłoby trudniej wygrać z powodu mobilizacji Zjednoczonej Prawicy i głosowania na jednego kandydata, niezależnie, kto przeszedłby dalej. A także dlatego, że bardziej będzie się liczyć podział prawica – lewica, który chyba tylko Fijołek uważa za nieistniejący.

Wygrana kandydata czterech partii już w pierwszej turze miałaby ogromne znaczenie propagandowe i mobilizacyjne. Byłaby wykorzystywana do narracji, iż przy połączeniu sił opozycji można łatwo wygrać ze Zjednoczoną Prawicą. Łatwo, skoro w pierwszej turze i na Podkarpaciu, czyli w mateczniku PiS. Taka zdobycz strategicznie byłaby nie do przecenienia. Gdyby opozycja wzięła Rzeszów, mimo że przez ponad 18 lat miasto nie należało do aktywów obozu obecnie rządzącego, byłoby to przedstawiane jako całkiem nowe otwarcie i pierwszy krok na drodze do przejmowania władzy na wszelkich możliwych poziomach. Rzeszów byłby dla opozycji Stalingradem

i zdobyciem Berlina w jednym. Przez dwa lata po tych samorządowych w końcu wyborach propaganda opozycji kręciłaby się wokół przedstawianego jako wielki triumf zdobycia Rzeszowa. Dla najważniejszych graczy bitwa o Rzeszów jest istotniejsza niż walka o jakiegokolwiek inne duże miasto w Polsce. Choćby dlatego, że po wieloletnich rządach Tadeusza Ferenc’a w tym mieście dojdzie do politycznego resetu i zwycięstwo będzie traktowane jako początek nowej fali. A wypadku wygranej opozycji – wręcz tsunami. I spora część wyborców może tak o bitwie o Rzeszów myśleć, nawet tych popierających wcześniej Zjednoczoną Prawicę.

Reset w Rzeszowie jest traktowany jako początek resetu w całej Polsce i może mieć fundamentalne znaczenie w pierwszych wyborach w 2023 r. – samorządowych. A ich wynik przesądzi o rezultacie wyborów parlamentarnych kilka miesięcy później. Bitwa o Rzeszów ma z tych powodów znacznie większą rangę, niż mogłoby się wydawać, co Zjednoczona Prawica zdaje się kompletnie bagatelizować. A powinna bić na alarm. Wystawienie przez koalicjantów Zjednoczonej Prawicy trzech kandydatów jest nie tylko taktycznie nierozsądne, ale jest wielkim błędem, mogącym skutkować wygraną kandydata opozycji w pierwszej turze. A to wtedy, a nie w drugiej turze rozegra się zasadniczy bój o Rzeszów, a tym samym o zwycięstwo resetu i obu wyborów w 2023 r. Jeśli liderzy Zjednoczonej Prawicy tego nie widzą, to są na najlepszej drodze do serii porażek. Tym bardziej że łatwo już było, a teraz każde wybory są grą o wszystko. 

**Tweet****SIECI**

KRAJ

POLITYKA

**Porozumienie**

@Porozumienie__

Witamy w #DrużynaGowina !



9:01 PM · Mar 21, 2021 · TweetDeck

41 Retweets

132 Quote Tweets

210 Likes

Szeroki front Gowina

Przejęcie z Lewicy wiceszefowej jej klubu parlamentarnego pokazuje, że wojsko Porozumienia nie musi być liczne, ale elastyczne, pozwalające otwierać się na każdą ze stron sceny politycznej. Czy wicepremier kopiuje strategię Donalda Tuska? I dokąd może go ona zaprowadzić, gdy jego drogi z PiS się rozejdą?

**MAREK PYZA MARCIN WIKŁO**

Dokąd zmierza Porozumienie Jarosława Gowina? – to pytanie stawiane jest dziś w obozie władzy z coraz większym niepokojem. Nie chodzi tylko o budowanie struktur na podstawie przejętych instytucji, ale też o gromadzenie finansów i niezrozumiałe transfery polityczne. Czyżbyśmy właśnie ob-

serwowali, jak ziszcza się zapowiedź lidera z jesieni 2019 r., który już wtedy, tuż po wygranych wyborach, na spotkaniach z działaczami zapowiadał samodzielny kurs?

Wiele wskazuje na to, że mniejszy koalicjant Prawa i Sprawiedliwości podjął już decyzję i tylko szuka pretekstu, by usadowić się poza koalicją.

– Mówiąc wprost, prezes chce być przez kolejną kadencję u władzy, ale nie wierzy, że to będzie możliwe z PiS. Dlatego rozmawiał i rozmawia z opozycją, zarówno w ubiegłym roku, jak i na początku tego. Te spotkania z Grzegorzem Schetyną, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem czy Michałem Kamińskim wykraczają poza ideę szukania ponadpartyjnego porozumienia. Mamy prawo się niepokoić i nabierać nieufności – mówi nam ważny polityk partii Gowina (jeszcze przez niego nie-
wykluczony ze struktur).

Z LEWA NA PRAWO

Monika Pawłowska nie jest szeregowym posłem. Była wiceprzewodniczącą klubu parlamentarnego Lewicy. Dlatego przeciągnięcie na swoją stronę kogoś tak istotnego w strukturach politycznego przeciwnika musi budzić euforię. „Witamy na pokładzie Porozumienia, Monika! To przemyślana decyzja, poprzedzona wieloma rozmowami. Cieszę się, że grono osób uprawiających politykę bez ideologicznego zacietrzewienia i zawziętości poszerza się o Panią Posel. Zdziałyśmy razem wiele dobrych rzeczy!” – napisał na Twitterze wicepremier Jarosław Gowin.

Jak swoje odejście z dotychczasowego ugrupowania tłumaczyła Pawłowska? „Z przykrością stwierdzam, że dzisiejsza Lewica zupełnie nie przypomina ugrupowania, z którym się kiedyś związałam. Przed laty łączyła nas społeczna wrażliwość. Przekonanie, żeby zrobić coś konkretnego dla ludzi. Niestety dzisiejsza Lewica niemal wyłącznie stawia na sprawy światopoglądowe. To nie jest moja droga, nie po to wchodziłam do polityki” – powiedziała po ogłoszeniu transferu w wywiadzie dla rp.pl.

Obserwatorzy polityki podkreślają, że to nie jest przejście z partii do partii, jakich wiele. Pani poseł zadeklarowała bowiem, że nie zamierza wstępować do koalicyjnego klubu parlamentarnego PiS. Inna sprawa, że trudno sobie ją tam wyobrazić, szczególnie gdy prześledzimy jej dotychczasową publiczną aktywność. Groteskowo brzmią za to zarzuty o pójsie Lewicy w spory światopoglądowe. Monika Pawłowska, mówiąc, że to „nie jej droga”, mija się z prawdą. Sama siebie



oznaczyła czerwoną błyskawicą Strajku Kobiet, a walcząc o „świeckie państwo”, przekonywała: „Skończmy słuchać jakichś idiotyzmów o współpracy państwa z Kościołem. Ta instytucja nie jest równa instytucjom normalnym”.

Pani poseł tylko w ciągu ostatniego półroczu: zapowiadała postawienie Zbigniewa Ziobry przed Trybunałem Stanu, nominację Przemysława Czarnka na ministra edukacji i nauki nazwała „hańbą dla państwa polskiego”, domagała się delegalizacji Marszu Niepodległości, za wzór prezydenta stawiała Aleksandra Kwaśniewskiego, o którym mówiła, że to „przykład do naśladowania, duma polskiego narodu”. Protestowała przed Trybunałem Konstytucyjnym i przed domem Jarosława

Kaczyńskiego. Jej tweety zachęcające do wyjścia na uliczne protesty mieszały się z wpisami o kolejnych rosnących liczbach zakażeń. Okupowała sejmową mównicę, zachęcała do przeprowadzania aborcji, podawała dalej zdjęcia z tak wybitnymi wyrazami obywatelskiego nieposłuszeństwa jak plakat: „Strach się ruch...ć”. To nic dziwnego, liczba kolportowanych przez nią wpisów tygodnika „Nie” świadczy o tym, że jest stałą czytelniczką gazety Urbana.

Każdy ma do tego oczywiście prawo. Ale musi szokować, że właśnie taka osoba, radykalnie antyklerykalna, w niemal każdej sprawie wieszająca psy na obecnym obozie władzy, przechodzi do partii konserwatywnego Jarosława Gowina.

CZYJ ZYSK?

Łatwo zrozumieć rozgoryczenie polityków Lewicy, których porzuciła, wyłało się pod jej adresem mnóstwo cierpkich słów. Często wręcz brutalnych, koledzy i koleżanki, zazwyczaj dopominający się o prawo wyboru dla kobiet, tego wyboru – delikatnie mówiąc – nie uszanowali. Ona sama, jakby tego nie zauważając, mówiła w Radiu Lublin: „Podzieliliśmy się na dwa nienawidzące się plemiona. [...] Moja osoba pokazuje, jak tolerancyjny jest obóz, z którego wyszłam, który niesie na sztandarach miłość. Coraz więcej osób hejtuje i jest hejtowanych, to jest bardzo trudny i społeczny problem”.

Pawłowska jest więc w Porozumieniu, ale nie jest w klubie PiS. Jak to rozumieć? Czy ten transfer ma być zyskiem dla Zjednoczonej Prawicy, której przynajmniej teoretycznie Porozumienie wciąż jest częścią? Okaze się przy głosowaniach. Ale może, jak sugerują niektórzy, ma to być wysłanie przez Jarosława Gowina sygnału do Jarosława Kaczyńskiego, że niewielka partia poradzi sobie także poza koalicją, bo nie jest skazana na szukanie poparcia tylko po prawej stronie.

Czy to ruch zrozumiały i akceptowany w strukturach partii? Nie przez wszystkich. „Jakież to szczęście, że zostałem wyrzucony z »tego« Porozumienia. W naszym Porozumieniu nie było, nie ma i nie będzie miejsca dla aborcjonistów. Jest i będzie miejsce dla konserwatystów – zapraszamy!” – to opinia posła Kamila Bortniczuka. W trwającym konflikcie – nie można od niego abstrahować – stał się on stronnikiem Adama Bielana, co sprawiło, że automatycznie stał się wrogiem Jarosława Gowina.

– Prezes na początku obecnej kadencji zmienił sposób zarządzania partią. Przestał się w zasadzie spotykać z prezydium czy z zarządem, ograniczył się do kontaktów z posłami – opowiada nam o rządach Gowina jeden z jego współpracowników. – Zależało mu na tym, by parlamentarzystów przy sobie utrzymać. Mówił wprost, że to oni stanowią o większości dla Zjednoczonej Prawicy

i to jego jedyna karta przetargowa w relacjach z Kaczyńskim.

– Ale nie udało mu się – dopowiada nasz kolejny rozmówca. – Pierwsze pęknięcie było przy wyborach prezydenckich, gdy Gowin prowadził rozmowy z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Mówiło się, że ich stawką ma być zmiana większości w Sejmie w zamian za fotel premiera dla Gowina. Teraz temat powraca i nas polaryzuje. Transfer pani Pawłowskiej ma być chyba plasterkiem na zranione ego Jarka. Coraz mniej jest naszych posłów,

Musi szokować, że właśnie taka osoba, radykalnie antyklerykalna, w niemal każdej sprawie wieszająca psy na obecnym obozie władzy, przechodzi do partii konserwatywnego Jarosława Gowina

którzy chcą wyjść z koalicji. A prezes wciąż o tym myśli. Ba, nawet nie tylko myśli, przecież buduje struktury, gdzie tylko się da.

Nasi rozmówcy zwracają uwagę, że Gowin w jakiś sposób powieli drogę Platformy Obywatelskiej Donalda Tuska. – Oficjalnie ma do niego sporo zastrzeżeń, ale w głębi duszy chyba naprawdę go podziwia – słyszymy. PO też zaczynała z wieloma konserwatystami, którzy byli konsekwentnie marginalizowani, czasem wręcz usuwani. A lewe skrzydło było wciąż wzmacniane, aż obecność w pobliżu takich osób jak Dariusz Rosati, Marek Belka, Danuta Hübner czy Włodzimierz Cimoszewicz nikogo już nie dziwiła.

PIENIĄDZE I STANOWSKA

O skoku na Ochotnicze Hufce Pracy i obsadzeniu stanowisk komendantów przez ludzi Gowina już w tygodniku

„Sieci” pisaliśmy. Na bazie tej instytucji ma być tworzona ogólnopolska struktura, która pomoże zbudować partii stabilność, nawet na czas poza Zjednoczoną Prawicą. Drugą, nie mniej ważną sprawą są finanse, bez których w polityce funkcjonować się nie da. Porozumienie jest w parlamencie częścią klubu PiS i to większy koalicjant dostaje pieniądze, ludzie Gowina muszą więc dbać o partyjne konto sami. Stąd zapewne, jak wynika ze sprawozdań składanych w PKW, rosnące wpływy z darowizn. Rok 2014 – 14 884,79 zł, 2015 – 72 835,29 zł, 2016 – 120 131,01 zł, 2017 – 170 044 zł, 2018 – 199 844,99 zł, 2019 – 235 457,11 zł.

Wpłaty na partię polityczną może, mieszcząc się w limitach, dokonać każdy obywatel. W Porozumieniu funkcjonuje jednak – jak słyszymy od działaczy regionalnych – coś takiego jak „dziesięcina”. – To nie jest prawo, ale jest taka praktyka, że jeśli masz pracę dzięki Porozumieniu, to wpłacasz na partię 10 proc. swojej pensji – opowiada nam jedna z osób spoza Warszawy. – Niektórzy są tak przywiązani do pojęcia „dziesięciny”, że wpłacają co do grosza dziesiątą część swoich zarobków. Ten mechanizm jest cał-

kowicie legalny, nikt przecież nikogo do takich wpłat nie zmusza – mówi nasz rozmówca z uśmiechem. O sprawność tej maszyny ma dbać Stanisław Derehajo, jak słyszymy, „należy to do jego obowiązków w ramach dbania o strukturę”. To rolnik i nauczyciel, sekretarz generalny Porozumienia i szef rady regionalnej na Podlasiu. Na nasze pytania o „dziesięcinę” nie chciał odpowiedzieć, odesłał do rzecznika prasowego. Zapytaliśmy więc Jana Strzeżka o tę sprawę. – Członkowie Porozumienia na różny sposób wspierają swoje ugrupowanie, także finansowo. To jednak kwestia dobrowolna – odpowiedział wicereczenik ugrupowania.

PERSPEKTYWICZNE INSTYTUCJE

Porozumienie nie zasypia gruszek w popiele. Gdy tylko partia Gowina przejmie kontrolę nad jakąś instytucją, natychmiast wprowadza w niej swoje porządki,

a mówiąc precyzyjniej: natychmiast wymienia w niej ludzi na swoich.

28 stycznia odwołana została Grażyna Ciużyńska, p.o. prezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu.

Stało się to w dniu, w którym kierowane przez Jarosława Gowina Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii przejęło nadzór nad PAIH od Kancelarii Premiera. W lutym Ciużyńska zastąpił Krzysztof Drynda. To członek opolskich władz Porozumienia, były dyrektor Departamentu Jednostek Nadzorowanych i Podległych w MRPiT, a także były wiceprezes Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej.

Przez cały czas pracy w zarządzie strefy Drynda zarobił – jak ustaliła Wirtualna Polska – 1,8 mln zł. 10 proc. z tej kwoty to 180 tys. zł. Sporo. Na jego miejsce w kierownictwie WSSE wszedł Paweł Kurtasz, kojarzony – podobnie jak Drynda – z Marcinem Ociepą (wiceministrem obrony, wiceszefem Porozumienia).

Jeszcze lepiej walkę o strefy ekonomiczne widać na przykładzie tej kostrzyńsko-słubickiej. To największa strefa w Polsce, swoim zasięgiem obejmująca województwa: lubuskie, wielkopolskie i zachodniopomorskie. Jej szefem jest Krzysztof Kielec, były gorzowski radny PiS, który przeszedł na stronę Porozumienia. Wiceszefem zaś – Stanisław Iwan, w latach 2007–2015 senator PO (gdy jej rządy upadały, przeszedł do Polski Razem). Dyrektorem ds. marketingu – Andrzej Kail, kolejny członek Porozumienia.

Tego ostatniego z prezesem Kielcem łączy coś jeszcze. Obaj byli (są?) związani z Tecra sp. z o.o., firmą działającą w branży kryptowalut, założoną i do maja ub.r. kierowaną przez Roberta Anackiego, dziś prawą rękę Gowina.

– Nie da się tak po prostu przejąć wszystkich stref ekonomicznych, bo są tam poobsadzani ludzie z różnych stron koalicji. Ale w słubicko-kostrzyńskiej i wałbrzyskiej najlepiej widać, jak Gowin z nich czepie. Czasem chodzi mu tylko o wstawienie swoich ludzi do zarządów, by dostali funkcje i pieniądze – mówi nam polityk Porozumienia. I wspomina, jak na posiedzeniach prezydium partii

wicepremier snuł wizję przejęcia „perspektywicznych instytucji”: – Otwartym tekstem mówił, że PAIH, Korporacja Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych czy Krajowy Zasób Nieruchomości to są pola, które mają służyć jako narzędzia do rozbudowy ugrupowania.

Nasz rozmówca podkreśla jednak, że to chwiejny plan – może się powieść tylko w przypadku zgody w koalicji. W każdej chwili premier może bowiem jedną decyzją zmienić to „władztwo korporacyjne”. – Tak było w przypadku nad-

Coraz mniej jest naszych posłów, którzy chcą wyjść z koalicji. A prezes wciąż o tym myśli. Ba, nawet nie tylko myśli, przecież buduje struktury, gdzie tylko się da – mówi polityk Porozumienia

zoru Janusza Kowalskiego z MAP nad CPK. Gdy się zorientowano, że zaczął za bardzo brykać, i uznano, że to pole do robienia polityki Solidarnej Polski, to natychmiast nadzór przeszedł bezpośrednio pod rządowego pełnomocnika.

GOWINOWI PUSZCZAJĄ NERWY

Ludzie Gowina mają od kogo się uczyć. Swoim działaniem lekcji nieustannie udziela wspomniany Robert Anacki. Jego modus operandi opisaliśmy na przykładzie Ochotniczych Hufców Pracy, których „reformę” nadzoruje. Sam się tym chwalił na spotkaniu wigilijnym w mazowieckiej komendzie OHP: „Jestem oddelegowany do przeprowadzenia reformy państwa instytucji przez pana premiera Gowina i panią minister Michalek. Nadzoruję od strony politycznej”. To on „wstawił” na szefa komendy głównej Grzegorza Waltera, a swoim dawnym wspólnikom biznesowym załatwił atrakcyjny kontrakt na audyt informatyczny w OHP.

Jego firma, gdy wciąż współnależała do niego, otrzymała od nadzorowanego wtedy przez wicepremiera Narodowego Centrum Badań i Rozwoju dotację w wysokości ponad 10 mln zł.

Opisaliśmy też, jak lobbował u wiceministra finansów za nawiązaniem współpracy przy budowie Nowego Krajowego Systemu Poboru Opłat ze słowacką firmą SkyToll, powiązaną z kremlowskim oligarchą Olegiem Dieripaską.

Nasze publikacje wywołały historyczne reakcje u szefa Porozumienia.

Gowin mówił w „Rzeczpospolitej”, że przed rokiem Anacki poinformował o tym lobbingu jego oraz odpowiednie organy państwa i „jest o tę sprawę spokojny”. My bylibyśmy spokojni, gdyby wicepremierowi rządu RP zapaliła się czerwona lampka i co najmniej ograniczył kontrowersyjne działania swojego podwładnego, zamiast zlecać mu kolejne polityczne misje (jak ta w OHP). Lider Porozumienia nie omieszkiał też pokazać twarzy, z jakiej dotychczas nie był szerzej znany. Zamiast się wytłumaczyć z ujawnionych niewygodnych dlań faktów, uciekł się do połajanek pod naszym adresem: „To pseudodziennikarstwo. Uczciwiej jest uprawiać politykę wprost, niż robić to, udając dziennikarzy. Atak na Roberta Anackiego traktuję jako próbę chwytania się brzytwy przez tych, którzy skompromitowali się próbą rozbicia Porozumienia”.

Specjalistą od rozbijania jest sam Anacki, na czym Gowin skwapliwie skorzystał w 2017 r. Do tego czasu Anacki wraz ze swoim otoczeniem był korwinistą. Z partii Wolność został jednak wyrzuty po próbie jej rozbicia i przy zarzutach prezesa Janusza Korwin-Mikkego o wyprowadzanie pieniędzy.

Teraz gdy z drugiego bieguna własnie dołączyła do Porozumienia Monika Pawłowska – wojownicza o aborcję na życzenie – w Porozumieniu spotykają się ludzie z najbardziej odległych krańców polityki. Co może spajać taki personalny miszmasz? Czy tych ludzi mogą połączyć wspólne idee, pomysły na rozwój Polski? Czy celem samym w sobie ma być perspektywa znalezienia się u władzy, nawet po pełnym przemeblowaniu sceny politycznej?



Nikt nie walczył tak mocno jak Morawiecki

W poprzednim numerze naszego tygodnika lider Solidarnej Polski, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro przedstawił krytyczną ocenę ostatnich decyzji Polski w relacjach z Unią. Dziś publikujemy kolejny ważny głos w tych sprawach

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają
z **Konradem Szymańskim**, ministrem ds. europejskich
w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

Ostatni raz rozmawialiśmy po grudniowym szczycie Unii Europejskiej, kiedy premier Mateusz Morawiecki musiał toczyć ciężki bój o doprecyzowanie tzw. rozporządzenia o praworządności. Elementem kompromisu było zobowiązanie się Komisji Europejskiej do stosowania tego mechanizmu w sprawach wyłącznie związanych z zagrożeniem utraty funduszy, korupcji, niegospodarności. Zawarto to w tzw. konkluzjach postanowień

szczytu. Z drugiej strony na szali leżały ogromne pieniądze także dla Polski. Czy podjęte wtedy ryzyko się opłaciło? Czy Bruksela dotrzymuje słowa? Czy też, jak mówili krytycy, pokazaliśmy naiwność, za którą trzeba będzie szybko zapłacić?

Konrad Szymański: Musimy zacząć od ważnego zastrzeżenia: nikt nigdy nie sugerował, że spór, jaki toczy się od pięciu lat na politycznym forum unijnym i w trybunałach, a który

w tamtym momencie przelał się także na kwestie budżetu unijnego, zakończy się skutek jednego kompromisu. W grudniu sprawą do załatwienia był budżet i dwuznaczności jednego rozporządzenia. I to zostało załatwione.

Co zatem było celem wtedy w grudniu?

Chodziło o to, by z trudnych, dwuletnich negocjacji budżetowych Polska wyszła zwycięsko, a jednocześnie, by oddalić realną groźbę nadużywania mechanizmu ochrony budżetu przez KE. Nie chodzi przecież tylko o to słynne rozporządzenie. Budżet jest dla Polski najlepszy z możliwych, mimo odejścia z Unii Wielkiej Brytanii oraz mimo naszych dobrych wyników gospodarczych.

Te wyniki coś zmieniają?

Oczywiście. Sporo krajów podnosiło, że nie jesteśmy już najbardziej potrzebującymi w Europie, inne potrzeby są pilniejsze. I jest w tym argumentie siła, bo Polska bardzo się rozwinęła. Także reakcja na kryzys covidowy pokazała, że Polska była do niego przygotowana gospodarczo znacznie lepiej niż wiele innych państw. Te argumenty wybrzmiewały w tych negocjacjach bardzo często, niekiedy ze złą wolą, w celu zbiccia wysokości budżetu dla Polski. Ale dziś wiemy, że nieskutecznie. W budżecie i funduszu odbudowy mamy ponad 700 mld zł.

A drugi cel negocjacyjny, czyli oddalenie rozporządzenia o praworządności? Ono jednak zostało przyjęte.

Nie mamy nic przeciw zasadzie praworządności. Nasz niepokój budziły niejasne i wieloznaczne sformułowania zawarte w rozporządzeniu. Uważaliśmy, że celowo tak to zredagowano, a Parlament Europejski właśnie taki niejasny, mętny kształt rozporządzenia wspierał. Chodziło o to, by do tego worka „naruszenia praworządności” można było wrzucić wszystko, także różnice polityczne czy konstytucyjne. By oddalić to niebezpieczeństwo, premier zażądał jednoznacznych gwarancji stosowania tego rozporządzenia tylko w sprawach

dotyczących przeciwdziałania korupcji. Bo inaczej wszyscy znajdziemy się w sytuacji, w której jakikolwiek zarzut polityczny będzie mógł skutkować rozpoczęciem procedury, a następnie zawieszeniem płatności. I to się udało w trzech ważnych krokach. Pierwszy to konkluzje Rady Europejskiej, która takie jednoznaczne zasady stosowania przyjęła. Drugi to uznanie przez służby prawne Rady, że to jest zgodne z unijnym prawem i samym rozporządzeniem. I trzeci – autonomiczne zobowiązanie się do protokołu przez Kolegium Komisji Europejskiej, że te szczegółowe reguły będą przez KE stosowane.

Samo stwierdzenie naruszenia zasady praworządności nie jest wystarczające, by użyć mechanizmu ochrony budżetu. Musi być wykazany związek przyczynowo-skutkowy między tym naruszeniem a szkodą dla budżetu UE

Jaki jest zatem dzisiaj, po tym wszystkim, stan spraw? Jak wygląda możliwość użycia rozporządzenia o praworządności?

W regułach stosowania rozporządzenia jest jasno powiedziane, że samo stwierdzenie naruszenia zasady praworządności, nawet przez instytucje unijne, nie jest wystarczające, by użyć mechanizmu ochrony budżetu. Musi być wykazany związek przyczynowo-skutkowy między tym naruszeniem a szkodą dla budżetu unijnego. Co ważne, ciężar przeprowadzenia takiego dowodu spoczywa na Komisji Europejskiej. Pierwotnie miało być odwrotnie – to państwo członkowskie miało wykazywać, że nie jest wielbłądem, ma szukać zrozumienia u innych państw członkowskich. Absurdalne, ale tak to sobie wyobrażano.

W wywiadzie opublikowanym w poprzednim wydaniu „Sieci” lider Sołidarniej Polski minister Zbigniew Ziobro mówi jednak tak: „W wymiarze prawnym rozporządzenie nie zmieniło się ani o jotę, jest tak samo niebezpieczne. Protokół to deklaracja polityczna. W zderzeniu takiego dokumentu z zapisami prawa wygra prawo, dla nas może być okrutne. Oczywiście, ostateczne rozstrzygnięcie, kto w tej sprawie miał rację, dopiero przed nami, ale komisarz Věra Jourová już zapowiada, że użyje tego narzędzia, i to w sferze LGBT. Obawiam się, że wie, co mówi”. Jak pan odpowie na te obawy?

Konkluzje Rady Europejskiej, choć faktycznie mają charakter polityczny, też mają swoją rolę w traktatach unijnych, nie da się ich pominąć, nie dostrzegać. Co najważniejsze, nasze przekonanie, iż jesteśmy w sytuacji lepszej niż przed grudniem, budujemy przede wszystkim na zobowiązaniu się przez Komisję Europejską do ustalonych reguł stosowania rozporządzenia o praworządności. KE jest jedyną instytucją, która to nowe prawo ma stosować.

A jeżeli zmieni się Komisja?

Spór toczy się na wielu polach. Tu chodzi o budżet. Nie tylko Komisja może się zmienić, także rozporządzenie – nawet najlepsze – może ktoś w przyszłości próbować zmieniać. Proszę pamiętać, że sukces Polski i Węgier widać najostreż, gdy uświadomimy sobie, że ostatecznie 25 innych państw uznało, iż ta wieloznaczność zapisów im nie przeszkadza. Część z nich prywatnie podzielała naszą opinię, niektóre szemrały po kątach, ale ostatecznie nikt poza dwoma krajami nie uznał, iż trzeba to odrzucić.

Może zatem należało powiedzieć „dość” – używamy weta, nie chcemy żadnego rozporządzenia, a jak wy go chcecie, to nie będziecie mieć budżetu. Może w grudniu, a może jeszcze wcześniej w lipcu? Stawką było przecież skokowe, radykalne obniżenie poziomu naszej suwerenności.

Tu dochodzimy do kluczowej różnicy w diagnozie sytuacji. Żadne weto wobec budżetu nie mogło powstrzymać

przyjęcia rozporządzenia, które miało przygniatającą większość w Radzie Europejskiej. Nie mają bowiem racji ci, którzy prawnie łączą budżet z tym rozporządzeniem. Jedno nigdy nie było częścią drugiego. Rozporządzenie w każdej chwili, bez żadnego związku z budżetem, mogło przejść przez Radę na zasadzie zwykłej większości. Później moglibyśmy je zaskarżać, tak jak teraz to zrobiliśmy. Weto byłoby więc wyrażeniem szkody sobie, z uwagi na kwestie czysto finansowe, i spełnieniem cichych pragnień tych państw, którym się nie podobało, iż Polska dobrze wychodzi z negocjacji, że otrzymała potężne kwoty. I jednocześnie nie przyniosłoby żadnego skutku w wymiarze zablokowania rozporządzenia. Nie ma takich mechanizmów. Wbrew pogłoskom prowizorium budżetowe byłoby kosztowne także dla Polski. Uderzyłoby w płynność polskiego budżetu w pierwszym kwartale 2021 r.

Pomysł był taki, że mówimy: „Nie będzie budżetu, dopóki nie wycofacie się z planów tego niejasnego, wieloznacznego rozporządzenia”.

Skąd założenie, że niektóre najbogatsze państwa Unii, nazywane „klubem skąpców” lub mniej obcesowo „gronem państw oszczędnych”, nie powiedziałyby: A, OK, nam to pasuje”? W mojej ocenie istniało ogromne ryzyko, że z zadowoleniem przyjąłby wzięcie przez kogoś innego odpowiedzialności za załamanie planów, których oni nie byli zwolennikami. Bo mówimy „budżet”, a to w istocie plan znaczącego poszerzenia transferów unijnych na rzecz stolic w potrzebie, głównie na południu i w Europie Środkowej. W tym scenariuszu moglibyśmy odegrać rolę pożytecznego, powiedzmy, pomocnika, nie w swojej sprawie. To kto inny i w lipcu, i w grudniu był zainteresowany, by budżet nie przeszedł. Ale nigdy swoimi rękoma.

Nie ma możliwości, że komisarz Jourová wychodzi i ogłasza, że brak w polskim prawie formuły tzw. małżeństwa homoseksualnych jest złamaniem zasad unijnej praworządności i w związku z tym ona występuje o wstrzymanie nam funduszy, a Komisja to przyklepuje?

Nie ma takiej możliwości. Może to mówić w gazecie, nic więcej. Jeżeli przewodnicząca Komisji i inni komisarze uważają, że takie komentarze w mediach są dobre dla autorytetu tej instytucji, to jest to ich sprawa.

Wielu ludzi znających Unię, choćby Jacek Saryusz-Wolski, przestrzega jednak: nie wolno im ufać, oszukają, jak tylko będą mogli. Można

Z całą pewnością z powodu np. nieuznania związków homoseksualnych za małżeństwa Polska nie straci ani jednego euro

zatem sobie wyobrazić, że za jakiś czas mówią, że konkluzje Rady, zobowiązanie Komisji Europejskiej to ciekawe dokumenty, ale prawem jest rozporządzenie i oni jego własnie użyją.

Nie mogą tego zrobić. W zobowiązaniu KE mamy precyzyjnie wymienionych 11 punktów mówiących o tym, kiedy można użyć tego mechanizmu, a kiedy nie, jak rozumieć wątpliwe elementy rozporządzenia. Ogólne mniemanie, że zdaniem kogoś coś jest nie tak z praworządnością, to za mało. Musi być pokazany związek z wykazaną szkodą dla budżetu UE. Musi być też wykazany związek przyczynowo-skutkowy. I wtedy rozpoczynamy dyskusję o dowodach i proporcjach. Sądę, że rozporządzenie zostało sprowadzone na ziemię tak dalece, jak to było możliwe przy posiadanych przez nas instrumentach. I z całą pewnością z powodu np. nieuznania związków homoseksualnych za małżeństwa Polska nie straci ani jednego euro. Natomiast spór na ten temat będzie trwał, chociażby w kontekście rozumienia zasady niedyskryminacji i praw człowieka. Ale to niezależna sprawa, która jest starsza niż spór o budżet.

Musimy uznać, że napięcie polityczne i ideowe jest elementem trwałym?

Musimy dostrzec, że z Europą w ostatnich latach dzieje się coś niepokojącego. Widać wyraźnie, że tradycyjna, konserwatywna, chrześcijańska inspiracja w Europie ma coraz mniej tlenu. Nawet argument dla mnie minimalistyczny, ale który dobrze pamiętam choćby z moich lat w Parlamencie Europejskim, iż siłą Europy jest poszanowanie różnorodności, uznania tradycji poszczególnych państw, jest dziś pozbawiany znaczenia. Następuje tu zmiana i jest to poważne wyzwanie dla Polski, a także wszystkich chrześcijan, którzy nadal chcą wierzyć, że Europa to także ich projekt.

Czy dobrze rozumiemy, że napomina pan krytyków, by pamiętali, w jak trudnym otoczeniu zewnętrznym funkcjonują dziś wszystkie siły konserwatywne, a już zwłaszcza na gruncie unijnym?

Przede wszystkim chcę zaapelować, byśmy nie próbowali uderzać sami we własne interesy, bo tych, którzy w nie uderzają, którzy chcą zatrzymać wzrost siły Polski, i tak nie brakuje. Musimy zrozumieć, że żadne weto nie mogło zatrzymać rozporządzenia. Zarządzanie tym kryzysem w grudniu pozwoliło na maksymalne wzmocnienie pozycji Polski w tym sporze. Co gorsza, żadne mityczne weto nie unieważni głębokich zmian aksjologicznych całego świata zachodniego, nie tylko Unii.

Przed szczytem grudniowym Węgry i Polska jednak zagroziły wetem – do budżetu właśnie.

Impas w negocjacjach budżetowych był konieczny. Nie przyniósł zmiany w pozytywnym stanowisku 25 państw UE wobec rozporządzenia. Ale pozwoliła na ustanowienie takich gwarancji stosowania rozporządzenia w sprawie praworządności, które maksymalnie wzmocniły pozycję Polski w tym sporze.

Minister Zbigniew Ziobro przekonuje, że on na unijnym forum ministrów sięgnął kilka razy po twarde weto i było to skuteczne narzędzie. Może trzeba grać ostrzej?

Znam dwa przypadki, gdy polski, rekomendowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości, sprzeciw na poziomie ministerialnym spowodował, że deklaracyjny dokument Rady zamiast być konkluzjami tej Rady, był przyjmowany jako konkluzje prezydencji. Nie sądzę, by była to zmiana piorunująca. A zatem założenie, że weto jest cudownym eliksirem, jest dla mnie trudne do przyjęcia. Zgodnie z traktatami bardzo wiele spraw, które są realną zmianą prawa czy reguł, rozstrzyga się większością kwalifikowaną, gdzie mityczne weto nie działa w ogóle. Nie przyłączyliśmy się jako kraj do Prokuratury Europejskiej, a mogliśmy. Dlatego Prokuratura funkcjonuje w UE tylko w ramach wzmocnionej współpracy.

Wróćmy jeszcze do konkluzji Rady Europejskiej. Zaufanie do deklaracji, a nawet zapisów w dokumentach Rady jest w Polsce o tyle ograniczone, że po lipcowym szczycie Rada zadeklarowała, iż „will revert rapidly to the matter”, czyli „powróci szybko do sprawy”, co sugerowało trwanie negocjacji. A potem twierdzono, że temat jest zamknięty.

Stało się tak, jak głosił zapis. Rada do tematu wróciła, mechanizmy stosowania rozporządzenia zostały doprecyzowane. Od początku było jasne, że przyjęcie rozporządzenia nie wymaga żadnej specjalnej zgody Rady Europejskiej. W tym sensie premier nigdy tego rozporządzenia nie poparł ani nie przywrócił prac legislacyjnych. One trwały przy ostrym sprzeciwie Polski i Węgier. Rada mogłaby się ewentualnie sprzeciwić jednomyślnie, na co jednak szans nie było, bo dla 25 innych państw rozporządzenie okazało się do przyjęcia. Mogę się temu dziwić, ale faktów to nie zmienia. Jednocześnie pamiętajmy, że doprecyzowanie mechanizmów stosowania rozporządzenia poparły także wszystkie państwa.

Źródłem prawa unijnego jest jednak samo rozporządzenie?

Źródłem prawa jest rozporządzenie, ale mechanizmy jego stosowania określiła Rada Europejska, a przyjęła je autonomicznie Komisja Europejska. Jeżeli ktoś próbuje działać niezgodnie z tym, co ustaliliśmy, będziemy mogli zaskarżać każdą decyzję i będziemy mieli bardzo mocne argumenty. Samo rozporządzenie też zresztą zaskarżyliśmy do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Pojawiający się na prawicy resentyment, by wyjść z UE, nie rozwiązałby żadnego z naszych problemów. Odwrotnie – one by się powiększyły, bo osłabienie więzi ze światem zachodnim jest szkodliwe dla naszych interesów gospodarczych i politycznych

Cofnijmy się jeszcze na chwilę do roku 2018. Wtedy pojawiały się sygnały o możliwym kompromisie z Komisją Europejską wokół reformy wymiaru sprawiedliwości. Polska ustąpiła, cofnęła kilka zmian, ale druga strona – jak się mówi nieoficjalnie – słowa nie dotrzymała, presji nie zdjęła. Oszukali nas?

UE nie wykorzystała szansy na wygaszenie sporu, który jest szkodliwy i kosztowny dla wszystkich. Tak historia zapamięta rok 2018.

Była jednak lista europejskich życzeń – spełniona. Bez efektu.

Nigdy nie było listy życzeń przedstawianych Polsce. Szukaliśmy sposobu na wyjście z kryzysu, który przynosi obu stronom wyłącznie koszty. Szukanie sposobu na wyjście z impasu było

więc autonomiczną decyzją strony polskiej. W żadnym stopniu nie można też mówić, że to w jakimkolwiek stopniu osłabiło reformę wymiaru sprawiedliwości. Zmiany wtedy przyjęte przez Sejm miały drugorzędne znaczenie dla kluczowych problemów polskiego wymiaru sprawiedliwości.

To zawahanie wybiło jednak reformy z rytmu.

Mówmy o konkretach. Zmiany z 2018 roku dotyczyły przeniesienia prawa do mianowania asesorów sądowych z Ministra Sprawiedliwości na Prezydenta i przeniesienie prawa do wydłużania orzekania przez sędziego z Ministra Sprawiedliwości na Krajową Radę Sądownictwa. Inne zmiany dotyczyły wieku emerytalnego sędziów. Gdzie tu wybiecie z impetu? Gdzie tu ograniczenia w działaniach na rzecz zwiększania sprawności sądownictwa, polepszania dostępności dla obywateli? Odkładając na bok UE, musimy sobie zadawać te pytania o kondycję wymiaru sprawiedliwości, która się pogarsza. Braku cyfryzacji rejestrów sądowych, czy efektywnych procedur postępowania nie da się zwalić na złą UE. To nasza krajowa odpowiedzialność. Poza tym zwracam uwagę, że ostatecznie cała presja na Polskę w sprawie wymiaru sprawiedliwości przeniosła się realnie z pola politycznego w Radzie do TSUE. To efekt naszych wysiłków, także dyplomatycznych i zręcznej gry, które unieszkodliwiły użycie mechanizmów politycznych. Dyskusje w Radzie trwają, ale nie ma tam większości, która byłaby zdolna głosować przeciwko Polsce.

Dwie sprzeczne tezy pojawiają się w przestrzeni publicznej przy tej okazji: że ideologia jest narzędziem do budowania przewagi gospodarczej Zachodu i że Zachód jest gotowy do dokonania nawet samobójstwa gospodarczego w imię ideologii.

Dla Polski problemem jest zarówno zdarzający się brak zrozumienia dla zróżnicowanych interesów gospodarczych, jak i tocząca się równoległa poważna dyskusja aksjologiczna.



Fot. Andrzej Wiśniewski

Unia przez ostatnie 15 lat obsuwa się w kierunku bardzo niepokojącym, mamy coraz mniej przestrzeni dla odwoływania się do źródeł naszej cywilizacji. Zresztą to dotyczy całego zachodniego świata, nie tylko UE. To paradoks, że liberalizm wszedł w fazę, kiedy realny pluralizm poglądów przestał być pożądany. Nagle to homogenizacja staje się modna. Wychodzi to bardzo mocno przy kwestiach ochrony życia czy sprawach równości kobiet i mężczyzn.

Jaki jest problem z równością kobiet i mężczyzn?

W wielu tego typu dyskusjach odwołujemy się do języka traktatów i samej Karty praw podstawowych, gdzie wśród wartości UE wpisana jest wyraźnie równość kobiety i mężczyzny. Parę państw,

które chętnie odwołują się do traktatów przy innych okazjach, ten język otwarcie odrzuca jako konserwatywny.

Z powodu?

To konsekwencja ogromnego awansu agendy LGBT, która dziś w centrum uwagi stawia już nie kwestie praw osób homoseksualnych, lecz przede wszystkim transseksualność i pochodnych. Na tym tle traktatowa równość kobiet i mężczyzn, która jest ważna dla Polski, staje się prawdziwie reakcyjnym przeżytkiem.

Jeśli dobrze odczytujemy pana generalny przekaz: w tych warunkach nie ma wyjścia, jak grać elastycznie, czasem sprytnie i czekać na lepsze czasy? Na jakąś zmianę klimatu społecznego i politycznego?

Świat nie jest doskonały. Czy w Unii, czy poza nią żyjemy w świecie głębokich współzależności. W tym sensie wyładowywanie naszej niechęci do pewnych zmian na procesie integracji jest puste, bo zmieniają się nie tylko Bruksela i Unia, lecz w ogóle świat. I musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, co z tym chcemy zrobić, jak w tym funkcjonować. Na pewno obrażenie się, odwrócenie na pięcie, uderzanie głową w ścianę, niczego nie zmienia. Niby dlaczego mamy rezygnować z Europy, która jest także naszą Europą? Pojawiający się na prawicy resentyment, by wyjść z UE, nie rozwiązałby żadnego z naszych problemów. Żadnego. Odwrotnie – one by się powiększyły, bo osłabienie naszych więzi ze światem zachodnim jest szkodliwe dla naszych interesów gospodarczych i politycznych. Trzeba sobie to jasno mówić.

Jedno byśmy odzyskali: możliwość swobodnego kształtowania naszej rzeczywistości w wielu obszarach, dziś ograniczonych unijnymi przepisami, a najczęściej presjami. Myslę tu o kulturze, edukacji, wymiarze sprawiedliwości.

Takie zyski, nawet jeśli się pojawiły, zostałyby przykryte przez utratę wpływu na wiele innych obszarów. W przeważającej większości naszych interesów spadlibyśmy do roli petenta wspólnego rynku UE. Jeśli chcemy ochronić chrześcijańską kulturę w Polsce, nigdy nie przeciwstawiamy jej interesom bezpieczeństwa i dobrobytu Polaków. To pachnie sekciarstwem. Wobec tak sztywnej alternatywy można też doczekać się nieprzyjemnej odpowiedzi od samych Polaków. A przecież chodzi nam o tożsamość, interes kraju, a nie satysfakcję paru politycznych działaczy, prawda?

Musieliśmy się zgodzić na tak znaczące podniesienie celu klimatycznego? Nie było szans na wynegocjowanie chociaż jakiejś polskiej własnej drogi?

Ależ tak właśnie się stało. Prawda jest taka, że w 2021 r. doszliśmy do etapu, w którym zaniechanie transformacji byłoby droższe niż sama transformacja.

Dziś olbrzymie inwestycje w energetyce, ale i ciepłownictwie, transporcie są konieczne bez względu na UE. Jedynie, co można zrobić, to napisać taki scenariusz transformacji, który byłby najlepiej dostosowany do naszych potrzeb i możliwości. Oraz, co bardzo ważne, podzielić te koszty między Polskę a Brukselę. Ministerstwo Klimatu właśnie to robi. Z 1,6 bln zł ok. 20 proc., czyli 330 mld zł, to koszty w energetyce do 2040 r. W tym czasie będą trzy budżety UE. Co najważniejsze, pieniądze publiczne są po to, by generować inwestycje prywatne. Jeśli weźmiemy to wszystko pod uwagę, koszty transformacji będą znacząco dla Polski obniżone.

Jednak rezygnujemy z węgla, naszego najtańszego paliwa.

Sprawa importu węgla do tak węglowego kraju jak Polska pokazuje, że już dzisiaj atrakcyjność węgla spada. Także dlatego, że trudno o finansowanie takich przedsięwzięć nie tylko w Unii, ale w ogóle na świecie.

Koszty zezwoleń na emisję CO₂ pogarszają konkurencyjność polskiej gospodarki.

Dlatego walczymy o polepszenie naszych warunków. Na grudniowym szczycie nikt nie walczył o to tak mocno jak premier Mateusz Morawiecki. I efekty będą, dostaniemy więcej uprawnień. To też jest tam zapisane.

Przewija się w tej rozmowie myśl, że patrząc na otoczenie zewnętrzne i realne zasoby środowisk konserwatywnych w Polsce, rządy Zjednoczonej Prawicy są czymś kruchym, wymagającym szacunku. Często to podkreślamy. Czy jednak nie prze-gapimy momentu, w którym nasza suwerenność, wciągana w tę magmę kompromisów i elastyczności, zostanie skokowo zredukowana?

Nikt nigdy nie zwolni nas z zadawania sobie tego pytania. I dobrze, że pada ono także w naszym obozie politycznym. Wartość suwerenności Polski, bezpieczeństwa, dobrobytu rozumieją i dzielą w tym

samym stopniu wszyscy politycy Zjednoczonej Prawicy. Uważam też, że każdy, kto nawet sugeruje, że jest inaczej, działa na szkodę tego obozu i tym samym interesu Polski. Co to w praktyce oznacza? Myślę, że nie ma historycznego doświadczenia, które byłoby porównywalne z sytuacją obecną. Żyjemy w czasie bezprecedensowych współzależności, zbudowanych nie tylko przez politykę, ale także i gospodarkę, i struktury bezpieczeństwa. I to wykracza daleko poza Unię. Wiele państw i środowisk politycznych zadaje sobie pytanie, co dzisiaj znaczą suwerenność? Jak ją realizować

Jeśli chcemy ochronić chrześcijańską kulturę w Polsce, nigdy nie przeciwstawiamy jej interesom bezpieczeństwa i dobrobytu Polaków. To pachnie sekciarstwem

w praktyce, w świecie tak głęboko współzależnym? Nie ma tu miejsca na proste odpowiedzi.

Jaka jest polska odpowiedź?

Ze względów historycznych, doświadczywszy długiej utraty suwerenności, stawiamy w Warszawie te pytania częściej i mocniej niż w innych stolicach. Odpowiedzi szukamy w boju, zwracając uwagę nie tylko na deklaracje, ale także realne skutki działań. Czy Polska będzie bezpieczniejsza? Czy Polacy będą się cieszyli dobrobytem? Mamy w tym sporę rację także pod kątem interesów samej UE. Europa będzie bezpieczna wtedy, gdy narody mają poczucie, iż są suwerenne. Gdy dochodzą do wniosku, że nie są w stanie kontrolować swojego losu, sytuacja staje się niebezpieczna. To jest najprostsza

droga do zniszczenia integracji Europy. W tym sensie ci wszyscy kaznodzieje integracji dowodzący, iż wystarczy zlikwidować tę okropną suwerenność państw, jeszcze gorsze tożsamości narodowe, są ludźmi, którzy nie odrobili podstawowej historycznej lekcji Europy.

I demokrację, bo na poziomie unijnego molocha będzie ona fikcją. Dziś Polacy mają wpływ na to, jak są rządzeni w państwie narodowym. W unijnym superpaństwie ten wpływ stanie się iluzoryczny i prędzej czy później obudzi w Europie złe duchy.

Wtedy zostanie tylko chaos i niekontrolowane przez nikogo wybuchy wściekłości. Pomruki mamy już dziś. Lekceważenie tego niezadowolenia jest budowaniem porażki dla współpracy europejskiej.

Czy z pana punktu widzenia, doświadczonego polityka konserwatywnego, ważnego doradcy i premier Szydło, i premiera Morawieckiego, rządu obojga polityków różnią się jakoś zasadniczo w podejściu do UE? Nastąpiła tu jakaś zmiana?

Nie. Oboje premierów ma tę samą pasję, by szukać najlepszych szans dla Polski, nie wykluczać żadnego scenariusza, nawet z pozoru zbyt ambitnego, wymagającego wejścia w spór, a nawet konflikt, kiedy to konieczne. Od pięciu lat rząd na tym unijnym forum, które widzę z bliska, uparcie walczy o rozwój Polski, jej siłę, podmiotowość. Trzeba pamiętać, że oboje premierów prowadzi politykę w skrajnie trudnych warunkach. Europa przechodzi kolejne kryzysy. To wzmacnia nerwowość wszystkich. W Polsce w kontekście UE bardzo łatwo wzbudzać niepokój polityczny, czasem wręcz w trakcie trudnych negocjacji. Jesteśmy wciąż bardzo mało pewni siebie jako opinia publiczna. To pozwala na ostre rozgrywanie kraju wewnątrz. Wiele razy widziałem, pracując dla obojga premierów, jak ważne w takich momentach są zimna krew i spokój.

Wspieramy nie tylko kino historyczne

Szanowny Panie Redaktorze,

tydzień temu na łamach tygodnika „Sieci” ukazał się wywiad z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą, w którym opowiadał on m.in. o dofinansowaniu przez Polski Instytut Sztuki Filmowej filmu poświęconego losom polskich górali w czasie II wojny światowej.

W związku z powyższym informuję – przede wszystkim Czytelników tygodnika „Sieci”, którzy zostali wprowadzeni w błąd – że wzmiankowany film jeszcze nie powstał, pozostaje na etapie prac scenariuszowych, a scenariusz konsultowany był m.in. z Instytutem Pamięci Narodowej; intencją zaś twórców jest opowiedzenie prawdy o trudnym fragmencie naszej historii, także o walce polskich górali z okupantem czy o kurierach tatrzańskich. Zwracam też uwagę, że IPN zrealizował film dokumentalny o obozie niemieckim dla dzieci na ul. Przemysłowej w Łodzi, o którym wspominał Pan Minister, a Ministerstwo Kultury wraz z Rzecznikiem Praw Dziecka powołuje właśnie trwałą instytucję pamięci – muzeum poświęcone historii tego tragicznego miejsca i jego ofiarom.

Dodam, że od 2016 r. instytucje nadzorowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wydały ponad 200 mln zł na wspieranie polskiego kina historycznego. Ogłoszony został m.in. konkurs na scenariusz filmu historycznego, na który nadeszło ponad 800 propozycji. Powstało i powstaje wiele filmów fabularnych i dokumentalnych, seriali oraz innych produkcji poświęconych polskiej historii, m.in. fabuły „Raport Pileckiego”, „Kurier” (o Janie Nowaku-Jeziorańskim), „Piłsudski”, „Legiony”, „Dywizjon 303”, „ORP Orzeł”, „Żeby nie było śladów” (historia Grzegorza Przybyły), „Łuna” (o Żołnierzach Wyklętych), „Zieja”, „Śmierć Zygimuntowa”, „Bokser” (o więźniu Auschwitzu Tadeuszu Pietrzykowskim), „Orleń” (o obrońcach Grodna), „Figurant” (o działaniach SB wobec Jana Pawła II), „Klecha” (o ks. Romanie Kotlarzu zamordowanym przez SB po wydarzeniach radomskich), „Młody Piłsudski” czy seria telewizyjna „Geniusze i marzyciele”, która pokazuje dokonania – często mało znanych – polskich naukowców i odkrywców. W przygotowaniu są m.in. filmy o rodzinie Ulmów, rzezi Woli, Merianie C. Cooperze, Ignacym Łukasiewiczu. Powstały też wybitne panoramyczne dokumenty oparte na niepublikowanych materiałach archiwalnych – „Niepodległość”, obejrzana już przez wiele milionów Polaków opowieść o procesie kształtowania polskiego państwa w latach 1918–1923, oraz „Wojna światów” – o wojnie polsko-bolszewickiej. Wyprodukowany ze środków Ministerstwa Kultury przez Narodowe Centrum Kultury pierwszy w Polsce film w technologii VR pt. „Kartka z powstania” otrzymał m.in. główną nagrodę na festiwalu w Los Angeles, a od tamtego czasu powstały kolejne produkcje VR: „MS Piłsudski” i „Wiktoria 1920”.



Warto przy tym podkreślić, że filmów ani sztuki nie tworzy się zarządzeniami czy rozporządzeniami ministra – czas ukazów w naszej historii był, ale bezpowrotnie szczęśliwie minął. Kulturę tworzą ludzie. Każdy twórca, który przychodzi z wartościowym projektem, może liczyć na wsparcie naszego państwa. Ministerstwo Kultury cały czas zachęca twórców do podejmowania ważnych tematów i wspiera dzieła tych, którzy przez lata byli wymazywani z oficjalnego obiegu, m.in. Roberta Kaczmarskiego, Bronisława Wildsteina, Marię Dłużewską, Rafała Wieczyńskiego, Macieja Pawlickiego, Pawła Woldana, Jerzego Zalewskiego czy Arkadiusza Gołębińskiego.

Warto zauważyć, że w dzisiejszej opowieści o historii równie ważną rolę, co twórcy filmowi, odgrywają instytucje, w tym nowoczesne muzea, które prowadzą wielowy-

miarową, nowoczesną narrację historyczną. To właśnie takie instytucje są nośnikami rzeczywistej społecznej zmiany. Od 2016 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego konsekwentnie rozbudowuje sieć instytucji, których celem jest wypełnienie białych plam polskiej pamięci historycznej – obecnie realizujemy (bądź już zrealizowaliśmy) ponad 100 projektów instytucjonalnych, które będą naszym wianem dla przyszłych pokoleń, wymierną i trwałą pamiętką setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, które będą żywymi i aktywnymi strażnikami naszej pamięci, naszej wspólnotowej tożsamości. Są wśród nich liczne muzea, na czele z Muzeum Historii Polski czy

– co ważne w związku z tematem góralskim – muzeum katowni Podhala, „Hotel Palace”, powstającym jako Oddział Muzeum Tatrzańskiego (od tego roku, m.in. z tego powodu właśnie, współprowadzonego przez Ministerstwo Kultury), ale są i takie, dobrze już znane opinii publicznej, instytucje jak Instytut Pileckiego, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Ignacego Jana Paderewskiego i Romana Dmowskiego, Instytut Literatury (który m.in. ostatnio wydał świetną książkę Wojciecha Wencła o Kazimierzu Wierzyńskim) czy Instytut Dziedzictwa „Solidarności”, z którym prowadzimy historyczną Salę BHP w Stoczni Gdańskiej i organizujemy muzeum w historycznej stolówce Stoczni Szczecińskiej.

Dążenie do zachowania polskiej tożsamości leżało – jak mniemam – u podstaw uwag ministra Zbigniewa Ziobry skierowanych w moją stronę. Zapewniam jednak, że od pięciu lat rząd polski – mam nadzieję, że wszystkie jego resorty w tym samym stopniu – REALNIE, poprzez tworzenie konkretnych instytucji zmiany społecznej – a nie tylko werbalnie – walczy o wzmocnienie polskiej tożsamości i polskiej wspólnoty!

Z wyrazami szacunku,

Piotr Gliński,

minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu
(tytuł od redakcji)



Maseczki zostaną z nami na kilka lat

Jesteśmy krok lub dwa do przodu pod względem wiedzy na temat biologii wirusa, ale wciąż pojawiają się nowe pytania, które pozostają bez odpowiedzi. Jednym z nich jest, jak długo utrzymuje się odporność po przechorowaniu oraz po zaszczepieniu?

Z prof. Iwoną Paradowską-Stankiewicz,
krajową konsultant ds. epidemiologii, Narodowy Instytut
Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny,
rozmawia Aleksandra Jakubowska

Jesteśmy straszeni przez różnych ekspertów, którzy czasami prezentują zupełnie przeciwstawne opinie na temat tego, co się dzieje w czasie pandemii, mamy dezinformację w mediach społecznościowych, widzimy walkę firm farmaceutycznych, które usiłują dowieść, że szczepionka konkurenta jest nic nie warta, a wręcz szkodliwa, i w tym wszystkim tkwi biedny zdezorientowany człowiek, który właściwie nie wie, komu wierzyć. Jak się przed tym wszystkim bronić?

Iwona Paradowska-Stankiewicz: To prawda, zewsząd jesteśmy bombardowani tysiącem informacji i trudno się w tej rzeczywistości odnaleźć, tym bardziej że nawet wśród ekspertów zdania są podzielone. Prawdę mówiąc, nie wiem, jakie na tę sytuację może być lekarstwo, co my sami jesteśmy w stanie przefiltrować, przeanalizować w odniesieniu do bieżącej sytuacji. Jesteśmy na takim etapie epidemii, że każdy zna osobę, która zachorowała, a niektórzy z nas mają wśród bliskich czy znajomych osoby, które walkę z COVID-19 przegrały. Może powinniśmy się oprzeć na kilku, np. dwóch, trzech źródłach informacji, a może zaufać naszemu lekarzowi pierwszego kontaktu, specjaliście, u którego się leczymy?

Strach jest tym czymś, co nas paraliżuje, negatywną emocją przytłumiającą zdrowy rozsądek i racjonalne argumenty. Czy nie odnosi pani wrażenia, że brakuje takiego jednorodnego i bardzo konkretnego przekazu ze strony tych, którzy odpowiadają za walkę z pandemią, nie ma jednego ośrodka, którego oceny, dane, byłyby niepodważalne?



Tak, oczywiście, jednocześnie z psychologii wiemy, że strach jest drugą stroną agresji, która również może przybierać różne formy ekspresji. Dlatego uporządkowany i czytelny komunikatywny przekaz o tym, co się dzieje, jakie mamy do dyspozycji rozwiązania i które z nich w danej sytuacji mogą być najlepsze, odgrywa kluczowe znaczenie, jest czymś, co może zmniejszać strach i budować zaufanie. Może rzeczywiście niezłym pomysłem byłoby zaproponowanie np. jednej lub dwóch instytucji, które regularnie przekazywałyby informacje i tłumaczyły, dlaczego tak się dzieje, a więc pełniłyby jednocześnie funkcję edukatora. Dzisiaj informacje są rozproszone i zawierają pewne...

...sprzeczności?

Różnice, czasem nawet rozbieżności, no i rzeczywiście obywatel może mieć problem, jak się zachowywać, co robić i komu wierzyć.

Tempo szczepienia, procent zaszczepionej populacji są ważnymi czynnikami pomagającymi opanować w jakimś stopniu pandemię. Kiedy dzisiaj rozmawiamy, jest dobra wiadomość, bo ten czarny piar w stosunku do jednej ze szczepionek został przełamany i w ciągu doby zarejestrowało się do jej podania milion osób. Ale czytam tekst niemieckiego dziennikarza i widzę apokaliptyczną wizję Polski – kraju, który sobie nie radzi z pandemią, władza ją lekceważyła, szpitale nie są przygotowane, brakuje medyków, a dane są fałszowane, bo dziennie zakaża się 5–10 razy więcej, niż władza raportuje. To też wpływa na nasze postawy i psychikę.

To jest kolejny przykład wprowadzania dużego zamieszania i przede wszystkim niepokoju wśród naszych obywateli, potwierdzając tym samym to, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Proszę zobaczyć, co się dzieje we Włoszech, w niektórych niemieckich landach, w Hiszpanii, we Francji i wielu innych krajach. Wirus wciąż nie odpuszcza. Wirus po prostu cały czas nas zaskakuje, zmienia się, jest nieprzewidywalny. W dzisiejszych czasach trudno się z tym pogodzić, bo przecież podziwiamy zdjęcia z Marsa i potęgę ludzkiego umysłu, dzięki któremu ta niezwykła misja się powiodła, a na Ziemi szaleją niewielkie cząstki biologiczne, z którymi nawet przy obecnym stanie wiedzy, techniki, technologii, nie możemy sobie poradzić. To jest niezwykle frustrujące. Niestety epidemie to jest coś, co było, jest i prawdopodobnie będzie się zdarzać i człowiek będzie z nimi toczył nie zawsze do końca wygraną batalię. A wracając do szczepionki AstryZeneki, bardzo dobrze się stało, że ponownie wzrosło nasze zainteresowanie szczepieniem przy użyciu tej szczepionki, bo analiza niewielu przypadków niepożądanych odczynów poszczepiennych (NOP) pod postacią zmian zatorowo-zakrzepowych, zgłoszonych do EMA, oraz analiza pojedynczych zgłoszeń w naszym kraju potwierdziły skuteczność i bezpieczeństwo tej szczepionki.

Wirus mutuje, jeszcze do końca nie wiemy, czy te szczepionki, które zostały dopuszczone do użycia, działają na



Fot. Mateusz Grochowski/East News

wszystkie mutacje, ale każda z nich wywołuje tę samą chorobę COVID-19. Dlaczego wszystkie siły koncernów farmaceutycznych skupiły się na opracowaniu szczepionki, a nie lekarstwa na tę chorobę?

Koncerny prowadzą badania nad wynalezieniem substancji, która zwalcza namnażanie tego konkretnego wirusa i chroni organizm przed jego niszczącą siłą. Leczenie jednak dotyczy już tych osób, które zachorowały, natomiast kluczowe jest również to, żeby zadziałać profilaktycznie, czyli nie dopuścić do zachorowania. I nie ma znaczenia, którą szczepionkę z obecnie dostępnych zastosujemy – ważne, żeby się zaszczepić.

Dlaczego?

Wiele zakażonych osób przechodzi COVID-19 bezobjawowo i wiemy, że po kilku miesiącach niektóre z nich mogą powtórnie zachorować. Zarówno dla nich, jak i dla tych, które nie chorowały, wyjściem pozostaje szczepienie. Idea szczepień jest niezmienna od czasu odkrycia zasady działania szczepionek w organizmie, a przypomnijmy, że było to ponad 200 lat temu i zawdzięczamy to odkrycie angielskiemu lekarzowi Edwardowi Jennerowi. Zaobserwował on, że osoby, które przeżyły chorobę zakaźną, nie zakażały się ponownie. Szczepionka pozwala naszemu organizmowi wytworzyć ochronę w postaci

przeciwciał oraz tzw. pamięci immunologicznej, co oznacza, że w przypadku kontaktu z określonym antygenem nasz organizm rozpoznaje intruza i rozpoczyna walkę – produkuje przeciwciała. I dlatego nie chorujemy, a w bardzo rzadkich przypadkach może dojść do zachorowania, ale nie choruje się ciężko, nie dochodzi do zgonu. Kluczowe działania podejmowane w czasie epidemii nakierowane są na to, by nie dopuścić do masowych zachorowań i zgonów poprzez ograniczenie zasięgu występowania zachorowań, jak najszybsze rozpoznawanie osób chorych, ich izolację oraz kwarantannę osób, które miały styczność z chorymi. Równolegle prowadzi się inne działania, np. dotyczące zachowania w przestrzeni publicznej: zalecenie mycia rąk, dezynfekcji, noszenia maseczek, utrzymania dystansu czy ograniczenia mobilności. I wreszcie kolejne ważne działania to szczepienia na masową skalę, aby wytworzyć ochronę populacyjną. Wszystkie wymienione interwencje na pewno przynoszą poprawę, jednak efekt zależny jest od wielu czynników.

Jak pani ocenia efekt tych działań?

Obserwując obecną sytuację w porównaniu chociażby z tą sprzed roku, kiedy właściwie wszystko było wielką niewiadomą, można powiedzieć, że teraz jesteśmy krok czy dwa do przodu pod względem wiedzy na temat biologii wirusa, ale wciąż pojawiają się nowe pytania, które pozostają bez odpowiedzi. Jednym z nich jest, jak długo utrzymuje się odporność po przechorowaniu oraz po zaszczepieniu? Są to informacje, które z perspektywy dalszych planowanych działań są kluczowe. Jeżeli tego w tej chwili nie wiemy, to trudno jest zaplanować inne konkretne działania w dalszej perspektywie. Teraz najpilniejsze jest, by jak najszybciej zaszczepić jak największą liczbę osób, bo to jedyny sposób, który pozwoli nam uniknąć dalszych mutacji wirusa.

A co się stało z gryppą? Sezonowa grypa doświadcza nas co roku, nie szczepimy się masowo i nie ma informacji o tym, że chorujemy na grype. Więc może to, co jest zaliczane jako efekt działania koronawirusa, to jest po prostu w części przypadków nowa mutacja grypy?

Nie zniknęła, może jedynie w statystykach, ale proszę zwrócić uwagę, że generalnie wirusowe infekcje dróg oddechowych objawiają się bardzo podobnie. A przyczyną tych infekcji jest ponad 200 różnych wirusów. Tylko dzięki testom w kierunku określonych patogenów możemy odróżnić, czy infekcję spowodował wirus grypy, RSV, SARS-CoV-2, czy też inny. Jeżeli pojawiają się pierwsze objawy infekcji, takie jak gorączka, katar czy kaszel, to w obecnej sytuacji podejrzewamy COVID-19. I jeżeli wynik testu jest ujemny, to przeważnie kończymy diagnostykę, rzadko wykonywane są testy w kierunku grypy.

Kiedy popatrzyłam na statystyki zachorowań, prowadzone w NIZP-PZH w odniesieniu do chorób zakaźnych, które podlegają zgłoszeniu do nadzoru epidemiologicznego, okazało się, że w przypadku wszystkich rejestrowanych chorób występuje spadek zachorowań. Nasuwa się wniosek, że dystans, maseczki, ograniczenie kontaktów spowolniły rozprzestrzenianie się innych zakaźnych chorób.

Zmniejszyła się liczba chorób tzw. brudnych rąk, takich jak żółtaczk pokarmowa, zakażenie tasiemcem, opryszczka, zatrucie salmonellą.

Tak, bo choroby zakaźne mają tę specyfikę, że musi być patogen, droga rozprzestrzeniania i osoba podatna. Patogeny, te, które istniały w naszym środowisku przed pojawieniem się SARS-CoV-2, nie zniknęły, a drogi ich rozprzestrzeniania, np. powietrzno-kropelkowa, kontaktowa czy pokarmowa, zostały obecnie przez maseczki, dystans, mycie i dezynfekcję rąk mocno ograniczone.

Na początku pandemii kraje przyjmowały różne strategie – od próby osiągnięcia tzw. odporności populacyjnej, poprzez zaniechanie wprowadzenia jakichkolwiek ograniczeń, do zamykania granic i wprowadzania lockdownu. Nie było żadnego wspólnego działania,

bo może nie wiadomo jeszcze, jaka strategia naprawę się sprawdzi?

Trzeba zwrócić uwagę na to, że stanęliśmy przed całkowicie nową sytuacją epidemiologiczną, wyposażeni w wiedzę oraz wzorce postępowania dotyczące zwalczania epidemii. Nie został przyjęty jednolity dla Europy czy świata sposób postępowania, bo nie jest to możliwe – każdy kraj ma swoją specyfikę, różnice demograficzne, akceptowalne zachowania społeczne, utrwalone nawyki związane z funkcjonowaniem społecznym. Ponadto to tylko część czynników, które mają wpływ na podejmowanie określonych działań w okresie pandemii. Pamiętamy, że na początku pandemii, w okresie kiedy Włochy przeżywały dramat braku łóżek i specjalistycznego sprzętu wspomagającego oddychanie dla osób ciężko chorych, Szwedzi przyjęli metodę naturalnego uodpornienia poprzez zachorowanie. Jednak po pierwszych obiecujących danych wycofali się z tej strategii, gdy się okazało, że oceniane wskaźniki szybko się pogarszają. W tej sytuacji często sięgam pamięcią do wydarzenia z lat 60. – powstrzymania epidemii ospy prawdziwej we Wrocławiu. Po zidentyfikowaniu i potwierdzeniu, że przyczyną zachorowania jest wirus ospy prawdziwej, bez wahania podjęto decyzję o zamknięciu całego miasta, następnie zorganizowano masowe szczepienia we Wrocławiu. Brała w tych działaniach udział kilkusobowa grupa lekarzy z NIZP-PZH. Ówczesny kierownik Zakładu Epidemiologii zdecydował, że asystenci

pojadą do Wrocławia szczepić, ale najpierw muszą sami się zaszczepić. I tak też się stało. Zaszczepiono 98 proc. mieszkańców miasta. Zachorowało 99 osób, z których siedem zmarło, i epidemia wygasła po 25 dniach, choć WHO przewidywała, że potrwa dwa lata, zachoruje 2 tys. osób i umrze ok. 200. Trudno to teraz sobie wyobrazić. Dziś żyjemy w Warszawie, a jutro możemy być w Dubaju. Możliwość przemieszczania się jest czymś naturalnym, nic więc dziwnego, że buntujemy się przeciwko jej ograniczaniu, nawet jeśli jest to działanie konieczne i skuteczne. Ale musimy zważyć, co w danym momencie jest istotne dla naszego zdrowia i przynajmniej części tych obostrzeń, choćby takiego minimum jak maseczki, dystans i dezynfekcja, naprawdę powinniśmy bezwzględnie przestrzegać. Agdy sytuacja się pogorszy, zachowajmy spokój, rozważę i podporządkujmy się zalecanym obostrzeniom.

Czytam dzisiaj, że w jednym z miast przekształcono oddział położniczy w covidowy, tak jakby w tej ponad 20-tysięcznej miejscowości nie rodziły się dzieci. Obawiamy się, że całe siły ochrony zdrowia zostały skoncentrowane na tym jednym froncie i odbywa się to kosztem ludzi często przewlekłe chorych onkologicznie, kardiologicznie, neurologicznie, dla których dostęp do specjalistów i koniecznych zabiegów jest utrudniony, a czasami wręcz niemożliwy.

W raportach i innych dokumentach specjalistów właśnie w tych dziedzinach, które pani wymieniła, pojawiły się informacje, że spadła liczba osób, które powinny być leczone, konsultowane właśnie z powodu tych chorób. Na początku pandemii ludzie chorzy przewlekłe po prostu rezygnowali z wizyt u lekarzy, bo się bali, że do już istniejących chorób dołączy COVID-19, a z drugiej strony zamknięte przychodnie i brak możliwości bezpośredniego kontaktu z lekarzem POZ, a wyłącznie przez telewizyty, nie sprzyjały leczeniu czy kontroli stanu zdrowia. W przypadku wielu chorób czas jest kluczowy, np. w onkologii, kardiologii każdy tydzień, nawet dzień opóźnienia ma znaczenie, by nie dopuścić do powstania nieodwracalnych zmian w organizmie. W przypadku, o którym pani wspomniała w pytaniu, sytuacja w związku z narastającą tzw. trzecią falą jest na tyle poważna, że trzeba niektóre oddziały zamieniać w covidowe, natomiast nie wyobrażam sobie, żeby nie zabezpieczono miejsc położniczych w pobliskim szpitalu.

Czy ceną, jaką zapłacimy za pandemię, będzie nie tylko liczba zmarłych na COVID-19 czy ciężkich przypadków, które pozostawiły trwałe uszczerbek na zdrowiu, ale także wzrost zachorowań wśród ludzi, którzy nie otrzymali na czas odpowiedniej pomocy, nie zostali na czas

zdiagnozowani z rąci covidowych ograniczeń w placówkach ochrony zdrowia?

Przewlekłe choroby są bardzo istotnym problemem w naszym kraju, a liczba tzw. chorób współistniejących wzrasta wraz z wiekiem pacjentów. Szacuje się, że cukrzyca dotyczy ponad 3 mln osób, często z cukrzycą występuje nadciśnienie, otyłość, zespół metaboliczny, ponadto choroby krążenia, nowotwo-

rowe, więc na pewno taka sytuacja, o którą pani zapytała, może wystąpić. Pandemia pokazuje, jak bardzo ważne jest to, by system ochrony zdrowia funkcjonował w różnych okolicznościach i był przygotowany na sytuacje nadzwyczajne, niespodziewane. Bo może zaistnieć sytuacja, która spowoduje – tak jak teraz – potrzebę okresowej przebudowy systemu i dlatego konieczne są różne scenariusze, które można dopasować do bieżących wymagań. Oczywiście pewnych rzeczy nie można zbudować ad hoc. Owszem szpitale tymczasowe możemy zbudować i wyposażać, ale zawsze pozostaje kwestia kadry, której budowanie trwa wiele lat, np. studia na kierunku lekarskim trwają sześć

lat, drugie tyle staż i specjalizacja. To oznacza, że istnieje konieczność zwiększenia naboru na kierunki medyczne. Teraz sytuacja jest trudna, podczas rozmów z lekarzami i obsługą medyczną słychać, że są już bardzo zmęczeni, pracują w ciężkich warunkach, należy tylko chylić czoła przed tymi osobami, które mimo że czasami dobywają z siebie resztki sił, nie odchodzą od łóżek pacjentów.

Mówi pani, że system ochrony zdrowia powinien być przygotowany na różne sytuacje, ale na to, z czym mamy do czynienia od ponad roku, system ochrony zdrowia chyba żadnego państwa nie był przygotowany. Jakie wnioski na przyszłość powinniśmy wyciągnąć z tego, co się dzieje, jeśli chodzi o organizację ochrony zdrowia?

Na pewno system powinien być elastyczny w tym sensie, że poza realizacją podstawowych problemów, nazwijmy to ogólnie zdrowia publicznego, powinna być zachowana gotowość do przeprowadzenia szybkich zmian organizacyjnych zarezerwowanych na rzeczy nieprzewidywalne. Poza tym konieczny jest stały dopływ wykształconej kadry medycznej. Dzisiaj ta kwestia jest ogromnym problemem i wyzwaniem, dotyczy nie tylko zwiększenia liczby miejsc na uczelniach medycznych, ale zagwarantowania dobrych warunków pracy po ich zakończeniu. Niestety cały czas pandemia stawia nas przed nowymi wyzwaniami. Obawiam się, że nawet przez kilka lat możemy jeszcze nosić maseczki, stosować zasadę DDM, więc pewnie na podsumowanie i wyciągnięcie konkretnych wniosków będzie jeszcze czas, bo przecież lockdown nie może trwać wiecznie. Trzeba już teraz myśleć o takich rozwiązaniach, które pozwolą nam wszystkim stopniowo powracać do normalności. 

Bóg rzezi



Julian Reichelt, redaktor naczelny „Bilda”

Foto: Jörg Schürer/East News



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Przeciwko redaktorowi naczelnemu najlepiej sprzedającego się niemieckiego dziennika, springerowskiej bulwarówki „Bild”, toczy się dochodzenie w sprawie o nadużywanie władzy, mobbing i zastraszanie. On sam twierdzi, że padł ofiarą „lewicowych wrogów”

Pierwsza scena: restauracja popularna wśród celebrytów w centrum Berlina. Redaktor naczelny energicznie otwiera drzwi, kelnerowi w ostatniej chwili udaje się odskoczyć na bok. Wzdycha z lekką poirytowanością: »Znowu ten! Już dwa razy mu mówiliśmy, by pudrował sobie nos gdzie indziej«. Ale redaktorowi naczelnemu to nie przeszkadza. W końcu to on (tak, on sam!) właśnie

powiedział rosyjskiemu premierowi, co o nim myśli. Szybko obiega wzrokiem pomieszczenie. I wtedy ją dostrzega: swoją asystentkę. Siedzi na kolanach u tego pisującego książki popdziennikarza! Szybko wysyła jej esemesa »Jeśli się z nim..., to możesz jutro nie przychodzić do biura«.

Początek pasjonującej powieści o świecie mediów w niemieckiej stolicy? Bynajmniej. To fragment oficjalnego

newslettera niemieckiego dziennika „Der Tagesspiegel” o nazwie „Check-point” z 9 marca br. A jego tematem jest redaktor naczelny „Bilda” Julian Reichelt, przeciwko któremu toczy się wewnętrzne dochodzenie o nadużywanie władzy, mobbing, zastraszanie oraz wykorzystywanie zależności (pracy) w wysokonakładowej bulwarówce, flagowym okręcie (nakład gazety wynosi ponad 3 mln egz.) wydaw-

nictwa Axel Springer. Treść newslettera jest oczywiście zmyślona. Jego autor Lorenz Maroldt twierdzi, że poproszono go o napisanie scenariusza do siedmiodcinkowego serialu na temat redaktora naczelnego czołowego tabloidu. No to napisał.

Według branżowego portalu „Übermedien” z pozoru fikcyjny scenariusz jest jednak prawdopodobnie – co najmniej po części – oparty na faktach. Nieetyczne – twierdzi portal – jest takie potraktowanie skandalu, który wstrząsnął światem mediów w Niemczech.

I nic dziwnego. Julian Reichelt zrobił w końcu błyskawiczną i wzorową karierę. Po stażu w bulwarówce i ukończeniu szkoły dziennikarskiej Axela Springera pracował jako reporter, relacjonował m.in. kryzysy w Iraku czy Afganistanie, następnie kierował internetowym wydaniem bulwarówki, by w końcu w 2018 r. zostać redaktorem naczelnym wydania papierowego „Bilda”. W wieku zaledwie 38 lat. Nie stronił przy tym od kontrowersji. Krytykował zawzięcie politykę migracyjną kanclerz Angeli Merkel, gazociąg Nord Stream 2, nawoływał Zachód do

militarnej interwencji w Syrii oraz ganił byłego piłkarza i reprezentanta Niemiec Lothara Matthäusa za wizytę na Kremlu. W odpowiedzi piłkarz opublikował zdjęcie z 2016 r., na którym uśmiechnięty był naczelną „Bilda” Kai Diekmann pozuje z Putinem. Wrogowie zarzucają Reicheltowi, że uprawia „dziennikarstwo rewolwerowe” obliczone na wzbudzanie skrajnych emocji, że sieje panikę, byle sprzedać kolejne egzemplarze bulwarówki. Dziennik „Stuttgarter Zeitung” nazwał go „Bogiem rzezi”. W 2018 r. stowarzyszenie Neue Deutsche Medienmacher przyznało mu nagrodę Złotego Kartofla za „szczególnie jednostronne relacjonowanie niemieckiego społeczeństwa migracyjnego”.

ŁÓŻKO I BIURKO

Wrogów Reicheltowi więc nie brakuje, choć daleko mu do „skrajnej prawicy”, do której – zdaniem krytyków – czuje sympatię. Tych wrogów zawieszony naczelną „Bilda” wini za swoje obecne położenie. Chcą – jak podkreślił – zniszczyć go, bo nie nawiadza gazety, którą kieruje, i wszystkiego,

co ona reprezentuje. Chcą zniszczyć „ostatniego prawdziwego krytyka Angeli Merkel”. Z obszernego raportu lewicowego tygodnika „Der Spiegel”, tradycyjnie wrogo nastawionego do prawicowo-liberalnej springerowskiej bulwarówki, wylania się nieco inny obraz. W artykule pod wieloznacznym tytułem „Vögeln, fördern, feuern” (Przelecieć, awansować, wyrzucić) pada zarzut o mieszanie przez Reichelta sfery zawodowej i prywatnej. Naczelną „Bilda” miał utrzymywać liczne romanse z podległymi mu dziennikarkami, w tym stażystkami. Według tygodnika Reichelt stworzył w redakcji „atmosferę strachu”, a jego podwładni mówią o młodych dziennikarkach zapraszanych przez niego na kolacje, szybko awansowanych, a następnie równie szybko wyrzucanych z pracy. Za każdym razem, kiedy pojawiała się nowa faworyta. Jest też wątek rzekomego zamiłowania do kokainy naczelnego „Bilda”. W 2019 r. wszczęto w tej sprawie wewnętrzne dochodzenie, ale nie znaleziono na to żadnych dowodów. Sam Reichelt odpowiedział wówczas na pytanie dwóch policyjnych reporterów „Bilda”, że nie boi się, iż trafią „na ślad jego dilerów”.



RADIO Warszawa
106,2 FM

Transmisje Liturgii Triduum Paschalnego

Msza Krzyżma
Wielki Czwartek, godz. 10.00

Msza Wieczery Pańskiej
Wielki Czwartek, godz. 18.00

Liturgia Męki Pańskiej
Wielki Piątek, godz. 18.00

Wigilia Paschalna -
Wielka Sobota, godz. 20.00

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl



Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

PROF. JANA WASZKIEWICZA

Przez wiele lat działacza opozycji antykomunistycznej, pierwszego redaktora naczelnego „Biuletynu Dolnośląskiego”, członka Rady Programowej Towarzystwa Kursów Naukowych, a następnie Zarządu Regionu Dolny Śląsk oraz Komisji Krajowej NSZZ Solidarność, po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywającego się działacza podziemia, uczestnika Rady Edukacji Narodowej.

Zawsze wiernie służącego sprawie wolnej, silnej i niepodległej Rzeczypospolitej.

Miałem zaszczyt jako radny Sejmiku Dolnośląskiego współtworzyć koalicję w latach, w których Jan Waszkiewicz pełnił godność marszałka Sejmiku.

Rodzinie i Bliskim

zmarłego składam wyrazy najgłębszego współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

„Wielu ludzi myśli, że moje polityczne poglądy da się wytłumaczyć tylko zażywaniem przeze mnie narkotyków, ale daję radę i bez tego” – żartował.

Wtedy było mu jeszcze do śmiechu. Dziś już nie. W dobie #MeToo Springer musi traktować zarzuty o wykorzystywanie kobiet w „Bildzie” poważnie: chce tego czy nie. Tym bardziej że sprawa wyciekła do mediów.

„Spiegel” pisze, że już kilka lat temu podwładni Reichelta zwrócili się ze skargami do członków zarządu Springera Jana Bayera i Stephanie Caspar. Była wtedy mowa o poniżaniu pracowników i złym traktowaniu kobiet. W 2018 r. w końcu wszczęto pierwsze wewnętrzne postępowanie. Reichelt miał załatwić agencji PR zlecenia i przychylnie artykuły, bo miał z jego szefową romans. Dziennik „Handelsblat” miał nawet opublikować o tym artykuł, ale nigdy do tego nie doszło, bo naczelny „Bild” groził pozwem z powodu „naruszenia prywatności”. Pytanie, czy tym razem uda mu się uniknąć konsekwencji? „Spiegel” przekonuje, że Reichelt będzie się zapewne zacięcie bronił. Jest w końcu wychowankiem Springera, a „Bild” to „całe jego życie”.

ZBYT NIWYGODNY?

Ma on zresztą także obrońców. „Znam Juliana od 15 lat, przez cztery lata był moim bezpośrednim szefem i nigdy nie widziałam, by nadużywał swojej władzy” – powiedziała w rozmowie z tygodnikiem „Die Zeit” była autorka „Bild” Anna von Bayern. Według niej wspierał on dziennikarki. „Jeśli któraś chciała wyjechać za granicę, starał się jej to załatwić. Można było na nim polegać” – dodała i ostrzegła przed „skazywaniem go, publicznie, bez dowodów”. „To wszystko są plotki” – zaznaczyła von Bayern. Tyle że lista skarg na Reichelta jest długa i powstała na przestrzeni wielu lat. Dziennikarki bulwarówki od dawna skar-

żyły się na poniżającą dla kobiet kulturę pracy w wydawnictwie. Reichelt zresztą zastąpił na stanowisku redaktora naczelnego Tanitę Koch, z którą toczył ostry spór – nie byli w stanie się porozumieć ani z sobą współpracować. „Spiegel” twierdzi,



W dobie #MeToo Axel Springer musi traktować zarzuty o wykorzystywanie kobiet w „Bildzie” poważnie – chce tego czy nie. Tym bardziej że sprawa wyciekła do mediów

że ta kultura odbija się też na śledztwie. Niektóre domniemane ofiary Reichelta mają być zastraszane przez jego sojuszników w „Bildzie” i zatrudniły адвокатów. Sam Reichelt zapowiedział, że poda „Spiegel” do sądu za artykuł pełen „insynuacji i podejrzeń”. Jak twierdzi, tygodnik nigdy się z nim nie skontaktował, by dać mu szansę odniesienia się do zarzutów.

Jak uważa szwajcarski dziennik „Neue Zürcher Zeitung”, sprawa Reichelta zamieniła się w odrażające zapasy w blo-

cie, gdzie nie obowiązuje domniemanie niewinności. Według gazety naczelny „Bild” ma wielu wrogów, bo jest „jednym z najbardziej niewygodnych dziennikarzy w kraju”. Reichelt publikuje m.in. na niezależnym portalu achgut.com, gdzie krytykuje nie tylko działania pandemiczne rządu, ale także polityczną poprawność i antysemityzm w wydaniu muzułmanów. Kłopotliwy redaktor, na którego lewicowi wrogowie wreszcie znaleźli haki, czy gardzący kobietami seryjny erotoman? Oto pytanie, na które ma odpowiedzieć wewnętrzne śledztwo w „Bildzie”. Przedstawiciele zarządu Springera, Mathias Doepfner i Jan Bayer, obiecali szybkie

wyjaśnienie sprawy. Na czas śledztwa Reichelt został zawieszony w obowiązkach naczelnego, zastąpiła go tymczasowo Alexandra Wuerzbach, naczelna niedzielnego wydania gazety.

Sprawa Reichelta wywołała zresztą dyskusję nad jakością mediów za Odrą. Jak pisze Markus Wiegand na branżowym portalu „Kress News”, wielu krytyków tabloidowego stylu „Bild”, gdzie etyczne zasady – szczególnie w relacjonowaniu spraw kryminalnych czy życia celebrytów – nie zawsze są przestrzegane, zachowuje się dokładnie tak samo w przypadku Reichelta. „Jest bardziej niż irytujące, ilu krytyków tabloidów w sprawie szefa »Bild« polega na mechanizmach, które skądinąd tak chętnie krytykują: uprzedzeniach, przesadzie, braku wysłuchania danej osoby” – czytamy. Byle sprzedać więcej egzemplarzy gazety lub zwiększyć klikalność. „Spiegel” twierdzi, że w swoim tek-

ście opierał się na anonimowych informacjach od podwładnych naczelnego „Bild”. Tygodnik wskazuje przy tym na przypadek byłego wydawcy bulwarówki i poprzednika Reichelta na stanowisku naczelnego tabloidu. Kai Diekmann odszedł z wydawnictwa Axel Springer w 2017 r. w atmosferze skandalu. Pracownica concernu oskarżyła go o molestowanie seksualne. Prokuratura w Poczdamie wszczęła w tej sprawie śledztwo, ale zostało po kilku miesiącach umorzone.



Wielkanocny magazyn

SIECI

Narbutt: Brzydkie słowo na „M” • **Kołodziejski:** Pocztówki z Zanzibaru • **Biernacki:** Hemar – mistrz nie tylko lekkiego słowa
Barszcz: Efekt łazarza • **Lada:** Polscy piraci • **Monicka:** Wielkanoc od kuchni

oprac. pl. 2014031174

Brzydkie słowo na „M”

Polszczyzna zmienia się powoli. Ale niektórzy żądają, by zmieniała się szybciej, szła z postępem. Językowa rewolucja ma wyrzucić pewne słowa na śmietnik



MAJA NARBUTT

Już nie mówimy „homoseksualista” ani „homoseksualizm”. Najlepiej nie wspominać o „mniejszościach seksualnych”, bo to krzywdzące. Określenie „imigrant ekonomiczny” wyrzucamy, gdyż kojarzy się z lenistwem. Nie piszemy o „fali uchodźców”, a słowo „Murzyn” jest wręcz niedopuszczalne. I koniecznie – zanim się do kogoś zwrócimy – upewnijmy się, jak do niego mówić. Nie można się kierować wyglądem, w końcu istnieje polszczyzna niebinarna, nie wahajmy się jej użyć.

Te wszystkie wskazówki można znaleźć w publikacji „Poradnik. Jak mówić i pisać o grupach mniejszościowych”. Patronat nad poradnikiem objął Rzecznik Praw Obywatelskich, a także Rada Języka Polskiego (RJP), szacowna instytucja, która ma stać na straży języka polskiego.

PANI PROFESORO

– Zapewne Rada Języka Polskiego będzie teraz ostrożniej obejmować patronat nad różnymi inicjatywami.

Zachowuję wobec tego poradnika daleko idący dystans. Jestem konserwatystą, jeśli chodzi o kwestie językowe – mówi mi prof. Jerzy Bralczyk, znany językoznawca.

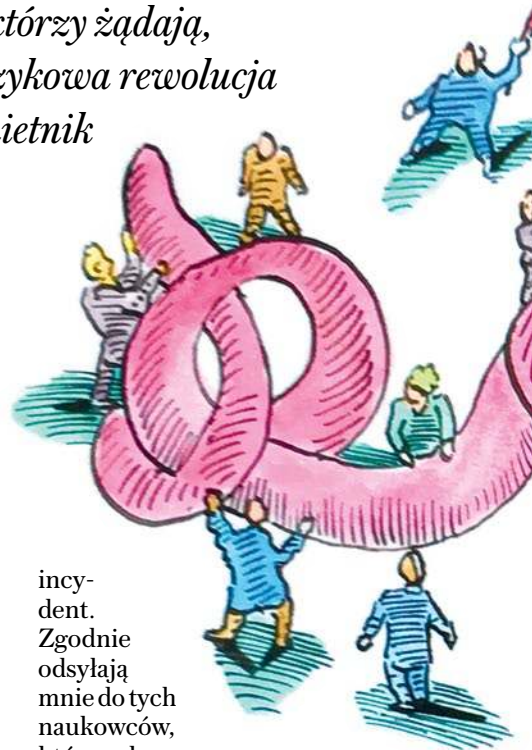
Nie bardzo chce się wypowiadać na temat treści poradnika. Jednak nie może się oprzeć refleksji – zbyt często w imieniu mniejszości wypowiadają się osoby, które uzurpują sobie prawo, by ją reprezentować. Z wielką pewnością siebie rozstrzygają, co jest właściwe, a co nie, które określenia są odpowiednie, a które dyskryminują.

– Ja sam należę do pewnej grupy mniejszościowej, z racji wieku. Ale proszę nie nazywać mnie „seniorem” czy używać określenia „trzeci wiek”. Jestem po prostu stary i tak o sobie mówię publicznie – przekornie podkreśla prof. Bralczyk. Najwyraźniej nie przepada za eufemizmami, które stanowią podstawę politycznej poprawności.

To dość niezwykła sytuacja – chociaż poradnik zalecający, jak mówić i pisać o grupach mniejszościowych, ma patronat Rady Języka Polskiego, trudno znaleźć językoznawcę, który wypowiedziałby się o nim z entuzjazmem.

Niektórzy sugerują, że RJP nie powinna się zajmować problemami zawartymi w poradniku – bo, jak napisał mi jeden z profesorów, „etyka języka to zajęcie nader szlachetne, ale mało naukowe”.

Inni najchętniej w ogóle przemilczeliby publikację, jak przykry i żenujący



incydent.

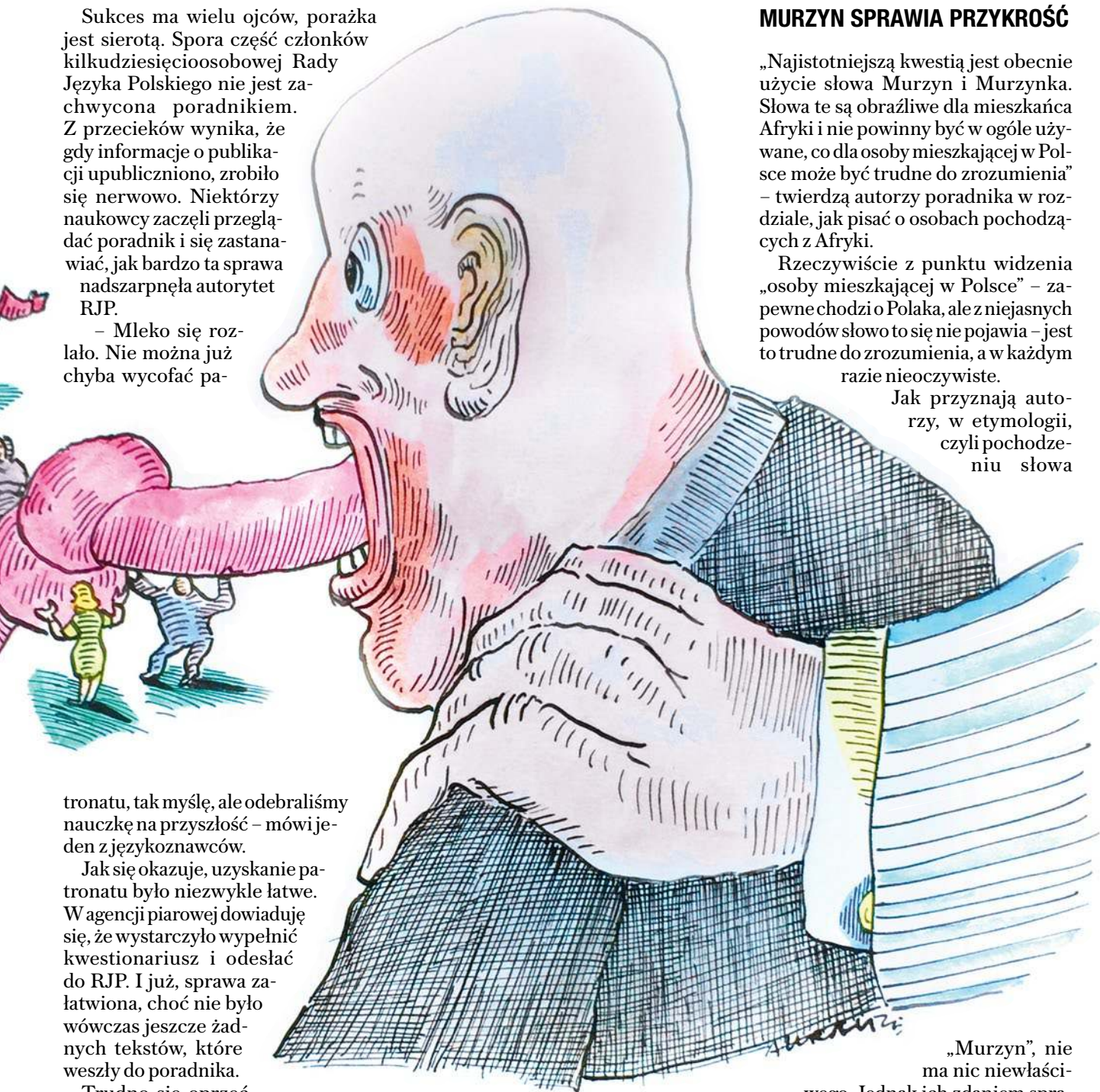
Zgodnie odsyłają mnie do tych naukowców, którzy bezpośrednio są związani z projektem. Ale prof. Ewa Kołodziejek, która koordynowała projekt, też nie chce już o nim rozmawiać. Podkreśla, że wszystko zawarła w rozdziale wstępnym. Skromnie umniejsza swoją rolę, odsyła mnie do „gospodarza” poradnika, jak nazywa agencję piarową, która go zamówiła.

Absolutnie nie daje się przekonać do rozmowy o językowej empatii, chociaż pisząc maila, tytułuję ją „Szanowną Panią Profesorą”. Właśnie taką formę zaleca poradnik. Co prawda litościwie dopuszcza stosowanie formy „pani profesor”, jeśli profesora się uprze, ale przecież w tym przypadku na pewno nie wchodzi to w rachubę.



Sukces ma wielu ojców, porażka jest sierotą. Spora część członków kilkudziesięcioosobowej Rady Języka Polskiego nie jest zachwycona poradnikiem. Z przecieków wynika, że gdy informacje o publikacji upubliczniono, zrobiło się nerwowo. Niektórzy naukowcy zaczęli przglądać poradnik i się zastanawiać, jak bardzo ta sprawa nadszarpięła autorytet RJP.

– Mleko się rozlało. Nie można już chyba wycofać pa-



tronatu, tak myślę, ale odebraliśmy nauczkę na przyszłość – mówi jeden z językoznawców.

Jak się okazuje, uzyskanie patronatu było niezwykle łatwe. W agencji piarowej dowiaduję się, że wystarczyło wypełnić kwestionariusz i odesłać do RJP. I już, sprawa załatwiona, choć nie było wówczas jeszcze żadnych tekstów, które weszły do poradnika.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że zadecydowały względy ideologiczne – prezydium RJP uznało, że sprawy LGBT, imigrantów i innych mniejszości są tak ważne, że niewyobrażalne byłoby zwlekanie czy uznanie, że językoznawcy powinni cokolwiek merytorycznie weryfikować. Najważniejsze jest przecież „komunikacyjne

szczęście” – jak określiła to we wstępie prof. Kołodziejek. Zostanie osiągnięte, gdy spełnimy pewne warunki, na przykład będziemy pamiętać, by „nie nazywać rzeczy po imieniu, unikać bezpośredniości i mówienia o trudnych rzeczach wprost”.

MURZYN SPRAWIA PRZYKOŚĆ

„Najistotniejszą kwestią jest obecnie użycie słowa Murzyn i Murzynka. Słowa te są obraźliwe dla mieszkańca Afryki i nie powinny być w ogóle używane, co dla osoby mieszkającej w Polsce może być trudne do zrozumienia” – twierdzą autorzy poradnika w rozdziale, jak pisać o osobach pochodzących z Afryki.

Rzeczywiście z punktu widzenia „osoby mieszkającej w Polsce” – zapewne chodzi o Polaka, ale z niejasnych powodów słowo to się nie pojawia – jest to trudne do zrozumienia, a w każdym razie nieoczywiste.

Jak przyznają autorzy, w etymologii, czyli pochodzeniu słowa

„Murzyn”, nie ma nic niewłaściwego. Jednak ich zdaniem sprawa przykrość czarnoskórym mieszkańcom Polski, więc trzeba z niego zrezygnować. Brzmi to kategorycznie.

Słowo „Murzyn” znalazło się ostatnio w samym centrum ostrej debaty, która się zaczęła, gdy prof. Marek Łaziński w odpowiedzi na prywatny list skierowany do RJP stwierdził, że jest to



słowo anachroniczne i ma negatywne konotacje. RJP najpierw uznała, że jest to po prostu opinia prof. Łazińskiego. Jednak kilka miesięcy później jedno-myślnie i oficjalnie zajęła takie samo stanowisko.

W ten sposób w marcu 2021 r. skończyło się w Polsce słowo „Murzyn”. Ale tylko teoretycznie.

– Pewne kwestie językowe są jak moda. Co się nosi w tym sezonie. Czy kolor zielony jest trendy, czy już nie? Czy mam to włożyć, czy też będę w tym wyglądać źle? Rozumiem, że kiedy Rada Języka Polskiego wypowiada się w kwestii pisowni „nie” z imiesłowami, są to twarde, konkretne dyrektywy, do których powinni się wszyscy dostosować. Ale niektóre rzeczy są kwestią gustu, trudno je jednoznacznie rozstrzygnąć – mówi dr hab. Tomasz Puczyłowski z Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się semiotyką, czyli logiczną teorią języka.

A skoro Rada Języka Polskiego, a tym bardziej autorzy poradnika, nie mają kompetencji, by zakazywać używania słowa, to sprawa jest otwarta. W tym i w innych przypadkach.

– Generalnie spór trwa. Debatają specjaliści, językoznawcy i kulturoznawcy, dziennikarze i politycy. I to jest zupełnie normalne. Problem się pojawia, gdy zostają przyjęte normy, które narzuca się ludziom. Szczególnie tym wszystkim, którzy w tej debacie nie biorą udziału i nawet nie mają o niej pojęcia – mówi socjolog i medioznawca prof. Małgorzata Bogunia-Borowska z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zwraca uwagę na to, że znaczna część społeczeństwa nie śledzi debat językowych ani argumentów, jakie się pojawiają. Zalecenia, by nie używać jakiegoś słowa i zastąpić je innym, mogą być więc przyjęte źle, okazać się niezrozumiałe. Nieoczekiwane zmiany będą rodzić bunt i zostaną wręcz potraktowane jako przemoc symboliczna.

Rzeczywiście, jak pokazują niedawne badania CBOS, aż 68 proc. Polaków odbiera słowo „Murzyn” jako zupełnie neutralne. Co więcej, im

wyższe wykształcenie respondenta, tym bardziej nie widzi w nim nic niewłaściwego.

Można zaakceptować wskazówkę RJP, by raczej nie używać słowa „Murzyn” w mediach, w języku oficjalnym. Zazwyczaj jest to wręcz niepotrzebne – w tekstach dziennikarskich pisze się przecież o „Nigeryjczykach” „Somalijskich”. Zastąpienie tego słowem „Murzyn” byłoby kompletnie bezsensowne i niewłaściwe.

Ale trochę inną kwestią jest nagle i całkowite wyrwanie słowa „Murzyn” z polszczyzny, czego żądają autorzy poradnika i co postulują niektórzy językoznawcy.

Jak pokazują niedawne badania CBOS, aż 68 proc. Polaków odbiera słowo „Murzyn” jako zupełnie neutralne. Jednak zdaniem autorów poradnika sprawia przykrość czarnoskórym mieszkańcom Polski, więc trzeba z niego zrezygnować

„Zależy mi na tym, by to słowo zniknęło z obiegu” – napisali mi prof. Marek Łaziński. Nie chce już jednak publicznie wchodzić w polemikę. Najwyraźniej słowo „Murzyn” nie przechodzi mu nawet przez usta, bo kiedy ostatnio zabrał głos, najchętniej używał określenia „słowo na M”.

Tak jakby nagle stało się ono nieprzyzwoite. Taka językowa pruderia oczywiście śmieszy, bo nie da się z dnia na dzień wykreślić słowa, byłoby to zbyt orwellowskie.

Być może za pewien czas słowo „Murzyn” zaniknie, tak jak stało się to z wieloma innymi słowami. Ale jeszcze nie dziś. – Język to system. Żywy organizm, który cały czas się zmie-

nia. To naturalny proces. Nie jest dobrze, gdy dokonuje się na nim gwałtu i usiłuje natychmiast dopasować do jakiejś wyobrażonej wizji rzeczywistości – mówi socjolog Małgorzata Bogunia-Borowska.

Jak podkreśla filozof Tomasz Puczyłowski, w sytuacji gdy nie ma ścisłych norm, a tylko wskazówki, trzeba się kierować wyczuciem. Wszystko zależy od kontekstu.

– Posłużmy się analogią. Jeśli będę latem prowadzić wykłady w sandałach i szortach, to mogę to robić, bo moja umowa o pracę tego nie zakazuje. Ale muszę się zastanowić, czy tak wypada, czy też nie. Podobnie jest np. z używaniem słowa „Murzyn”. Czy w moim środowisku będzie uznane to za naturalne? A może narazi mnie na ostracyzm? – mówi Puczyłowski.

WYWIERAMY WPŁYW

„Wywieramy wpływ na rzeczywistość” – reklamuje się na swojej stronie agencja PR Fleishman-Hillard, która jest pomysłodawcą poradnika.

Jednak jej szef Wojciech Wąglowski przekonuje mnie, że w tym przypadku agencja wcale nie zamierzała wywierać wpływu na rzeczywistość.

– Jakich słów mamy użyć, by było to poprawne językowo i żeby nikogo nie urazić? Takie były założenia. Poradnik jest przeznac-

zony dla specjalistów zajmujących się komunikacją społeczną, przede wszystkim agencji piarowych i reklamowych – mówi Wąglowski.

Przyznaje, że zaskoczyła go negatywna reakcja niektórych dziennikarzy komentujących zawarte w poradniku treści. Pierwsza napisała o sprawie „Rzeczpospolita”.

– Branża reklamowa i piarowa przyjęła poradnik bardzo dobrze. Nie było specjalnych uwag – podkreśla Wąglowski.

Kiedy mówię o tej reakcji znanemu językoznawcy, kwituje to krótko: „To tylko świadczy o tym środowisku”.

Dlaczego specjaliści od komunikacji społecznej gładko i bez zbędnych



pytań przeknęli wszelkie zalecenia poradnika, dotyczące sposobu, w jaki mają mówić i pisać o mniejszościach? Wyjaśnienie wydaje się dość proste – krytycyzm chyba nie jest cechą szczególnie cenioną i pożądaną w korporacyjnym środowisku.

Pewnych rzeczy nie należy podważać – zwłaszcza jeśli dotyczą tzw. różnorodności i inkluzywności, czyli włączania. Te dwa słowa jak mantrę powtarza się we wszystkich korporacjach świata, rozsyłając pracownikom instrukcje i organizując szkolenia. Dla osób spoza świata korporacji szkolenia mogą się wydać trochę dziwne – pokazuje się na nich na przykład rysunek, na którym jest stado czarnych owieczek i jedna biała. „Dla wszystkich jest miejsce w naszej korporacji” – głosi podpis.

Różnorodność i inkluzywność mają być największymi wartościami, za którymi stoi deklarowana troska, by nikogo nie wykluczać ani nie dyskryminować.

Ale także – jak twierdzą korporacje – właśnie te wartości sprzyjają innowacyjności i sprawiają, że osiąga się większe zyski.

Wniosek jest jasny: wszystko, co służy różnorodności i inkluzywności, jest dobre. Pracownik korporacji nie powinien dzielić włosa na czworo, tylko z ulgą sięgnąć po proste wskazówki.

To, że chodzi o troskę o poprawny język, można między bajki włożyć. Gdyby choć przez moment firmom reklamowym i piarowym zależało na poprawnej polszczyźnie, nie zaśmiewałyby języka wyrażeniami typu „dedykowany produkt”, typowymi dla osób, które nie poznały dobrze reguł języka polskiego i sensu słów, a nauczyły się niekoniecznie na najwyższym poziomie angielskiego i muszą się tym przed światem pochwalić.

– Korporacje są wyczulone na wrażliwość mniejszości, bo niektóre z nich, na przykład LGBT, to idealni klienci. Wielkomiejscy single, zainteresowani konsumpcyjnym stylem życia, często o dużych dochodach, wydający sporo w ramach jednoosobowych gospodarstw domowych – mówi mi jeden z socjologów.

W pogoni za dostosowaniem się do specyficznej wrażliwości korporacje potrafią się zapędzić naprawdę daleko. Tak jak koncern L'Oréal, który zapowiedział, że nie będzie używał w opisie kremów słów „biały” czy „wybielający”. Czy firma Knorr, która po kilkunastu latach nagle zmieniała nazwę „sos cygański” na „sos paprykowy węgierski”.

LENIWY IMIGRANT

„Używanie terminu migrant ekonomiczny/ migrantka ekonomiczna może nasuwać krzywdzące skojarzenia z lenistwem czy wykorzystywaniem

Chociaż poradnik zalecający, jak mówić i pisać o grupach mniejszościowych, ma patronat Rady Języka Polskiego, trudno znaleźć językoznawcę, który wypowiedziałby się o nim z entuzjazmem

systemu pomocy społecznej” – czytamy w rozdziale poradnika, który opowiada, jak pisać o imigrantach.

To zdecydowanie śmiała teza. W rzeczywistości pokazuje, co autor naprawdę myśli o imigrantach, jakie skojarzenia tkwią w jego podświadomości.

Termin „imigrant ekonomiczny” jest neutralny i pozwala opisać rzeczywistość. Imigrant ekonomiczny opuścił swój kraj nie z powodów politycznych, jak uchodźca, lecz by zbudować lepszą przyszłość dla siebie i swoich dzieci.

Ale kiedy drąży temat leniwych migrantów w rozmowie z Kaliną Czarnóg z Fundacji Ocalenie, rozmowa się urywa. Rozmyśliła się, jednak nie będzie ze mną rozmawiać i kropka. Chociaż poradnik przecież zaleca brak uprzedzeń i dialog.

Nie dowiem się więc, czy ma tak złe doświadczenia ze swymi podopiecznymi i czy bardzo wykorzystują oni polski system pomocy społecznej.

Nie dowiem się też, dlaczego nie powinno się mówić „nielegalny imigrant”. Argument brzmi: „człowiek nie może być nielegalny”. Ale dlaczego w takim razie ma się mówić „nieuregulowany imigrant”? Czy człowiek może być nieuregulowany?

To problem całego poradnika. Jego autorami są ludzie z organizacji pozarządowych, którzy niezwykły zapał w zmienianiu języka łączą z niewielką o nim wiedzą. Kompetencje językowe zastąpione zostały ideologią.

– Niektórzy chcą zmienić słowa, gdy nie mogą zmienić rzeczywistości. Tak jakby wierzyli, że wtedy problem zniknie. Powiedzmy, że nie lubię słowa „ryba”, bo źle mi się kojarzy. Jest oślizgła, ma łuski. Od tej pory będę ją określał opisowo, używając innych słów. Ale ryba będzie taka sama – mówi filozof dr hab. Tomasz Puczyłowski.

Brak wiedzy o języku, jaki prezentują autorzy poradnika, jest wręcz uderzający. W rozdziale o LGBT można na przykład przeczytać, że nie należy mówić „homoseksualizm”, bo końcówka -izm narzuca skojarzenia z chorobą lub zaburzeniem. Autorka chyba nie zna takich słów jak ekumenizm, heroizm, racjonalizm, impresjonizm, kapitalizm, socjalizm i kilkunastu innych.

Te błędy logiczne i brak wiedzy sprawiają, że tym trudniej potraktować poważnie zawarte w poradniku wskazówki, choć podane są tak, jakby miały mieć moc obowiązującą.

– Ujmijmy to tak. Pewne grupy mają prawo mówić o tym, jak należy o nich pisać, jakich określeń używać. A inni mają prawo puścić to mimo uszu. Decyzja będzie zależała od tego, co położymy na dwóch szalach i co przeważy. Jak ważne jest dla nas to, by kogoś nie urazić, a jak ważne są inne wartości, na przykład ostra precyzja sformułowań i przyzwyczajenia językowe – uważa Tomasz Puczyłowski.

Pocztówki z Zanzibaru, czyli o próżności elit

Kinga Rusin w kostiumie kąpielowym, heroicznie walcząca z pisowskim reżimem na egzotycznej plaży, tak podziała na wyobraźnię polskich celebrytek, że zaczęły one masowo zasiedlać wyspy na Oceanie Indyjskim



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ostatnich tygodniach polskie media społecznościowe zostały wręcz zasypane wakacyjnymi fotografiami telewizyjnych gwiazd wypoczywających na egzotycznych plażach Oceanu Indyjskiego. Panie, bo w większości są to panie, pozują na tle zapierających dech w piersiach krajobrazów, dzieląc się z nami swoimi refleksjami na temat duchowego i terapeutycznego wymiaru takiego wypoczynku, będącego – jak twierdzą – najlepszą odtrutką na zapyziałą bylejakość pisowskiej Polski. Oczywiście nie każdego stać na taki wyjazd, ale na tym polega przecież harmonia i przewrotna sprawiedliwość świata, że dzięki zaporowemu cenom żaden zapijaczony ćwok ze zgraj swoich bachorów nie zakłóci wrażliwym ludziom medytacji na plaży ani spokojnej kontemplacji natury. Tu – z dala od polskiego bajzlu – wszystko po prostu jest na swoim miejscu.

Kiedyś powiedziałoby się, że nasze rodzime celebrytki po prostu szpanują (skądinąd na tym polega istota ich obecności w życiu publicznym), ale dzisiaj młodzi ludzie nazywają takie zachowanie fleksowaniem. A zatem Kinga Rusin, Justyna Steczkowska, Sonia Bohosiewicz, Edyta Herbuś, Barbara Kurdej-Szatan i cały tabun innych gwiazdek aspirujących do miana elity fleksuje się na Malediwach lub Zanzibarze na przekór polskiemu chamowi, który pozostał w zacovidzonej Polsce i może sobie teraz wsadzić swoje „pińcet plus” gdzieś bardzo głęboko.

MEDYTACJE PO TURECKU

Oczywiście ani Kinga Rusin, ani tym bardziej pozostałe wymienione panie nie wymyśliły we własnych głowach „terapeutycznych” wakacji nad oceanem. Dalekimi prekursorami tego nurtu byli antypisowscy veterani z zamierzchłych czasów KOD, którzy – jak pamiętamy – wiecznie się odgrażali, że

wyjadają z „tego kraju” na zawsze, ale jakaś niewidoczna siła ciągle powstrzymywała ich przed decyzją o emigracji i wyborem – jak można rozumieć – pełnego satysfakcji życia na obczyźnie.

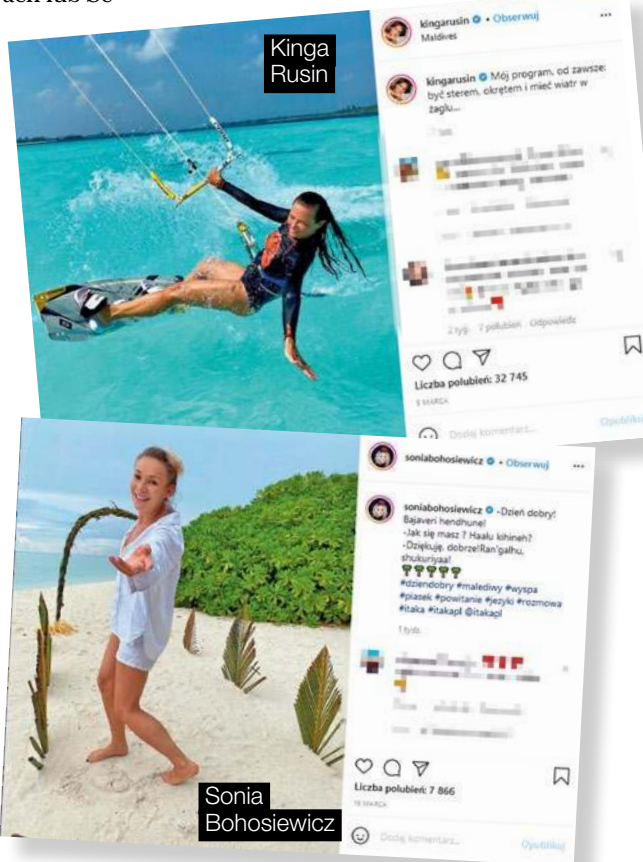
Bodaj pierwszy, który zdecydował się na taki krok, był Marek Migalski – politolog i przy okazji znany bojownik o demokrację – który równo rok temu postanowił uciec przed koronawirusem na Teneryfę. „Moja reakcja na zamknięcie Polski jest natychmiastowa. Wylatuję, nim odbiorą nam paszporty. Wolę odbywać kwarantannę na Kanarach lub Seszela niż w Nędzy czy w Katowicach” – napisał wówczas z wyrzutem Migalski, po czym wyjechał na atlantycką wyspę, gdzie – jak wynika z jego relacji w mediach społecznościowych – pojadł trochę smakolyków. Gdy jednak się okazało, że za chwilę może utknąć nad oceanem na dłużej, wrócił w popłochu do Polski, zaledwie po kilku dniach od rozpoczęcia „emigracji”.

W listopadzie w ślady Migalskiego, tyle że z nieco większą determinacją, poszła Kinga Rusin. Na plotkarskich portalach można wyczytać, że była prezenterka zrezygnowała z pracy w TVN i wraz z obecnym partnerem wyemigrowała na Malediwy, aby zarządzać stamtąd produkcją ekologicznych kosmetyków. Nie jest to chyba zbyt wyczerpująca praca, bo pani Rusin – jak wynika z jej fotografii zamieszczanych na Instagramie – większość swojego czasu spędza, podskakując radośnie na plaży lub kąpiąc się w morzu. Jednak nawet i tam dopadają ją niekiedy straszne wspomnienia z Polski. Wtedy jedynym ratunkiem pozostaje zmienić kostium kąpielowy i zapozować do nowej fotografii. „Gdy na chwilę próbuję zapomnieć o tym, że złodziej, kłamcy i podpalacze wprowadzają w twój kraj nowy ład...” – podpisała swoje zdjęcie, na którym próbuje medytować na brzegu oceanu. Trudno powiedzieć, czy ta me-

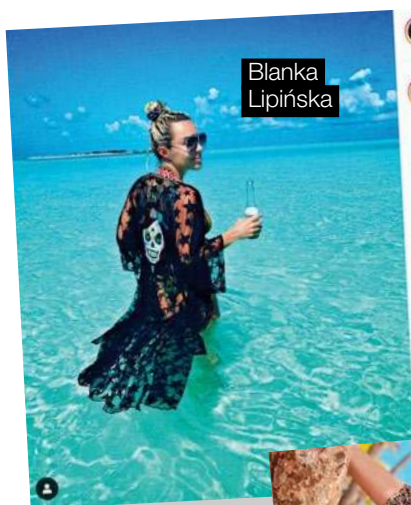
dytacja się udała, bo pani Rusin zamiast w pozycji lotosu usiadła na piasku tak jak zwykle robią to przedszkolaki, czyli po turecku.

TONĄCA JUSTYNA

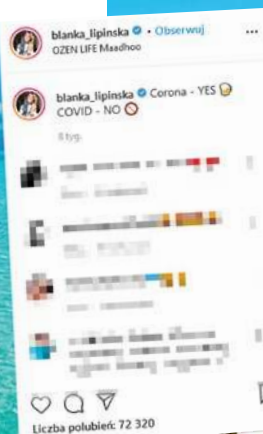
Kinga Rusin w kostiumie kąpielowym, heroicznie walcząc z pisowskim reżimem na egzotycznej plaży, tak mocno podziałała na wyobraźnię innych naszych celebrytek, że wkrótce zaczęły one masowo zasiedlać wyspy na Oceanie Indyjskim.



Przedstawiająca się jako aktorka, artystka kabaretowa i „influenserka” Sonia Bohosiewicz trafiła – podobnie jak Kinga Rusin – na Malediwy, gdzie wspięła się na palmę i podzieliła się w internecie wrażeniami z tej fascynującej wspinaczki. Z kolei Justyna Steczkowska (piosenkarka) wylądowała na Zanzibarze, gdzie – jak można przeczytać na portalach – reklamowała majtki. Na tej samej wyspie pojawiła się też Edyta Herbuś – opisana na Wikipedii jako prezenterka i „osobowość telewizyjna”. Herbuś nie reklamowała



Blanka Lipińska



Justyna Steczkowska



wprawdzie majtek, ale za to wyznała, że mocno poczuła na Zanzibarze „wibrację ziemi”. Było to jednak chyba tylko jej złudzenie, bo nie zanotowano tam ostatnio żadnej aktywności sejsmicznej. Zanzibar wybrały również inne celebrytki, m.in.: Barbara Kurdej-Szatan (aktorka), Julia Wieniawa (aktorka serialowa) oraz piosenkarka Natalia Kukulska.

Nie da się wykluczyć, że najazd celebrytek na egzotyczne plaże był elementem kampanii promocyjnej biur turystycznych. Na Malediwach, podobnie zresztą jak na Zanzibarze, nie obowiązuje bowiem kwarantanna i biura podróży zachęcają swoich klientów – głównie tych z grubszym portfelem – do wyjazdów na malownicze wyspy. Okazuje się zresztą, że to dość skuteczna taktyka, bo Zanzibar, o którym pewnie wielu nigdy wcześniej nie słyszało, stał się hitem tego sezonu.

Niestety dość powszechne przekonanie, że gościnny Zanzibar jest wolny od koronawirusa, może się okazać zgubne dla zdrowia. Tanzania, do której należy wyspa, od maja 2020 r. nie raportuje bowiem nowych przypadków zakażeń. Zmarły niedawno prezydent tego kraju John Magufuli uważał, że koronawirus nie jest groźny, i zalecał chorym inhalację parą wodną. W rezultacie w 56-milionowej Tanzanii (i – rzecz jasna – na

Zanzibarze) nie wprowadzono żadnych przeciwepidemicznych restrykcji, zrezygnowano również ze szczepień. Nie oznacza to jednak, że koronawirusa w Tanzanii nie ma. Wręcz przeciwnie. Sądząc po

gle fotografowała się z tubylcami, omal nie utonęła w basenie podczas sesji zdjęciowej w nowym kostiumie kąpielowym. Po takiej traumie żaden koronawirus nie może się wydawać już straszny.

PRZAŚNY KLASIZM

Ale nie chodzi tylko o koronawirusa. W końcu każdy dorosły człowiek, który pod wpływem reklamy decyduje się na wakacje w środku pandemii, powinien zdawać sobie sprawę z zagrożenia i umieć samemu skalkulować ryzyko.

Naszym „influenserkom” oberwało się za ich ostentacyjną próżność i brak jakiegokolwiek wyczucia w kontaktach z miejscową ludnością. Nie wzbudziły uznania zdjęcia, na którym tubylcy są jedynie egzotycznym tłem dla wyfotkowanej Steczkowskiej. Jeszcze więcej zastrzeżeń pojawiło się wobec fotografii umieszczanych w internecie przez Kurdej-Szatan, która miała reklamować kosztowny wózek w towarzystwie zabiedzonych zanzibarskich dzieci. Pojawiła się nawet sugestia, że tego typu publikacje są rodzajem „ludzkiego safari”, które od zwykłego różni się jedynie tym, że miejsce egzotycznych zwierząt zajmują tubylcy.

Zarzuty te wpisują się zresztą w znacznie szerszy i poważniejszy problem, jakim jest przaśny klasizm naszych elitek (bo przecież nie elit), które – osiągnąwszy pewien poziom rozpoznawalności i zamożności – automatycznie się uważają za najwyższą warstwę społeczeństwa. Dlatego – jak sądzą – przywileje po prostu im się należą. W ostrych słowach wypowiedziała się na ten temat scenarzystka Ilona Łepkowska, która stwierdziła, że celebryci oczywiście „mają prawo mieć w dupie to, że tylu ludzi jest bez pracy, walczy o życie swoich firm i że rodziny wariują na 60 metrach z dwójką dzieci w zdalnej nauce i dwójką rodziców na pracy zdalnej”, ale niech samozwańcze gwiazdki „poleca i wróć, albo może nawet lepiej niech nie wracają, tylko niech przestaną, k...wa mać, wstawiać foty z plaży w codziennie innym bikini na Instagram”.

Chętnie przyznające się do antypatijskich poglądów (bo to modne), ale niemające zbyt wiele do powiedzenia

Steczowska reklamowała na Zanzibarze majtki. Herbuś nie reklamowała wprawdzie majtek, ale za to wyznała, że mocno poczuła na Zanzibarze „wibrację ziemi”

raportach z ościennych państw, zaraza rozwija się tam bez przeszkód. 17 lutego na Zanzibarze zmarł z powodu choroby koronawirusowej wiceszef autonomicznych władz wyspy Maalim Seif Sharif Hamad, a według niektórych informacji COVID-19 mógł być przyczyną śmierci prezydenta Magufuliego (oficjalnie zmarł na serce).

Jednak „osobowości” i „influenserki” były zapewne zbyt skoncentrowane na „wibracjach”, aby zauważyć jakiegokolwiek zagrożenie. Zresztą wedle relacji jednego z portali Justyna Steczkowska, która cią-



egzaltowane celebrytki są od dawna poważnym obciążeniem wizerunkowym dla przeciwników obecnej władzy. Bo choć tzw. przeciętni ludzie, o których głosy intensywnie zabiega opozycja, z zainteresowaniem śledzą życie celebrytów, to jednocześnie drażni ich uprzywilejowana pozycja i intelektualne pretensje niezbyt wyrafinowanych „osobowości”. Charakterystyczny w tym kontekście jest głos znanego ze swojej antypisowskiej obsesji pisarza Jakuba Żulczyka, który stwierdził, że z powodu takich wpisów, jakie publikuje Kinga Rusin z Malediwów, ludzie nienawidzą dziś „okołoplatformerskich elit” i głosują na PiS.

Rusin odpowiedziała Żulczykowi, że uczestniczyła kilkanaście razy w ciągu ostatnich lat w protestach, została aresztowana i że wpłaciła 100 tys. zł na ochronę prawną protestujących kobiet, a zatem – jako weteranka bojów z „reżimem” – ma prawo, choćby z Malediwów, wypowiadać się na tematy polityczne. Nie rozumie jednak najwyraźniej, że epatowanie egzotyczną plażą jest z politycznego punktu widzenia niekorzystne dla popierającego przez nią obozu. Ale, jak widać, ludzka słabość jest silniejsza od politycznej kalkulacji.

Inaczej mówiąc, prawie nikt nie podziela przekonania celebrytek o ich własnej wyjątkowości. Przeciwnie, uznawane są za cwaniary, którym się powiodło głównie dzięki temu, że wkroczyły się do wpływowego towarzystwa. W jakim stopniu jest to prawdą, tego tu rozstrzygać nie będziemy, faktem jest jednak, że powszechny autory-

Chętnie przyznające się do antypisowskich poglądów, ale niemające zbyt wiele do powiedzenia egzaltowane celebrytki są od dawna poważnym obciążeniem wizerunkowym dla opozycji



Barbara Kurdej-Szatan

SEN O WŁASNEJ WIELKOŚCI

Typową linią obrony wśród celebrytek jest zarzucanie innym hejtu z zazdrości (Barbara Kurdej-Szatan stwierdziła obrazowo, że „naszczano” na nią „najbardziej śmierdzącym hejtem”). Ludzie mają zazdrościć „osobowościom” ich sukcesu, pieniędzy i urody – choć to wszystko jest przecież rzeczą względną. Ale rzeczywistość, pewnie im zazdrości. Zazdrość jest naturalną cechą, ale staje się szczególnie silna, gdy towarzyszy jej poczucie własnej krzywdy i niesprawiedliwości. Jeżeli więc ludzie tak bardzo zazdroszą celebrytkom, to dlatego, że sami, nie czując się gorszymi od egzaltowanych „influenserek”, mogą jedynie pomarzyć o ich życiu.

tet, jakim mają się rzekomo cieszyć różne „medialne osobowości”, istnieje jedynie w ich własnych głowach.

Inna rzecz, że ludzka natura bywa czasem naprawdę paskudna. I nie chodzi tu tylko o to, że ktoś komuś podłożył świnie czy wyleje pomyje na głowę, lecz o to, że sam – osiągnąwszy wyższy poziom życia – zaczyna gardzić innymi i uważać, że jemu – w odróżnieniu od innych – wszystko się należy. Dotyczy to wielu ludzi i niewykluczone, że w przypadku niektórych celebrytek mamy do czynienia właśnie z tym zjawiskiem. Widać tu też wyraźnie wewnętrzną rywalizację: o urodę, o pieniądze, o liczbę lajków na Instagramie. Mogłoby to tłumaczyć wiele

stadnych zachowań tego środowiska, w tym również omawiane egzotyczne wakacje. Bo skoro Kinga Rusin pojechała na Malediwy, to przecież jej koleżanki po fachu nie mogą być gorsze.

Nawiasem mówiąc, zupełnie inaczej wyglądało to w typowo inteligenckich kręgach, gdzie po prostu nie wypadało afiszować się swoim bogactwem czy pozycją. Tyle że dziś takie postawy zanikają. Można czasem dostrzec podobne zachowania wśród tych naprawdę najbogatszych, ale wynikają one nie tyle z odziedziczonego kodu kulturowego, ile raczej ze względów bezpieczeństwa i chęci zachowania prywatności.

CELEBRYTKI POD OCHRONĄ

Prawica może się więc z celebrytek śmiać. W niczym one jej nie wadzą, przeciwnie, są żywym dowodem

na to, że wspierające opozycję „elity” są egoistyczne, zakompleksione i mało wyrafinowane. A to pobiegają się szczepić poza kolejnością, a to zareklamują swoje majtki na Zanzibarze, a to nie mając uprawiać jogi nad Bałtykiem, a to pokażą komuś pupę.

Rzecz jasna to, co pomaga pracy, najbardziej szkodzi lewicy. Nie tylko dlatego, że celebrytki odstrasza ludzi swoją arogancją i próżnością. Problem jest głębszy i dotyczy również ideologii. Co z tego, że Kinga Rusin – wedle własnych słów – wpłaciła 100 tys. zł na protestujące kobiety, skoro jednocześnie pokazuje się na Instagramie w ciągle nowych kostiumach kąpielowych? Lewica nie wybaczy jej ani innym celebrytkom tej koncentracji na własnej fizyczności. To przecież uleganie szkodliwym stereotypom, każącym kobiecie chwalić się swoim wyglądem i urodą. Tymczasem kobieta nie powinna się umizgiwać do innych, zwłaszcza do mężczyzn.

Być może więc warto otoczyć obecne celebrytki specjalną ochroną. Bo choć one tego nie rozumieją, to jednak na swój specyficzny sposób są ostoją tradycyjnych norm. No chyba że pójdą z duchem czasu i – podobnie jak niektóre postępowe modelki z Zachodu – zaczną eksponować włosy pod pachami.

Głupienie polityki

Spadek poziomu inteligencji potwierdzają kolejne badania, więc i polską politykę dotyka syndrom głupiego i głupszego. Ale nie musi



STANISŁAW JANECKI

Formalnie pięciu liderów partii obecnych w polskim parlamencie ma doktoraty: Jarosław Kaczyński, Jarosław Gowin, Borys Budka, Władysław Kosiniak-Kamysz i Adrian Zandberg (nie jest już we władzach Partii Razem, ale liderem być nie przestał). Od tego jednak polska polityka wcale nie jest mądrzejsza. Choćby dlatego, że na poziomie świadomości metapolityki oraz efektywności potwierdzonej wyborczymi sukcesami nad kreską, i to zdecydowanie, jest tylko Jarosław Kaczyński. A warunkowo Jarosław Gowin. A jeszcze bardziej warunkowo Adrian Zandberg. Obaj w co najmniej przyzwoitym stopniu potrafią funkcjonować na poziomie metapolityki. I mają przy tym jakieś osiągnięcia wyborcze. Nie da się tego natomiast powiedzieć o Borysie Budce i Władysławie Kosiniaku-Kamyszu.

Nie tyle formalne wykształcenie jest jednak w polityce najważniejsze, skoro

wraz ze wzrostem liczby polityków mających dyplomy uczelni wcale nie zmienia się na lepsze jakość polityki. Magistrów (oraz osób mających stopnie naukowe) w parlamencie jest bez liku, ale nic z tego nie wynika. Jeszcze jaskrawiej widać to w polityce pozaparlamentarnej. Tu nieprzypadkowo osoby mające polityczne ambicje, a aktywne przede wszystkim na ulicy, nie tyle zabiły, ile wręcz ukatrupiły tępym nożem wszelką metapolityczną refleksję. To już było widoczne w czasach największej aktywności Komitetu Obrony Demokracji (w latach 2016–2017), gdzie można było obserwować wręcz zjazd metapolityki, ale też języka i etyki. Ogólnopolski Strajk Kobiet, jako nowy lider polityki prowadzonej na ulicy, jest tylko uwięzieniem wcześniejszych procesów: głupienia, infantylizacji oraz demoralizacji.

GŁUPIENIE-INFANTYLIZM-DEMORALIZACJA

Szczególnie wyraźnie triada głupienie-infantyizm-demoralizacja widoczna jest w języku. Podczas protestów firmowanych przez OSK do komunikacji wystarczy bardzo skromny słownik: „je...ać”, „wypier...ać”, „pier...olić się”, „mieć wyje...ane”, „walczyć z chu...ami” (czasem jeszcze

„je...anymi”) i „ku...wami” czy „za...ebywać wrogów”. Przy czym z tego, co dotychczas było sferą bluzgów i prymitywu, utytułowani akademicy robią wręcz rodzaj mowy salonowej czy pałacowej. Nie dziwi to w wypadku aktywnej uczestniczki protestów, profesor polonistyki z Uniwersytetu Szczecińskiego, Ingi Iwasiów („nie jako profesorka, tylko jako kobieta mówię je...ać i wypier...ać”). W „Gazecie Wyborczej” doprecyzowała ona, że bluzgi „nie są ani czystą agresją, ani ostrzeżeniem przed atakiem. Stanowią bardzo pre-

Fot. Włocławski Krzysztof/Muzeum Narodowe w Warszawie





czyjne zdefiniowanie sytuacji, w której nie ma już czasu na nic innego poza »wypier...cie«. To słowo „daje możliwość prowadzenia jakiegokolwiek rozmowy. Na gruzach komunikacji odbywa się jednak jakaś komunikacja”. A dodatkowo mamy katharsis: „Ja po pierwszym dniu protestu zauważyłam, że mnie te wulgaryzmy wzruszają. Jakby się coś uwolniło”. Powszechna na uczelniach staje się akceptacja takiego języka. Oraz akceptacja nowej, totalitarnej nowomowy, za którą idą kolejne wymuszenia, gdy chodzi o specjalne

prawa. Kolejne uniwersytety godzą się na nazywanie studentów zgodnie z ich deklaracją, za kogo chcą się uważać (mężczyznę, kobietę, osobę niebinarną, cisplciową, trigender, pangender, agender, demigender etc.). Status prawny (to, co w dokumentach) staje się nieistotny.

Ulica podsuwa radykalną wersję triady głupienie–infantylnizacja–demoralizacja, ale w zakamuflowanej formie te same procesy widać już w instytucjach i organizacjach, widać w kulturze, nauce, mediach. Rzuca się to

w oczy na poziomie Unii Europejskiej. Gdyby porównać tzw. ojców założycieli Europy – Konrada Adenauera, Alcide De Gasperiego, Roberta Schumana, Jeana Monneta, Paula-Henriego Spaka, Josepha Becha, Waltera Hallsteina z takimi współczesnymi liderami jak Herman Van Rompuy, Donald Tusk, Charles Michel, Romano Prodi, José Manuel Barroso, Jean-Claude Juncker czy Ursula von der Leyen, to dzieli ich właściwie przepaść. Podobnie jest z wieloma współczesnymi przywódcami państw. To też jest powodem



wyjątkowo brutalnych ataków na polityków, którzy jeszcze ludzi pokroju ojców Europy przypominają i kierują się podobnymi wartościami, np. na Jarosława Kaczyńskiego czy Viktora Orbána. Wraz z deprecją i dewaluacją liderów postępuje powszechna banalizacja i trywializacja polityki. Obserwując różne pokolenia polskiej polityki, można zauważyć, iż to aktywne od początku III RP nie tylko stać było na metapolityczne refleksje na wysokim poziomie. Wystarczy wymienić książki: Jarosława Kaczyńskiego – „Polska naszych marzeń”, „Porozumienie przeciw monowładzy”, Ludwika Dorna – „Rozrachunki i wyzwania”, „Anatomia słabości”, Donalda Tuska – „Solidarność i duma”, „Szczerze” (mimo ogromnej dawki narcyzmu i pretensjonalności), Grzegorza Schetyny – „Historia pokolenia”, Radosława Sikorskiego – „Strefa zdekomunizowana”, „Polska może być lepsza”; Bartłomieja Sienkiewicza – „Państwo teoretyczne”, Kazimierza Ujazdowskiego – „Polityka ambitna”, Rafała Grupińskiego – „Polityka i kultura”. Obecnie nawet część tego ambitniejszego pokolenia się zbanalizowała i zinfantylizowała (chyba najbardziej Donald Tusk i Radosław Sikorski), a młodszy zamiast mieć intelektualne ambicje i analityczne ciągoty, bliżej są kolorowanek (głośny żart – pokoloruj drwa!).

UPADEK ELIT

Coraz więcej politologów, socjologów czy filozofów dostrzega dość powszechne głupienie oraz infantyлизację społeczeństw, a jeszcze szybsze ich elit: Guy Debord – „Społeczeństwo spektaklu”; Benjamin Barber – „Skonsumowani. Jak rynek psuje dzieci, infantyлізуje dorosłych i połyka obywateli”; Paul Vitz – „Psychologia jako religia. Kult samouwielbienia”; Manfred Spitzer – „Cyfrowa demencja. W jaki sposób pozbawiamy rozum siebie i swoje dzieci”; Nicholas Carr – „Płytki umysł. Jak internet wpływa na nasz mózg”. Niektórzy stawiają prowokacyjne pytanie, czy politycy powinni być mądrzejsi od społeczeństw i elit, w których funkcjo-

nują, które reprezentują. Albo patrząc od drugiej strony – czy mogą być mądrzejsi, skoro są takim samym produktem tych społeczeństw jak przeciętni obywatele. Podlegają tym samym procesom i mechanizmom.

Głupienie, infantyлизacja czy demoralizacja są procesami społecznymi, kulturowymi istniejącymi już pod koniec XIX w. (np. Dominic Strinati – „Wprowadzenie do kultury popularnej”), ale nie w takiej skali. I są one związane z kulturą masową, z masową

Politycy (nie tylko w Polsce) są „ofiarami” szerszych procesów, w których sakralizowane są banał i trywialność, najczęściej pochodzące z mediów o wielkim zasięgu, bo one z założenia nie mogą być elitarne bądź wymagające

reprodukcją, z upowszechnieniem, ale i strywalizowaniem edukacji. Można by powiedzieć, że politycy (nie tylko w Polsce) są „ofiarami” szerszych procesów, w których sakralizowane są banał i trywialność, najczęściej pochodzące z mediów o wielkim zasięgu, bo one z założenia nie mogą być elitarne bądź wymagające. Gdyby takie były, zostałyby odrzucone. Infantyлизacja czy też głupienie są w tym sensie lekarstwem, przeciwwagą dla specjalizacji bądź wyrafinowania. Wszystko wówczas staje się banalne i trywialne, więc także polityka. A wtedy premiowani są ludzie banalni, opowiadający trywializmy, byleby były one podane w stosownie napuszonym tonie.

Uniwersytety i generalnie nauka już stały się forpocztą nadchodzącego, globalnego triumfu głupienia, infantyлизacji i demoralizacji. Stąd uznawanie wszelkich modnych bzdur i powstawanie kierunków, które z nauką nie mają

nic wspólnego. Stąd niebywale szybko postępująca dyskryminacja tych, którzy tych modnych bzdur nie uznają za naukę, choćby nie sprzeciwiali się ich istnieniu. Stąd upowszechnianie się tego, co degeneruje uniwersytety, w mediach, w kulturze, a generalnie w debacie publicznej.

Znakiem czasu jest sytuacja, gdy Holden Thorp, redaktor naczelny „Science”, zaczął się kajać, że kierowane przez niego pismo w przeszłości za dużo publikowało artykułów białych naukowców, a za mało autorstwa „kolorowych”. Holden Thorp nie jest w nauce nikim, dlatego jego słowa są naprawdę przerażające. To profesor chemii, wynalazca, przedsiębiorca i muzyk, pracujący w Caltechu, Yale, były rektor Washington University w St. Louis, kanclerz Uniwersytetu Karoliny Północnej w Chapel Hill. Skoro ktoś taki jak Thorp ulega presji i zaczyna majaczyć o wstydlivej przewadze białych naukowców w publikacjach naukowych, jest naprawdę źle. Współczesna nauka nie zna bowiem koloru skóry, płci ani orientacji seksualnej. Wciąż jeszcze nie ma problemów, by publikować teksty naukowe niezależnie od tego, kto jest ich autorem. By-

leby były na odpowiednim poziomie. Ale jeśli decydować będą kryteria pozanaukowe, to sprawi, że nie tylko zniknie wolność nauki, konkurencja i merytoryczne kryteria, lecz szybko na łeb, na szyję spadnie jakość. Wystarczy przykleić sobie etykietkę i można wymuszać obniżenie kryteriów ze względu na przeszłą (wyдуманą) dyskryminację i problemy, jakie się z nią wiążą. Potem przyjdzie czas na zadośćuczynienie wszelkim możliwym do wymyślenia odrębnościom i przypisanej im dyskryminacji.

CO Z TĄ INTELIGENCJĄ?

Do infantyлизacji, demoralizacji i głupienia w sensie społecznym bądź kulturowym dochodzi taki czynnik jak obniżanie się poziomu inteligencji. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat żyliśmy w przekonaniu, że powszechny jest tzw. efekt Flynna. W 1987 r. nowozelandzki



filozof i psycholog James Flynn, na podstawie badań 14 grup narodowościowych stwierdził, że w ostatnich 50 latach (do czasu opublikowania badań) iloraz inteligencji w krajach kultury zachodniej, mierzony standardowymi testami psychologicznymi, wzrósł o prawie 15 pkt. Z powodu zmian kulturowych, edukacyjnych, sposobu żywienia, zmniejszenia liczby dzieci w rodzinach, lepszej opieki medycznej etc. Przeciętnie inteligencja populacji miała rosnąć o 3 pkt w każdej dekadzie. Efekt Flynna miał być skutkiem wzrostu zdolności analitycznych, powszechności rozwiązywania testów, także tych na inteligencję. Niektórzy interpretowali efekt Flynna nie tyle jako wzrost inteligencji populacji, ile jako zwiększanie się umiejętności rozwiązywania testów. Obecnie wielu naukowców uważa, że albo efekt Flynna wygasł, albo został stłumiony i odwrócony przez inne procesy, negatywnie wpływające na inteligencję. I różne nowe dane, przede wszystkim norweskiego Centrum Badań Ekonomicznych Ragnara Frischa, dowodzą, że od początku lat 70. XX w. średni poziom inteligencji na świecie się zmniejsza. Norwegowie analizowali wyniki 730 tys. testów IQ osób powołanych w latach 1970–2009 do wojska. I wyszło im, że IQ zmniejsza się systematycznie – o 7 pkt na pokolenie. Mniej reprezentatywne badania amerykańskie (na University of Hartford w stanie Connecticut, opublikowane w 2014 r.) prognozowały, że od roku 1950 do 2020 IQ spadnie o około 3,5 pkt. Prof. Jan te Nijenhuis, psycholog z Uniwersytetu w Amsterdamie, twierdzi, że od czasów wiktoriańskich średni poziom inteligencji spadł o 14 pkt w testach IQ. Z badań Ross University Medical School w Bridgetown na Barbadosie wynika z kolei spadek IQ o 8 pkt na pokolenie. Czyli nie ma efektu Flynna jest za to syndrom głupiego i głupszego.

Powszechne głupienie ma być wynikiem tego, że dzieci coraz mniej czytają, a za to coraz dłużej oglądają telewizję bądź korzystają z komputerów, tabletów i smartfonów. Przy każdej okazji wymagającej wysiłku umysłowego korzystają

z pomocy łatwej do znalezienia w internecie, przez co nie rozwijają ani inteligencji, ani pomysłowości. Niczego się już nie oblicza „w myśli”, bardzo słabo ćwiczy się pamięć. Podstawowe sprawności umysłowe ulegają zatem atrofii. Earl K. Miller, profesor w dziedzinie neuronauki w Massachusetts Institute of Technology, dorzuca do tego zgubny wpływ tzw. multitasking, czyli wielozadaniowości, która wedle jego badań nie pobudza pomysłowości i inteligencji, lecz wskutek nadmiaru bodźców i zadań negatywnie wpływa na umysł, a więc także na iloraz inteligencji. Syndrom głupiego i głupszego jest też rezultatem zmian genetycznych. Psycholog prof. Richard Lynn, przez lata związany z University of Ulster w Coleraine w Ir-

Ulica podsuwa radykalną wersję triady głupienie–infantyliczacja–demoralizacja, ale w zakamuflowanej formie te same procesy widać już w instytucjach i organizacjach, widać w kulturze, nauce, mediach

landii Północnej (pozbawiony funkcji z powodu oskarżeń o rasizm w związku z jego badaniami inteligencji różnych grup i ras), twierdzi, że spadek IQ jest związany ze stopniowym pogarszaniem się potencjału genetycznego. Czyli także mutacje genów sprawiają, że głupiejemy. Podobne wnioski wyciąga prof. Gerald Crabtree z Uniwersytetu Stanforda i Howard Hughes Medical Institute. Uważa on, że mamy do czynienia ze spadkiem ilorazu inteligencji i że wpływają na to niekorzystne mutacje genetyczne. Za nasze zdolności poznawcze odpowiadają bowiem tysiące genów. Jeśli choćby w jednym z nich doszło do mutacji, ma to wpływ na cały potencjał intelektualny i wspierającą

go emocjonalną stabilność. Poza tym z powodu rozwoju medycyny i opieki gorsze geny wcale nie są eliminowane z puli. Prof. Crabtree uważa, że gdyby przenieść w nasze czasy przeciętnego obywatela Aten żyjącego między 1000 a 500 rokiem p.n.e., szybko stałby się jednym z najzdolniejszych i intelektualnie rozwiniętych nie tylko obywateli, lecz i naukowców.

POLSKA DO URATOWANIA

Wracając do triady głupienie–infantyliczacja–demoralizacja, czyli także do polityki (nie tylko polskiej), można stwierdzić, że polityczni liderzy i działacze nadążają za duchem czasu oraz genetycznym potencjałem współczesności.

Syndrom głupiego i głupszego jest coraz powszechniejszy, dlatego więc miałby omijać politykę. Mimo wszystko jednak politycznych liderów jest na tyle niewielu, że można by oczekiwać selekcji pozytywnej, a nie potwierdzania negatywnych trendów. Może zatem polska polityka wyróżniłaby się syndromem mądrego i mądrzejszego, a nie głupiego i głupszego? Nadzieje mogą się okazać płonne, skoro nie mamy znaczących osiągnięć naukowych czy kulturalnych. A wtedy odpowiednio spreparowana głupota jest traktowana poważniej, niż na to zasługuje i demoralizuje kolejne roczniki, kolejne pokolenia. I stajemy się bezbronni wobec triady głupienie–infantyliczacja–de-

moralizacja. Skutki są takie, że niknie w oczach wolność słowa, wolność nauki, wolność kultury. Wszędzie świetnie się mają terroryzujące większość miernoty, korzystające z parasola antydyskryminacji oraz statusu awangardy, którą oczywiście nie są, skoro najczęściej to piąta woda po kisieli z tego, co robiono nawet 100 lat temu.

Przy okazji wielkiego sporu o wartości europejskie w związku z „pieniędzmi za praworządność” okazało się, że Polska (i Węgry) są jednak w dużo lepszej sytuacji niż wiele innych państw i społeczeństw Unii Europejskiej. U nas negatywne procesy może byłoby więc łatwiej odwrócić. Tylko to zadanie na miarę Herkulesa.



Maksyma na codzienność

Mam wrażenie, że to, co jest współcześnie pokazywane jako „prawdziwe życie”, z prawdziwym życiem ma w istocie mało wspólnego

„**C**zy do świątecznego numeru mógłby pan napisać o tym, jak teraz żyć?” – usłyszałem w telefonie głos redaktora. Musiał wy czuć w mojej reakcji jakieś zmieszanie i zdziwienie, bo zaczął szybko objaśniać. „No, wie pan, czasy coraz bardziej zwa riowane, a na dodatek szczyt zarazy” – mówił redaktor. „Powinniśmy się dzielić z czytelnikami naszymi własnymi sposobami na zwykłe życie codzienne w takim czasie. Na to, jak przetrwać i obronić się przed zalewem szaleństwa”. Zastanowiłem się chwilę. Gdyby nie tak wyraźne życzenie redaktora, nigdy by mi nie wpadło do głowy, aby w gazecie pisać o swoim życiu codziennym. Co innego gwiazdy czy celebryci, którzy żyją po to, aby innym dostarczać codziennej porcji



JAN ROKITA

swoich zwierzeń i skandali. Ale moja co- dzienność jest krańcowym zaprzecze- niem tego wszystkiego, co jest atrakcyjne, chodliwe, medialne...

Nie ma co kryć, że świat aktorek, pił- karzy i polityków, świat facebookowego mizdrzenia się i lajkowania, telewizyj- nej rozrywki i nieustannych konkur- sów, stał mi się ostatnimi laty tak obcy, jakby te wszystkie rzeczy rozgrywały

się na jakiejś innej planecie, na której – Bogu dzięki – nie muszę zamiesz- kiwać. Mam wrażenie, że to, co jest współcześnie pokazywane jako „praw- dziwe życie”, z prawdziwym życiem ma w istocie mało wspólnego. Może dlatego w końcu przystałem na sugestię redak- tora, aby wyjątkowo – na święta – nie pisać o burzliwym biegu spraw publicz- nych, ale ten jeden raz streścić w paru punktach to, co uważam za ważne i warte obrony we własnej codzienności. Z jednym zastrzeżeniem: to jest moja codzienność. Ani lepsza, ani gorsza od czyjejs innej. Nikomu niczego więc nie doradzam, a tylko opowiadam, jeśli by ktoś chciał w wolnej chwili poczytać o tym, jak ktoś inny na co dzień próbuje się nie poddać popsutemu światu.



Po pierwsze – wieś

I to koniecznie nie ta udawana, podmiejska, ale prowincjonalna, daleka od metropolii. Kiedy parę lat temu wynosiłem się z Krakowa do małego drewnianego domku pod Bieszczadami, moi przyjaciele wieszcyli mi kiepską przyszłość. Jeden z nich napisał mi nawet w mailu, iż „na wsi człowiek musi stać się prymitywem albo Maniłowem”, czyli takim cikliwym typkiem z Gogola, co to by najchętniej cały dzień na rzekę patrzył, bo lubi się wzruszać na łonie przyrody. Nie mieli racji. Oczywiście mam to szczęście, że zarabiając na życie pisanie i uczeniem studentów, mogę to robić online tak samo dobrze na wsi, jak w mieście, zwłaszcza teraz, kiedy studia odbywają się tylko zdalnie. Gdyby nie wynalazek internetu, byłbym skazany na życie w Warszawie albo w Krakowie.

Na czym jednak w moim przypadku polega tak wyraźna przewaga życia na zapadłej wsi? To proste: na dobrze zorganizowanym dniu i wolniejszym płynięciu czasu. Pamiętam życie w metropolii, nawet po tym, jak znużony polityką, zrezygnowałem przed laty z czynnego w niej udziału. Tu spotkanie w kawiarni, tam kolacja u znajomych, tu sprawa w urzędzie, tam znów ktoś przypadkowo spotkany na ulicy... A dzień na wsi płynie jednostajnie, przez co ja sam wyznaczam jego rytm i pory moich zajęć: studenci, pisanie, spacer, gotowanie, ogród, kościół, muzyka, książki. Dobrze zorganizowany dzień na wsi jest dłuższy niżli w mieście, ale pomimo to pęka w szwach od nadmiaruając.

Po drugie – ogród

W metropolii jest luksusem dla milionerów, u mnie na wsi czymś zwyczajnym i dla każdego. W czasie zarazy ogród okazał się błogosławieństwem, dającym przywilej bezpiecznego przebywania w wolnej przestrzeni. Ale dziś wiem na pewno, że ogród jest autentyczną potrzebą ludzką w każdych okolicznościach. Mają rację ci antropolodzy kultury, którzy dowodzą, iż pragnienie ogrodu jest ukrytym głębokiem w człowieku religijnym marzeniem o powrocie do raju. I ogród w najmniejszym nawet stopniu nie jest rzeczą dla rozlazłych „Maniłowów”, szukających wzruszeń. Na wsi każdy wie, że

ogród to rzecz praktyczna: wymaga troski, pracy, przycinania, nawożenia, podlewania i jeszcze walki z atakującymi go najróżniejszymi zwierzętami: od ślimaków, przez nornice, aż do saren.

Mój ogród zdominowały róże i poziomki. Te pierwsze – bo w polskiej kulturze są znakiem nadziei („sadźmy róże szczęśliwшему światu”), te drugie – bo jestem miłośnikiem ich smaku, a z jakichś nie całkiem jasnych powodów rynek wyeliminował poziomki z handlu, poza ekskluzywnymi targowiskami w wielkich miastach.

Po trzecie – chodzenie

Kiedy żyłem w mieście, chodzenie było każdego dnia czymś samoczynnym. Po mieście, zwłaszcza takim jak Kraków, po prostu się wszędzie chodzi. Na wsi chodzenie ma inny wymiar: trzeba je zaplanować jako odrębne zajęcie i znaleźć na

Kiedy parę lat temu wynosiłem się z Krakowa do małego drewnianego domku pod Bieszczadami, moi przyjaciele wieszcyli mi kiepską przyszłość. Nie mieli racji

nie czas. Mam swoją najczęstszą ścieżkę, która podąża przez wieś, a potem przez las, trochę ponad pięć kilometrów. Staram się przejść nią niemal codziennie, o ile tylko nie ma deszczu albo silnego wiatru.

Chodzę zazwyczaj sam. To jest bowiem najlepszy czas, aby metodycznie i gruntownie zbadać w myśli jakąś kwestię, która akurat mnie zajmuje. Satisfakcja największa jest wtedy, gdy wychodząc z lasu, mam w głowie odpowiedź na pytanie, które stawiałem sobie rano. Jest jedna rzecz, która w tym chodzeniu jest dyskomfortem: śmieci. Puszki, butelki, torby plastikowe, kolorowe opakowania po chipsach są niestety stałą częścią wiejskiego chodzenia. Czasem biorę auto i zabawiam się w ochotnika śmieciarza,

ale ostatnio jestem znużony tym najzupełniej syzyfowym zajęciem.

Po czwarte – obiad

Gotuję z reguły sam, każdego dnia, bo raz – że lubię, a dwa – bo robię to dobrze. Nigdy nie lubilem restauracji. Znam praktycznie tylko ich dwa rodzaje – albo zbyt kiepskie, albo zbyt drogie. Ale na wsi ten kłopot i tak nie istnieje. Z przyrządzania jedzenia nie czynię celebry; robię to, co jest naturalne, dobrej jakości i daję się przyrządzić szybko. Nie mogę sobie przecież pozwolić na to, aby gotowanie i porządek po obiedzie zabierały mi pół dnia. Żadnych książek ani przepisów, tylko domowa tradycja oraz własny smak i inwencja.

Nigdy nie kupuję chleba z polepszaczami, bułek chemicznie spulchnianych, kaszy z glifosatem, brojlerów z ferm, dżemów z konserwantami etc. Lista tego, czego nigdy nie kupuję, jest długa, bo też jedzenie skażone chemią jest w moim przekonaniu jedną z najbardziej obrzydliwych cech współczesnego kapitalistycznego rynku. Prowadzę tu swoją najzupełniej prywatną wojnę z przemysłem spożywczym, nie po to – rzecz jasna – aby ją wygrać w znaczeniu politycznym, bo przecież wiem, że jest z góry przegrana. Ale raczej dla własnego zdrowia oraz w imię pryncypialnego poglądu, iż człowiek nie powinien być – niczym brojler w fermie – karmiony chemiczną paszą. To jedna z prostych form samoobrony przed naporem popsutego świata.

Po piąte – „Great Books”

Przywołuję termin angielski, bo przecież nie ja to wymyśliłem, ale świetny chicagowski profesor Leo Strauss, który kazał swoim studentom czytać tylko „wielkie książki”. Zalew współczesnej literatury budzi we mnie awersję, a na piętrzące się kolorowe tomy w księgarniach spoglądam z niechęcią. Parę razy brałem do rąk na próbę książki, które akurat znalazły się na gazetowych listach czytelniczych. Z uprzejmości nie podam tytułów, ale zawsze odrzucało mnie najdalej po 50 stronach. Miałem wrażenie, że problemy współczesnych bohaterów literackich nie są w ogóle moimi problemami. Depresja, zagubienie, psychoterapia, magia, areligijność, rozwydrzenie seksualne,



niespełnione uganie się za uznaniem innych ludzi... Przyjmuję do wiadomości, że taki świat istnieje, ale – proszę o wybaczenie – jest mi on tak obcy, że prędzej zainteresowałbym się psychicznymi kłopotami kosmitów, gdyby istnieli.

Czytam więc na nowo moje „Great Books”, w których odnajduję swoje własne myślowe i egzystencjalne kłopoty, słabości, rozterki. Śmieje się i wzruszam ciągle nad Szekspirem, nigdy nie mogę się dość nacytać Conrada, a Platon czy Tomasz Mann zwyczajnie pomagają mi w myśleniu. Na starość okazuje się, że z namiętnością czytam poetów: ich zebrało mi się najwięcej w mojej wiejskiej domowej biblioteczce.

Po szóste – reklama

To druga najzupełniej prywatna wojna, którą toczę na własny rachunek, w celu uratowania osobistego poczucia godności. Na komputerze mam stale zainstalowany adblock, telewizję włączam punktowo, tylko na określony film czy spektakl, i to wyłącznie na kanałach, które nie używają reklam jako przerywnika. Odrzuca mnie od współczesnego radia, które przekształciło się w krzykliwą tablicę reklamową i popisy prymitywnego dowcipu. Oczywiście nigdy nie włączam dwóch stacji telewizyjnych, które wydają mi się najgroźniejsze: TVN24 i TVP Info. Nie, nie dlatego, bym nie podzielał wielu spośród poglądów tam głoszonych. Ale z racji marketingowej

nachalności, tego biznesowego profesjonalizmu, z jakim fachowcy od PR z obu tych stacji chcieliby zawładnąć moimi uczuciami, moją podświadomością, tak bym pogardzał tymi, którymi oni pogardzają, i wielbił tych, których oni wielbią. Nachalność i profesjonalizm współczesnej reklamy – zarówno biznesowej, jak i politycznej – rodzi moją obawę, czy aby godząc się na dopuszczenie do siebie jej ataku, w końcu mu jednak nie ulegnę. Tracąc tym samym wolny wybór, zdrowy rozsądek, poczucie godności.

Po siódme – uznanie

Wychowałem się w epoce schyłkowego komunizmu, w kulcie życiowego nonkonformizmu i lekceważenia dla zachowań stadnych. Owce Panurga, które stadnie leżą jedna za drugą, albo tłoczą się w jakiejś kolejce – to był mój wielki zbiorowy przeciwnik z lat młodości. Później, poczytując niektórych filozofów z ducha oświecenia, jasno pojąłem, że tylko własne myślenie, radykalnie samodzielne, niezważające na nikogo i na nic, jest bezpiecznikiem przed zepsuciem charakteru i pułapkami Złego, zastawianymi przecież na każdego z nas. Dziś z uporem przekonuję moich studentów do studiowania podziwianej przeze mnie Hannah Arendt, gdyż to ona pokazała chyba najdobitniej, jak zło, a nawet zbrodnia, może zawładnąć zwykłym człowiekiem, który w imię stada wyrzekł się własnego myślenia.

Wiem dobrze, że szukanie uznania innych to nasz biologiczny instynkt, który napędza starania milionów ludzi. Polityczna poprawność, strach przed ośmieszeniem, pragnienie zbierania lajków to motor, który dziś rządzi naszą codziennością silniej niż kiedykolwiek w historii. W akcie samoobrony przed tą presją popsutego świata zrobiłem kiedyś mocne postanowienie, iż bezwarunkowo będę mówić, pisać i czynić tylko to, co mój głos wewnętrzny podpowiada mi jako słuszne. I nie zabiegać w tym o niczyje uznanie.

I po ósme – uczucia

Ochraniam je skwapliwie dla mojej prywatności. Dlatego nie mogłbym zostać jednym z tak licznych dziś „wściekłych”, „oburzonych” czy tych, którzy z byle powodu „są w szoku”. Prawdę mówiąc, chyba nigdy nie byłem w szoku i – jak Bóg da – nie chciałbym się w nim znaleźć. Taki stan musi nie tylko wyłączać samokontrolę, lecz sprawiać utratę zdolności trzeźwego osądu świata. Przyznam, że patrzę z pewnym zakłopotaniem na tak licznych ludzi, młodych i starych, którzy występują na ulicach, w mediach albo w sieci tylko po to, by dać wyraz, iż znaleźli się właśnie w takim – co tu kryć – wstydliwym dla człowieka stanie. Mam ostatnio nasilające się wrażenie, że zarówno w polityce, jak i w sztuce, literaturze, a także w dyskusjach w sieci ludzie potrafią już tylko wyrażać swoje uczucia albo o nich opowiadać. Mało kto ma ambicję i umiejętność wypowiedzenia tego, co myśli, ale za to wszyscy przekrzykują się w obnażaniu emocji. Pracuję nad sobą, aby nie poddać się tej zbiorowej licytacji uczuć, jaka dokonuje się w oblepiającej nas kulturze masowej.

W „Panu Jowialskim” Janusz wygłasza taką maksymę: „Ja mam rozum i wieś, jem dobrze i śpię wyśmienicie”. Janusz jest co prawda u Fredry nieudanym absztyfikantem i dość pociesznym bohaterem z licznymi wadami. Odkrywanie własnego podobieństwa do literackich postaci komicznych nie jest jednak złe, uczy bowiem nie całkiem poważnego traktowania samego siebie. Ja otwarcie przyznaję, że do mnie przemawia ta prosta maksyma Janusza na codzienność. Życzę Państwu radosnej Wielkanocy!



Tomasz Kot,
„Zimna wojna”

Koncert na trzech aktorów

*Miraże o pendolino do Hollywood zastąpili
podróżą osobowym do świadomego celu.*

*Tomasz Kot, Marcin Dorociński, Piotr Głowacki
zamiast iluzji ekspresowego podboju ekranu
postawili na aktorstwo. Efekty? Już są*



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Zaden z nich nie ma brawury i temperamentu Sachy Barona Cohena, który z przerysowaną, fikcyjną postacią kazachskiego dziennikarza Borata w 2007 r. dosłownie wbił się w globalną, medialną świadomość widzów. Za obraz „Borat: Podpatrzone

w Ameryce, aby Kazachstan rósł w siłę, a ludzie żyli dostatniej” dostał pierwszą nominację do Oscara (za scenariusz) i pierwszy aktorski Złoty Glob. Podobny zestaw przyniósł mu w tym roku „Kolejny film o Boracie” (Złoty Glob już odebrał, nadal ma szansę na Oscara jako scenarzysta).

W KONTRAPUNKCIE

Wyrazistość, egzotyka, zaskoczenie widzów... tego potrzeba, by się dziś wyróżnić z coraz większego i bardziej różnorodnego grona aktorów, którym udało się najpierw zaistnieć i osiągnąć



Marcin Dorociński, „Gambit królowej”



sukcesy na rodzimym rynku, a potem z niego przejść do kolejnego etapu i szerszej medialnej przestrzeni.

Pandemia zweryfikowała dawne filmowe kalkulacje i prognozy. Przeniosła ciężar z wielkiego ekranu na mały. Aktorom, którzy dali się na nim zapamiętać, otworzyła o wiele szersze perspektywy niż przed 2020 r. Dała dostęp do niewyobrażalnej rzeszy odbiorców.

To ci widzowie ulegli fascynacji Anyą Taylor-Joy (z jej oryginalną nieharmonijną urodą), stworzoną przez aktorkę postacią (nagrodzoną Złotym Globem) oraz serialem „Gambit królowej” (również Złoty Glob).

Marcin Dorociński – wcielający się w „Gambicie...” w Wasilija Borgowa, szachowego przeciwnika Beth Harmon – miał być stonowanym kontrapunktem dla głównej bohaterki, jednym z rewersów do jej historii. Z takiej też roli się wywiązał, wytłumiając w swojej postaci wszystko, co 12 lat wcześniej było jego atutem w głośnym „Rewersie” Borysa Lankosza.

Grający jedynie oczami – w masce twarzy szachowego wygi i człowieka świadomego, z jakiego politycznego obozu przyjechał – Dorociński zbudował swoją postać na mikroniuansach. I – wbrew niektórym, zawiedzionym polskim widzom, że mało go było widać na ekranie – wygrał tę partię.

Teraz może przejść do następnej zawodowej rozgrywki. Jako aktor, który

dołączył do stajni Netflix, w kolejnej produkcji tej platformy (a raczej „kooperacji produkcyjnej” z TVP), pojawi się na ekranie w głównej, wyrazistej i wielowymiarowej roli. Na dodatek historia jego bohatera ma wielkie szanse, by pociągnąć za sobą widzów.

CZAS NA AWERS

Mowa o serialu „Erynie” – ekranizacji kryminalnej powieści Marka Krajewskiego i drugiej w kolejności (pierwsza nosiła tytuł „Głowa minotaura”) części cyklu o komisarzu Edwardzie Popielskim. Akcja książki przenosi nas z roku 2008 i zaułków Wrocławia do Lwowa i maja 1939, przypominając śledztwo toczzone w sprawie, którą rozpoczęło brutalne morderstwo małego chłopca. Tymczasem w zdawkowych zapowiedziach 12-odcinkowej serii pojawia się inny przedział czasowy, wyznaczony przez lata 1929–1946, co sugerowałoby, że scenarzyści rozbudowali narrację o wydarzenia z pozostałych tytułów powieściowego cyklu. Czy rzeczywiście? Przekonamy się, gdy produkcja trafi do widzów. Na razie, sądząc po lekturze powieści Marka Krajewskiego i ekipie adaptującej materiał, możemy jedynie przewidzieć kierunek pracy filmowców. Licząc, że Popielski pozostanie intrygującą postacią – niejednoznaczna i złożona, a zarazem mroczna i wysublimowana. Bardziej skomplikowaną, niż Eberhard Mock – pierwszy bohater stworzony przez Krajewskiego.

Obu policjantów na łamach książek wiele łączy: mają słabość do kobiet lekkich obyczajów i życia na poziomie. Cenią wytworne stroje, wysmienite dania i alkohole. Wybitny intelekt, pomagający im w rozwiązywaniu najtrudniejszych spraw kryminalnych, ćwiczą, oddając się z pasją m.in. matematycznym i szachowym łamigłówkom. Dla przyjemności czytają w oryginale starożytnych autorów. Kiedy jednak trzeba, nieobce są im też knajackie reguły gry. Potrafią działać brutalnie, posuwając się bardzo daleko.

W twardej przestępczych rozgrywkach piętą Achillesową Popielskiego okazuje się jego miłość do córki, a fizyczną słabość wywołują jedynie efekty padaczki fotogennej... Zagrać takiego



bohatera to wyzwanie i zarazem aktorskie marzenie, z którego Marcin Dorociński zapewne skrzętnie skorzystał.

Za reżyserię „Erynii” odpowiada Borys Lankosz, który w 2009 r. w debiutanckim „Rewersie” znakomicie poprowadził aktorskie grono. W kostiumie z początku lat 50. ub.w. i klimacie kina noir, budowanym w cieniu rosnącego w górę PKiN, świetnie odnalazł się też Marcin Dorociński. Jako bohater o kilku wcieleniach, zarazem szatańsko przystojny i niebezpieczny.

Scenariusz do „Erynii” napisali Igor Brejdygant, Borys Lankosz, Magdalena Lankosz i Władysław Pasikowski. Autorem zdjęć jest Marcin Koszałka, który współpracował z Lankoszem już przy „Rewersie” oraz „Ciemno, prawie noc”. Premiera – najpierw na platformie Netflix – w 2021 r. Bardziej precyzyjny termin na razie pozostaje tajemnicą.

A tym, którym brak go na ekranie, Marcin Dorociński proponuje na swoim internetowym profilu: „Jeśli macie Netflix, gorąco zapraszam do powrotu do »Głębokiej wody« – serialu, z którego jestem szczególnie dumny i który jest bardzo ważną pozycją w mojej filmografii”.

BILET Z TERMINEM

Nominowana do Oscara w 2019 r. „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego otworzyła perspektywę światowej kariery parze głównych aktorów. Tomasz Kot wciąż korzysta z danej mu szansy. Ma świadomość, że „otrzymał międzynarodowy bilet z określonym terminem ważności” i zamierza go jak najlepiej spożytkować.

Uważnie – jak podkreśla – podchodząc do propozycji, które dostaje za oceanem, przede wszystkim rozwija się jako aktor. Z perspektywą kariery – bynajmniej nieoszałamiającej sprintem, ale prowadzonej świadomie, przygotowanej też na zawirowania i niespełnienia.

Takie jak szeroko omawiane w naszych mediach odsunięcie polskiego aktora od roli przeciwnika Jamesa Bonda w „Nie czas umierać”. Dziś film z 007 wciąż stoi w przedpremierowych blokach startowych. Tomasz Kot, jeśli już, to o wiele mocniej odczuł zawieszenie



Piotr Głowacki, „Mistrz”

projektu, w którym miał zagrać pierwszoplanową, nie byle jaką, postać – wynalazcy Nikoli Tesli.

Wspomina, że zdarzało mu się „czuć ofiarą żartu”, gdy słyszał pytanie, kiedy będzie „Telsa” i zapewnienia, że to Oscar murowany. – Nie miałem siły wyjaśniać, że zachodni świat taki jest: dopóki coś nie powstanie, to tego nie ma.

Na szczęście były też projekty zrealizowane. Jak serial BBC „Świat w ogniu: Początki” – rozpisana na wiele wątków opowieść o II wojnie światowej. Dla Tomasza Kota okazała się spełnieniem marzenia, by zagrać w produkcji podobnej do „Szeregowca Ryana”, nie tylko pod względem rozmachu realizacji, ale też „wizji wojny i towarzyszącej jej śmierci. Z całą ich przypadkowością i potwornością”.

Ważnym doświadczeniem był też grany po angielsku thriller „Wróg doskonały” w reż. Hiszpana Kike Maíllo. Kot wcielił się w nim w odnoszącego sukcesy architekta, któremu pozornie przypadkowe spotkanie w drodze na lotnisko przyniosło niepokojące skutki.

Premiera filmu zapowiadana jest w Polsce na 18 czerwca. Na wejście do kin czeka również futurystyczny thriller SF „Warning” – reżyserski debiut Agaty Alexander, w którym aktor stworzył ekranowy duet z Rupertem Everettem.





DORASTAĆ DO SYTUACJI

Wspominając pracę przy zagranicznych produkcjach, Kot podkreśla, jak mobilizująca jest dla niego sfera językowa. Począwszy od realizowanego dla BBC serialu „Bikini Blue” (2017), już czterokrotnie grał wyłącznie po angielsku. We „Wrogu doskonałym” był jedynym Polakiem na planie. Ponieważ materiału było bardzo dużo, gdy inni odpoczywali po zdjęciach, on umawiał się z coachem i ćwiczył kwestie na następny dzień.

Poczynając od znakomitej, choć krytykowanej roli Ryśka Riedla w „Skazanym na bluesa” (2005), po postać prof. Religi w filmie „Bogowie” (2014), nieraz musiał udowadniać, że wiele potrafi dać swoim bohaterom. W trzymaniu aktorskiego poziomu – i dawniej, i dziś – pomaga mu częste powtarzanie sobie: „Tomek, dorastaj do sytuacji, bo ona jest ciągle dwa metry przed tobą. Trzeba to złapać i się odnaleźć”.

Na 8 października tego roku zaplanowana została premiera filmu Jana P. Matuszyńskiego „Żeby nie było śladów”, przypominającego wydarzenia z 1983 r. i śmierć Grzegorza Przemyka. Tomasz Kot gra tu mniejszą rolę, ale – jak wspomina – wielką radością było dla niego spotkanie z polskim planem.

Głos aktora możemy usłyszeć w polskiej wersji nagrodzonej Złotym Globem (i z dużą szansą na Oscara) animacji „Co w duszy gra”. Film trafił do polskich kin tuż przed kolejnym ich zamknięciem. – Na internetowym koncercie aktor napisał: „Jak mawia mój bohater Joe Gardner: »Życie na Ziemi jest fascynujące«. Jeśli jednak przez ostatni rok w to zwątpiliście, to »Co w duszy gra« na pewno podniesie was na duchu”.

Na duchu podnoszą też działania samego aktora. Niezmienione pracą za granicą podejście do siebie i ludzi.

ZWYCZAJNA NORMALNOŚĆ

Marcin Dorociński i Tomasz Kot rozwijają się zawodowo w międzynarodowych produkcjach. Dlaczego obok nich pojawia się w tym tekście Piotr

Głowacki? Skąd pomysł na taki skład „aktorskich tenorów”?

Dorociński – urodzony w Milanówku w roku 1973. Kot – rocznik 1977, pochodzi z Legnicy, czy – jak sam mówi przy okazji pytań o swobodę językową – Małej Moskwy, w której obok polskiego rozbrzmiewał język rosyjski. Piotr Głowacki – 29 marca skończył 41 lat, z dokumentów – torunianin, ale dzieciństwo spędził poza miastem.

Czy to za sprawą miejsca urodzenia i związanych z nim doświadczeń, niedawnego przejścia przez cezurę 40. uro-

Pandemia zweryfikowała dawne filmowe kalkulacje i prognozy. Przeniosła ciężar z wielkiego ekranu na mały. Aktorom, którzy dali się na nim zapamiętać, otworzyła o wiele szersze perspektywy niż przed 2020 r. Dała dostęp do niewyobrażalnej rzeszy odbiorców

dzin, wyzwania, jakie przed nimi teraz stają, trzej bardzo różni od siebie aktorzy, wydają się dziś do siebie podobni.

Łączy ich podejście do pracy i życia. Po szumie popularności, który każdy z nich przeżył, po okresach, w których zdarzało się im „wyskakiwać” niemal z każdej łódki, teraz, z dala od fajerwerków w kolorowych mediach, rozwijają się, osiągają sukcesy, jednocześnie pozostając skromnymi, niezmanierowanymi ludźmi. W czasach rozdętych ponad miarę ego i „wszystkiego na sprzedaż” ich postawa może zaskoczyć. Podobnie jak unikająca społeczniczych mediów, zwyczajna normalność rodzinnych relacji.

MOCNE UDERZENIE

Piotr Głowacki, od niespełna czterech lat spełniający się w życiowej roli ojca

(bliźniąt), wyrósł właśnie poza swój dotychczasowy wizerunek „sprawnego, utalentowanego i nie do końca wykorzystanego” aktora. Zagrał „oscarową” rolę w filmie „Mistrz”.

W historii legendarnego pięściarza Tadeusza „Teddy’ego” Pietrzykowskiego, który dzięki walkom na ringu ocalił swoje życie w obozie zagłady Auschwitz-Birkenau, przeszedł spektakularną metamorfozę. Poruszająco i niezwykle wiarygodnie połączył w roli bohatera (wrzuconego przez historię w ekstremalne realia) istotną tu fizyczność z siłą psychiki. Z powodu pandemii „Mistrz” wejdzie do kin dopiero we wrześniu tego roku. Warto na niego poczekać.

Bez daty premiery pozostaje kolejny projekt, z dużą szansą na kolejną aktorską kreację Głowackiego. To „Broad Peak” Leszka Dawida, w którym aktor jako ekranowy himalaista Aleksander Lwow dołączył do słynnej wysokogórskiej ekipy.

W wywiadzie, jakiego udzielił jeszcze przed pandemią, podkreślał, że bilansuje swoje życie co dekadę.

Studiował do 28. roku życia, pracę magisterską obronił w okolicach trzydziestki, zamykając nią etap młodości buntu. Jako 32-latek wziął ślub, po pięciu latach został ojcem. Przychodzące w tym czasie role traktował jako szansę na sprawdzian umiejętności i rozwój. W ten sposób lata trzydzieste swojego życia poświęcił na „doświadczenie i umacnianie poczucia dojrzałości”. Ten etap symbolicznie domknął napisaniem i obroną doktoratu. Został wykładowcą warszawskiej Akademii Teatralnej (z której został wyrzucony jako student) i w 2020 r. stanął na ringu „Mistrza”, rozpoczynając kolejną dekadę naprawdę mocnym, pierwszoplanowym filmowym uderzeniem.

Ostatnie role (także w serialu „Nieobecni”) tak skomentował: – Gram teraz ludzi, którzy stawiają samych siebie w ekstremalnych sytuacjach, ale tak naprawdę próbują złapać zasadę, która zapewnia spokój w życiu. Jak my wszyscy chyba. 



Mistrz

nie tylko lekkiego słowa

Ktoś powiedział, że przed przyszłym autorem monografii Mariana Hemara (na zdj.) stoi poważna trudność – ogarnięcia całości jego dzieła. Bo mamy do czynienia z wielkim, wspaniałym, głębokim poetą, który sprawdził się najpierw w satyryczno-lirycznym rzemiośle literackim, a potem poszedł w stronę poezji przez duże P i w niej również jest wielki. Kim był autor kabaretowego szlagieru „Ten wąsik, ach, ten wąsik” z 1939 r.?



JERZY BIERNACKI

Bardzo się ucieszyłem, gdy redakcja „Sieci” zaproponowała, bym napisał o Marianie Hemarze w 120. rocznicę jego urodzin. O jego przedwojennej pracy literackiej i kabaretowej wiedziałem od dawna, czytywałem jego teksty z „Wiadomości Literackich” podczas studiów polonistycznych. Gorzej było z wiedzą o okresie londyńskim, nie mówiąc o latach wojny, które dla Hemara były czasem największego przełomu w jego życiu i twórczości.

Gdy mowa o rocznicy, niektórzy spodziewali się, że rok 2021 będzie rokiem nie tylko Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, ale i Cypriana Kamila Norwida, w 200-lecie urodzin wielkiego poety i myśliciela. Tym bardziej że Norwid był ważnym patronem poetów powstania warszawskiego, a więc i Baczyńskiego, o czym pięknie i mądrze pisał żyjący wśród nas, a prawie nieznanym wybitny poeta i historyk literatury Kazimierz Świągocki w swoich znakomitych esejach. W PIW, uratowanym



SEMPER FIDELIS

Jan Marian Hemar urodził się we Lwowie 6 kwietnia 1901 r. w rodzinie żydowskiej Heschelesów. Nie należeli oni do Żydów ortodoksyjnych, stryj Henryk wydawał we Lwowie polskojęzyczny dziennik „Chwila”. Rodzice – Ignacy i Berta z Lemów (tych Lemów!) – zadbali o wykształcenie syna, zapewniając mu poza gimnazjum, w którym uczył się m.in. greki i łaciny, lekcje nowożytnych języków obcych i muzyki. Mając słuch absolutny, chłopiec niezwykle szybko opanował grę na fortepianie i znajomość nut, co – poprzez ćwiczenia i doskonalenie umiejętności – służyło mu potem w jego pracy artystycznej przez całe życie. Jako członek gminy żydowskiej, ucząc się religii, opanował także podstawy języka hebrajskiego. Jeszcze jako gimnazjalista potajemnie uczył się też aktorstwa u Wandy Siemaszkowej, w szkolnym przedstawieniu „Marii Stuart” grał rolę Rizzia. Studiował następnie filozofię i medycynę na Uniwersytecie Jana Kazimierza, dodatkowo chodził na kursy teatralne.

Pomijając juvenilia, wiersze pisane jeszcze pod wpływem maniery młodopolskiej, zaczął wkrótce pisać utwory satyryczne, współpracując ze „Szczutkiem”, pismem prowadzonym przez red. Henryka Zbierchowskiego, który dostrzegł w nim talent satyryka. Pierwszy tomik tych wierszy, „Dzik i świnia”, wydał w 21. roku życia. Bajki z tego zbioru znalazły się też w programie kilku lwowskich kabaretów, z którymi rozpoczął współpracę, takich jak Ul, Mozaika, Renesans. Epizod współpracy z Brunonem Jasieńskim i podziwu dla niego jako komunisty, jakkolwiek istotny jako doświadczenie i przybór wiedzy, zwłaszcza o futuryzmie i ekspresjonizmie, nie odcisnął się, na szczęście, żadnym piętnem na jego twórczości i postawie moralnej.

Dorobek tego kilkuletniego zaledwie okresu pracy literackiej i kabaretowej we Lwowie był nader znaczący, skoro dostrzeżono poetę w Warszawie, gdzie został zaproszony do współpracy z potęgą kabaretową, czyli z kabaretem literackim Qui Pro Quo. W 1925 r. przenosi się do stolicy na stałe. W ciągu kilku lat staje się jednym z głównych autorów świat-

od bankructwa przez ministra kultury prof. Piotra Głińskiego, przygotowuje się nawet pięciotomowe, o ile wiem, wydanie dzieł wybranych Norwida, jako że od edycji prof. Juliusza Wiktor Gomulickiego upłynął już szmat czasu.

Niestety zdecydowano inaczej. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak prywatnie, w imieniu własnym, dołączyć do roku Baczynskiego i do nieogłoszonego roku Norwida – także Mariana Hemara, nie tylko dlatego, że „Boh trojcu lubit”, lecz także dlatego, że zasługuje on w pełni na towarzystwo tych wielkich. Czego spróbuję tu dowieść.

SŁUGA DOSKONAŁOŚCI

Jeśli chodzi o przybór mojej wiedzy o Hemarze z okresu londyńskiego, to dużo zawdzięczam, jak wielu, Naszemu Teatrowi i jego twórczyni, pani Barbarze Dobrzyńskiej, która w związku ze swym pokrewieństwem z Tadeuszem Fijewskim później przemianowała swoją trupę na Teatr Fijewskich. Pamiętam przedstawienie z pierwszej połowy lat 90. na wieży przy kościele św. Anny dla kilkudziesięciu osób i pięknie zaprezentowaną „Pierwszą piosenkę o Lwowie” przez Wojciecha Machnickiego. Pamiętam także wiersze o tym, że poeta jest „Polakiem ochotniczym” i o „mojej ojczyźnie, mowie polskiej”, w której „mnie pochowają i tam zostanę”, jak pisał. Potem było jeszcze kilka innych Hemarowskich przedstawień tego teatru.

Pani Dobrzyńska miała od początku lat 90., czy nawet wcześniej, dobry kontakt z Władą Majewską i dysponowała tekstami Hemara nieznanymi jeszcze w Polsce, chociaż na rynku był już od 1991 r. tom jego wierszy „Kiedy znów zakwitną białe bzy” (Wydawnictwo Literackie, Kraków). Ale wysyp pozycji poświęconych twórczości Hemara nastąpił dopiero w pierwszej dekadzie XXI w.

U nas istnieje z dawna zakorzeniony zwyczaj uznawania przede wszystkim

pisarzy poważnych, celebrujących swoje narracje. Darujemy sobie przykłady. Natomiast pisarzy nie tak poważnych, a dowcipnych, uprawiających niwę rozrywkową, pragnących i umiejących rozśmieszać i bawić czytelników oraz słuchaczy czy widzów w Polsce się lekceważy, choć wiedza o tym, że jest to dziedzina trudniejsza, nie jest tajemna. To samo spotkało Mariana Hemara w odniesieniu do jego przedwojennej działalności. Był zawsze trochę lekceważony, chociaż nieco mniej przez to, że swoją sztuką kabaretową i piosenkarską osiągnął duży życiowy sukces, także majątkowy. Tego się, przynajmniej za życia twórcy, nie wybaczają. Więc trzeba strzepnąć palcami i trochę pomniejszyć zjawisko, choćby się wiedziało, że to fenomen.

A Hemar był fenomenem. Sługą doskonałości. Również w swojej literackiej pracy kabaretowej. Weźmy jego „Pierwszą piosenkę o Lwowie” i zanalizujmy jej tekst. Bez melodii, chociaż to trudne. To jest przecież poetycki tekst liryczny. W każdym wersie, w każdej frazie objawia się ów poetycki wdzięk. To właśnie liryka, liryka (i o mało nie napisałem: „ckliwa dynamika, angelologia i dał” (Gałczyński). Proszę sprawdzić, że pasuje, jak uła!, oczywiście wbrew ironii autora tych słów.

Każda piosenka Hemara jest dobrze skrojona jako wiersz poetycki, nie wszędzie jest tyle liryzmu, ile we wspomnianej piosence o Lwowie, bywa więcej kpinki, dowcipu, przewrotności, jak w piosence „Maryla” i w innych też. Poza tym Hemar przedwojenny to gejzer pomysłów małych i dużych, na wiersz czy piosenkę lub na komedię czy wodewil, taki jak „Piękna Lucynda”, będąca przeróbką „Natrętów” Józefa Bielawskiego z połowy XVIII w. Kreatywność nieustająca i dobre rzemiosło poetyckie, wznoszące się niejednokrotnie ku sztuce poetyckiej przez wielkie S – to synteza przedwojennego Hemara. On nie był „tekściarzem”, był zawsze poetą. Warto przy tym zdawać sobie sprawę z tego, czym był przedwojenny kabaret. Po każdym nowym programie szedł hyr w miasto, piosenki nucono na ulicy, powtarzano żarty, dowcipy i bon moty. Nie ma to nic wspólnego z dzisiejszymi, raczej żalonymi „kabaretami”.



SIŁA POLSKOŚCI

Osiągnięcia literackie Hemara przedwojennego to doskonała podstawa do tego, co stało się później, tuż przed i po wrześniu 1939 r. i przez kilka lat wojennych, pomijając kilkumiesięczną depresję pierwszych miesięcy po podwójnej klęsce. Do tego trzeba dodać całkowite 45-letnie embargo na Hemara w okresie PRL, które odcięło nas od jakiejkolwiek wiedzy o jego działalności w okresie londyńskiego niemal 30-lecia. Paradoksem jest, że przez cały ten czas do końca jego życia praw autorских poety w Polsce strzegł ZAiKS, skrzętnie gromadząc należne mu pieniądze na jego koncie. Nazbierało się tego w pewnym momencie ok. 200 tys. zł, z których Hemar wobec niewymienialności złotego nie mógł nic pobierać. Dopiero gdy nawiązał kontakt listowny z długo nieodzywającym się siostrzeńcem, słał mu upoważnienia na różnej wielkości sumy, częścią dla niego, częścią na spłatę jakichś dawnych długów, lub po prostu prosił o przekazanie określonych kwot pozostałym w Polsce przyjaciółom i znajomym. (Matka – Berta Hescheles – zginęła w jednej z „akcji na starców” urządzanych przez Ukraińców, gdy wkroczyli do Lwowa w 1941 r., o czym syn dowiedział się dopiero w 1945 r.).

O otchłani, w jakiej się znalazł, po wrześniowych dniach „roku pamiętnego”, Hemar pisał wprost (w wierszu „Bukareszt”):

*Chcę nie żyć, chcę nie być, chcę umrzeć,
Od razu, już, jak najprędzej.
Aż nagle sam sobie się dziwię,
Że tak się tej myśli naparłem.*

*Bo śmierć mi już pomóc nie może.
Bo dawno już przecież umarłem.*

Wkrótce potem odreagował, pisząc oskarżycielski wiersz „Do generała”, „degradując” tym tytułem Rydza-Śmigłego (bo do niego się zwracał) z funkcji marszałka. Sam przyznawał później, że to namiętne, bezwzględne oskarżenie nie było w pełni sprawiedliwe, chociaż było usprawiedliwione. Przyjaciele po-

ważnie się o niego obawiali. Jeden z nich przypadkowo zobaczył go w jednym z tureckich kościołów katolickich, jak „klęcząc na kolanach, żarliwie się modlił”.

To nie jest i nie było tak, że ten nowy ton, a także nowe treści i forma powrzesniowych wierszy, przyszły do poety z zewnątrz. Z zewnątrz, z polskiej literatury, malarstwa, muzyki, zwłaszcza Chopina, z polskiej przyrody i dziejów narodu, owszem, przyszła ta Rymkiewiczowska ogromna siła polskości, można by powiedzieć – zwała się na niego wielkim ciężarem i z olbrzymią siłą wciągnęła go, porwała do siebie, jak wszystkich „Polaków z wyboru, a nie z poboru”, jak gdzieś napisał, tak, że stał się, naturalnie już przed wojną, „Polakiem amatorem”. I to jakim! Najwyższej klasy.

BEZ LITOŚCI

Natomiast już w okresie dwudziestolecia drzemał w nim ten potencjał poety podejmującego tematykę moralno-polityczną, nawet poety moralisty, który w wielu już wtedy napisanych utworach walczył ze złem, piętnował małość niektórych przedstawicieli życia publicznego, piętnował warcholstwo Polaków, wyśmiewał antysemityzm i niektóre jego uzasadnienia, np. w wierszu „Nowy Don Kichot”, gdzie m.in. pyta dowcipnie, dlaczego Żyd nie może być woźnym w PKO, a może być jego prezesem?

Nigdy nie miał litości dla łajdaków, zdrajców, donosicieli, szpiclów i ludzi dwuznacznych moralnie, co najpełniej ujawnił w utworach powojennych, poświęconych „Polsce Ludowej” i zachowaniu takich niegdyś jego przyjaciół jak choćby Iwaszkiewicz. W doskonałym wierszu satyrycznym ośmieszył bezskuteczne starania pisarza w Szwecji o Nagrodę Nobla, a przy okazji pro-
roczno dostrzegł oznaki późniejszej

nych skeczy, wierszy i tekstów (a także wielu melodii), piosenek. Zaprzyjaźnia się z Fryderykiem Jarossym, niezwykle popularnym konferansjerem, Węgrem z pochodzenia, któremu na początku trzeba było teksty konferansjerki pisać fonetycznie, żeby mógł mówić mniej więcej poprawnie. Pracuje wspólnie z Julianem Tuwimem, Andrzejem Włastem, Konradem Tomem, Antonim Słonimskim, w późniejszym okresie ze Światopełkiem Karpińskim i przed samą wojną z Jerzym Jurandotem. Pisali oni doroczne szopki satyryczne, tworzyli kolejne spółki (np. z Tuwimem) i kabarety, takie jak Banda po upadku Qui Pro Quo w 1931 r. czy Cyrulik Warszawski, zwany potem uniwersytetem warszawskiego kabaretu, a na koniec Ali Baba, gdzie Ludwik Sempoliński w programie „Orzeł czy reszka” w 1939 r. śpiewał słynną piosenkę Hemara „Ten wąsik, ach ten wąsik”. W stolicy Hemar poznał popularnych aktorów warszawskich na czele z Adolfem Dymszą, Eugeniuszem Bodo, Michałem Zniczem, Kazimierzem Krukowskim – „Lopkiem” (który wykonywał wiele cieszących się powodzeniem szmoncesów Hemara), Mirą Zimińską, Zułą Pogorzelską, Hanką Ordonówną, Tolą Mankiewiczówną, Zofią Terné i wieloma innymi oraz Marią Modzelewską, z którą – od dawna w niej zakochany – wziął ślub w kwietniu 1936 r. Rok wcześniej się ochrzcił, a przy okazji sformalizował swoje nazwisko Hemar, utworzone z pierwszych sylab jego oryginalnego nazwiska i imienia. Używał go od dawna, obok niezliczonych pseudonimów i kryptonimów. Przyjęcie wiary chrześcijańskiej było dla Hemara decyzją nader poważną, był człowiekiem głęboko wierzącym i czcicielem Matki Bożej, szczególnie w jej ostrobramskim wizerunku.

Hemar w okresie dwudziestolecia był też autorem kilku sztuk teatralnych, takich jak „Dwaj panowie B.” czy „Firma” (której tekst zaginęł), a także wielu przeróbek (w tym wspólnych z Tuwimem) komedii czy wodewilów obcych autorów oraz kilku scenariuszy filmowych. Potężna ta ilościowo i jakościowo twórczość literacka ciesząca się ogromnym powodzeniem (kolejne programy i sztuki dość długo na ogół nie schodziły z afisza) przyniosła mu uznanie i sławę, a także majątek i możliwość luksusowego życia, z którego korzystał (duże zarobki, willa, dwa samochody wysokiej klasy, w tym jeden marki bugatti, z szoferem), brydż, niekiedy całonocny (najczęściej z Kornelem Makuszyńskim, Adamem Grzymałą-Siedleckim

i Marianem Dąbrowskim, właścicielem IKAC-a) itp. Trzeba pamiętać, że ciężko na to zapracował.

Ostatnie miesiące dwudziestolecia przyniosły pewną zmianę tonu w twórczości Hemara, kilka poważnych wierszy politycznych, pracował także nad sztuką „Cud biednych ludzi”, która po wojnie przyniesie mu międzynarodową sławę, przetłumaczona na angielski „Poor man's miracle” i wystawiona m.in. w Londynie, Dublinie i Paryżu.

Wieszczona w wielu wierszach polskich poetów katastrofa nadeszła w piątek 1 września 1939 r. Dla Hemara to katastrofa podwójna, bo jednocześnie opuszcza go żona Maria, wyjeżdżając z kochankiem do USA. Hemar wówczas udaje się samochodem do Lwowa, gdzie pożegna na zawsze matkę, a następnie z Wierzyńskimi znajdują się w Zaleszczykach, gdzie po inwazji sowieckiej przekraczają granicę polsko-rumuńską. To konieczność, Hemar znajduje się bowiem na liście gestapo z powodu piosenki „Ten wąsik, ach ten wąsik”. W Rumunii przeżywa załamanie psychiczne, głęboką depresję, która trwa kilka miesięcy, wtedy nic nie tworzy, pisanie wierszy wydaje mu się śmiesznością i nonsensem wobec zapaści Polski i jego dramatu osobistego. Po roku przez Turcję dostaje się do Palestyny, gdzie zostaje wcielony do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (z czasem jako starszy strzelec z cenzusem), dla której pisze piękny hymn. Tworzy też tzw. Czołówkę Teatralną, dającą przedstawienia dla żołnierzy, oraz kieruje sekcją polską Radia Kair.

W 1942 r. rozkazem gen. Władysława Sikorskiego zostaje wezwany do Londynu, gdzie pracuje do końca wojny w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji. Równocześnie systematycznie publikuje swoje nowe teksty poetyckie m.in. w urzędowym „Dzienniku Polskim”, a potem w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”, jak również w „Wiadomościach Polskich” i innych. W 1942 r. wydaje tomik najnowszych poważnych wierszy „Dwie Ziemie Święte” (jedna to Ziemia Święta Chrystusa, druga to... ziemia polska, uświęcona męczeństwem ofiar zbrodni niemieckich). Tworzy w Londynie kabaret Orzeł Biały, po pewnym czasie zmienia on nazwę na Teatr Hemara. Osobliwość

degradacji tej nagrody. Nie mógł wybaczyć Tuwimowi powojennego wyboru, podkreślając w jednym z wierszy, że Tuwim, zbławiany z ludźmi władzy ludowej, nie napisał już żadnego wartościowego utworu. Wyśmiewał decyzje powrotu do Polski komunistycznej Słonimskiego i Cata-Mackiewicza, nieco łagodniej potraktował afiliację prokomunistyczne Gałczyńskiego, uważając, że było to „pijane dziecko we mgle”.

Powiedzmy tu od razu, że tematyka i krytyka życia peerelowskiego w twórczości Hemara, w jego Teatrze, a także w audycjach Radia Wolna Europa to ogromna i bardzo żywa część jego powojennej pracy satyryka, jednoznacznej w wymowie, w ocenach polityczno-moralnych. Jest to twórczość satyryczna odwołująca się do doświadczeń poezji politycznej polskiego oświecenia, nierzadko wprost do „księcia poetów”, bp. Ignacego Krasickiego. Chociaż był Hemar miłośnikiem przede wszystkim romantyków, zwłaszcza Słowackiego i Mickiewicza, wysoko cenil „Nieboską komedię” Krasieńskiego. Cytatami z „Dziadów” („Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie?”) podsycal strachy władców PRL, niepewnych swego losu, zależnych od mocodawców moskiewskich. Napisał m.in. śliczną replikę wiersza Słowackiego „Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi”, będącą dowodem wielkiego umiłowania polskiej przyrody. Aż żal, że nie ma miejsca na cytowanie.

„JUTRO BĘDIEMY WIELCY, ALBO...”

Wybiegliśmy wprzód. Pierwszy wiersz po okresie załamania napisał w grudniu 1939 r. To dedykowana dzieciom polskim w Rumunii „Historia o Świętym Mikołaju Polskim w Rumunii”. Rzecz jest o tym, że św. Mikołaj w Polsce z łatwością znajdował dzieci, na pamięć znał ich adresy, chodząc od domu do domu

z prezentami, a tu w Rumunii poeta nie wie i troszczy się, czy św. Mikołaj Polski je odnajdzie i zdoła je obdarować. A przede wszystkim, gdy już je znajduje, z jedynym pragnieniem, by wrócić do domu, powiada:

*Jak niebo nad nami, jak gwiazdy
Na niebie iskrzące się złotem,
Jak Bóg nad gwiazdami – przysięgam –
Że was do Polski przywiodę
Z powrotem.*

Wiersz jest niezwykle przejmujący dzięki szczególnemu zaangażowaniu uczuciowemu autora, dobrze znającego i kochającego polskie obyczaje, a także myśli polskich dzieci. To zaangażowanie odąd będzie widoczne w większości jego utworów literackich. W 1940 r. wydaje w Bukareszcie jako Jan Mariański „Cztery wiersze”. Pierwszy z nich, „Inwokacja”, zaczyna się od słów:

*O Poezjo, łaskiś pełna,
Módl się za nami...*

Drugi to Modlitwa do „Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej”, w której poeta prosi, by „Królowa łagodna” troszczyła się nie o tych, którzy jak on są bezpieczni, lecz o Polaków w Warszawie:

*Śmierć jastrzębiem nad Warszawą lata,
W gruzach groza się czai, bezprawie
Stoi w oknach jak żelazna krata,
Nie myśl o nas. Niemcy są w Warszawie
I prosi na koniec:*

*Policz wszystkich na cmentarzach
skwerów.
Tam krzyż każdy kwiatem Ci się schyli.
Na schyłone krzyże bohaterów
Zawieś order – Virtuti Civili*

Trzeci wiersz to „19 marca 1940” (lub z dodaniem na początku słowa „Rapsod”), w którym poeta składa Cieniowi Marszałka ślub, że albo...

*Jutro będziemy wielcy,
Albo nie będzie nas wcale.*

A potem następują straszne słowa, żeby – jeśli stanie się to drugie – na grobie Polaków z krzyżem bezimiennym napisać:

*Tu leży naród, którego wodzem
Na próżno
Był Józef Piłsudski*



Ostatni to wiersz „Do generała”, o którym już wyżej wspomniano.

I takich wierszy, w podobnym tonie i powadze, odwołujących się do historii, do heroizmu Polaków, do niewzruszonych wartości, na czele z prawdą i nieśmiertelnym poczuciem honoru, w okresie powojennym napisał Marian Hemar dziesiątki, setki. Obok satyr, fraszek, różnego rodzaju wierszy okolicznościowych i piosenek, bo nie zaprzestał pisać piosenek, a poza tym naturalnie wierszy o Lwowie, bo to była pierwsza i najważniejsza jego miłość. Lwów i lwowiaci, tacy jak Szczepcio i Tońcio, czyli bohaterowie „Wesołej lwowskiej fali”, którą przywoływał niejako na deskach swojego teatru, zatrudniając w nim i Kazimierza Wajdę (Szczepcia, dopóki nie wrócił do Polski), i Henryka Vogelfängera (Tońka). Piosenka „Chlib kulikowski”, śpiewana podobno genialnie (wedle świadectw) przez Władę Majewską, dała tytuł programowi estradowemu i książce wydanej w Londynie w 1971 r.

Jak już o tym była mowa, Hemar pisał również i przed wojną, i po wojnie utwory dramatyczne. W sumie, jakby je zliczyć, zebrałoby się kilkanaście. Polska Fundacja Kulturalna w Londynie w 1994 r. wydała „Pięć sztuk scenicznych”, ze wspomnianymi już „Cudem biednych ludzi” i „Piękną Lucyndą”, pozostałe to „Kroki na schodach” (przeróbka „Zamachu” W.O. Somina), „Dzwony z Czeremszy” i „Pierwiastek z minus jeden”. Wszystkie one mają – wyłączając „Piękną Lucyndę” – wyraźne piętno Hemarowskiego stylu, tak jakby się działy w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nieco wyidealizowanej. Są w nich ciekawe elementy transcendencji, również tej związanej z wiarą religijną, doskonała racjonalna konstrukcja dramatyczna, suspens, niebanalne i dobrze zróżnicowane postacie. Niekiedy sztuki te przypominają robotę dramaturgiczną Jerzego Szaniawskiego, co jest koligacją bardzo pozytywną, wyróżniając się też niekonwencjonalnymi rozwiązaniami dramatycznych zawężeń. Wszystkie sprawdziły się na scenie bardzo pomyslnie.

OD KABARETU DO...

Przychodzi mi na koniec obalić jeszcze jeden mit, do którego powstania przyczynił się sam poeta. Otóż mawiał on, że łatwo mu się pisze mową wiązaną, a nie ufał swojej prozie. Mit powinien być upaść sam, gdy wyszła jego książka „Awantury w rodzinie”, w której znalazły się znakomite reportaże z Izraela i z USA, w jednym i drugim przypadku pełne podziwu dla rozmaitych osiągnięć, zwłaszcza technicznych, ale nie wolne od delikatnych kpinek i wychwytywania śmieszności. Ale przede wszystkim są tam wspaniałe sylwetki aktorek i aktorów, nekrologi przyjaciół współpracowników, pełne męskiej czułości i miłości, którą jako wartość i zarazem cechę szczególnie miłą, warto w odniesieniu do jego twórczości postawić obok prawdy i honoru oraz sprawiedliwości.

Był dobrym człowiekiem, kochanym przez aktorki i aktorów, na których niekiedy strasznie krzyczał, doprowadzając, panie zwłaszcza, do płaczu. Ale potem przychodziły mu dziękować, bo miał rację. Był przystojnym mężczyzną, uchodził za kochliwego, myślę jednak, że przede wszystkim był wrażliwy na urodę kobiet. Opisał scenę, jak kiedyś, jeszcze w Warszawie, stał w kulisach i zobaczył tam aktorkę czekającą na występ – był olśniony, nawet porażony jej niezwykle urodą i młodością, stał jak zaczarowany. I tyle. Nie miało to żadnego dalszego ciągu.

Ktoś powiedział, że przed przyszłym autorem monografii Mariana Hemara stoi poważna trudność – ogarnięcia całości jego dzieła. Pominąłem z konieczności wiele ważnych elementów, ale mam nadzieję, że udało mi się przynajmniej w jakiejś mierze uzasadnić tezę, iż mamy do czynienia z wielkim, wspaniałym, głębokim poetą, który sprawdził się najpierw w satyryczno-lirycznym rzemiośle literackim kabaretu, a potem poszedł także w stronę poezji przez duże P i w niej wielkim jest również.

cią i niezwykłym sukcesem wydaje się, że teatr ten przez cały czas swego istnienia (ok. 25 lat) utrzymywał się samodzielnie, bez jakichkolwiek subwencji. Stało się to możliwe dzięki olbrzymiej pracowitości i pracy samego poety, który pisał teksty, piosenki i wiersze, a także sztuki, które cieszyły się powodzeniem. No i dzięki współpracującym z nim aktorom, często znajomym z okresu warszawskiego, którzy nie mogli liczyć na dawne gaże, zadowalali się znikomymi honorariami, pracując często fizycznie gdzie indziej, ale cenili sobie możliwość występowania na scenie, i to pod taką dykcją. Jakkolwiek brać, każdy sukces Teatru Hemara był sukcesem zbiorowym i to dawało wszystkim dużo satysfakcji.

Hemar też sporo podróżował. Dwukrotnie był w Izraelu i kilkakrotnie w USA, z wieczorami autorskimi oraz z miniaturami teatralnymi, dla których zabierał ze sobą dwoje czy troje aktorów i wykonywali oni skecze, monologi, piosenki, zwłaszcza stare i nowe piosenki lwowskie, dla lwowian, których nigdzie nie brakło wśród Polonii, i nie tylko dla nich, lecz dla wszystkich tęskniących za ojczyzną.

Przez 16 lat występował w krótkich, lecz ważnych cotygodniowych audycjach Radia Wolna Europa, zawsze z nowymi tekstami, z refleksjami na tematy bieżące, szczególnie na temat wydarzeń w PRL, z nową piosenką wykonywaną przez aktorkę z jego Teatru. Uczestniczył też żywo i znacząco w życiu publicznym londyńskiej emigracji. Hemar był również doskonałym tłumaczem, przełożył i wydał wszystkie 154 sonety Szekspira i połowę (dokładnie 61) ze 120 ód Horacego. Pod koniec lat 60. i w roku 1971 zaczęło dawać o sobie znać chore serce poety. W okresie londyńskim wydał wiele książek, od „Satyr patetycznych” w 1947 r. do prozatorskich „Awantur w rodzinie” (1967) i wspomnianych przekładów. Zmarł w szpitalu w Dorking pod Londynem (gdzie cały czas mieszkał z żoną Cają duńskiego pochodzenia) 11 lutego 1972 r. i tam został pochowany.

Spośród licznych aktorek i aktorów jego teatru nie sposób nie wymienić Włady Majewskiej, jego ostatniej muzy, która ma ponadto wielkie zasługi w ocenie ogromnej, rozproszonej powojennej spuścizny poety.

Wojny napoleońskie wiązały się z dużymi nadziejami Polaków na wybiecie się na niepodległość. Dlatego masowo wstępowali do Legionów Dąbrowskiego. Wielu do ojczyzny nigdy nie wróciło, innym zabrało to mnóstwo lat. Niektórzy dotarli nawet na krańce świata, zostając korsarzami mórz południowych



Piraci z Karaibów



WOJCIECH LADA

K oło godz. 15 wiatr był już bardzo słaby i Morze Karaibskie w okolicach Portoryko stało się niemal zupełnie płaskie. Marynarzy zgromadzonych na obu stojących nieopodal siebie statkach zaczął oblepiać pot, bo duszny skwar był tego dnia niemiłosierny. Ale nie był to ich największy problem. Większy ze statków był mianowicie potężną korwetą uzbrojoną w kilkanaście ciężkich dział, mniejszy

zaś – lekkim dwumasztowym szkunem, szybkim i zwrotnym, ale mającym wielokrotnie mniejszą siłę ognia. Kiedy korweta zbliżyła się na odległość strzału do uciekającego szkunera, obie strony otworzyły ogień. Rozpoczęła się epicka bitwa morska. Szkuner wykorzystywał sprawnie swój jedyny w tej sytuacji atut, czyli zwrotność, i starał się uniknąć trafienia. Jednocześnie prowadził ostrzał, już nie tylko z dział, lecz nawet z broni

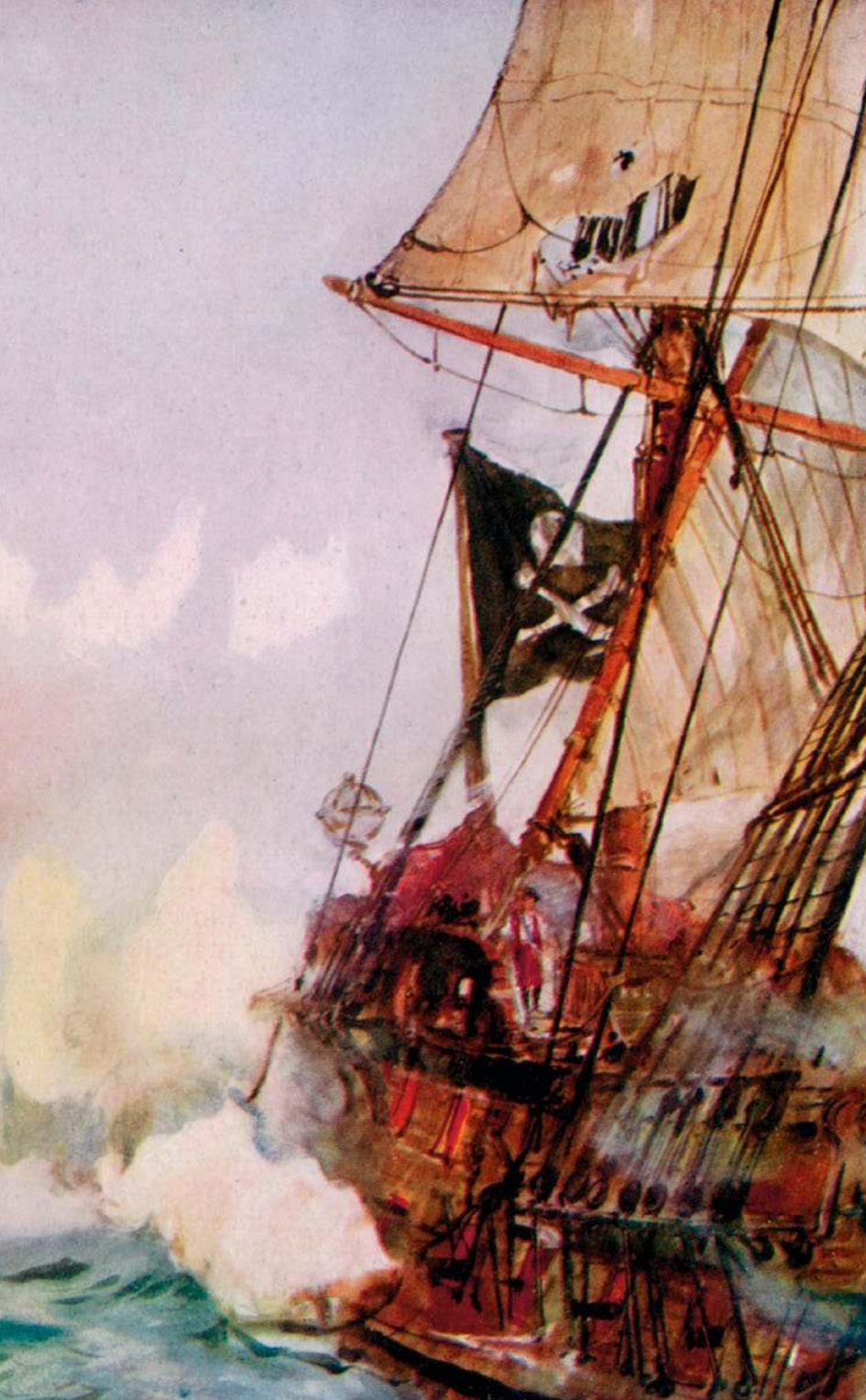


WOJNA O KAWĘ I CUKIER

Kazimierz Lux miał zaledwie 25 lat, ale już od dobrych 10 tułał się po świecie, walcząc, gdzie rzuciły go rozkazy Napoleona Bonapartego. Kiedy miał lat 15, wstąpił do Legionów Dąbrowskiego i wraz z nimi toczył boje, głównie we Włoszech, ale zapewne też w Bawarii i Szwajcarii. Kłopot w tym, że cała ta wojaczka nie przynosiła żadnych rozstrzygnięć w sprawie polskiej i kilka tysięcy polskich legionistów stawało się dla Napoleona sporym problemem – nastroje były fatalne i mocno już buntownicze, a bunt tysięcy dobrze ostrzelanych weteranów stanowił już realne zagrożenie. Zwłaszcza po zawarciu pokoju w Luneville, kończącego w 1801 r. wojnę z zaborcami Polski.

Nie bez powodu Napoleon zdobył jednak przydomek geniusza wojny. Jak mało kto znał się na strategii, ale chyba jeszcze lepiej rozumiał psychikę szeregowego żołnierza. Wiedział, że wojna uzależnia, a większość jego polskich podkomendnych była takimi jak por. Lux chłopakami, walczącymi od 14. – 16. roku życia i praktycznie nieznającymi już innego świata niż pola bitew. Rozumiał, że najgorsze, co może im dać, to pokój i bezczynność. Wpadł więc na pomysł doskonały, który jednocześnie da młodym zabijakom zajęcie i odciągnie ich jak najdalej od Europy. Okazja pojawiła się sama. Od pewnego czasu wrzało na egzotycznej karaibskiej wyspie San Domingo – dziś lepiej znanej jako Haiti. Tak naprawdę wrzało od dawna. Tamtejsi niewolnicy regularnie uciekali w porośnięte dżunglą góry, gdzie tworzyli coś pomiędzy partyzantką, bandami rabunkowymi a plemionami, które dokonywały regularnych wypadów na osady i plantacje trzciny cukrowej czy kawy. Podobno ich duchowym przywódcą była jakaś stara szamanka, ale możliwe, że to tylko barwna legenda.

Legendą z pewnością nie było to, że w pewnym momencie, pod koniec lat 90. XVII w., luźne ich grupy zorganizowały regularne powstanie, na którego czele stanął Toussaint-l'Ouverture – doskonale wykształcony wyzwolieniec, który okazał się znakomitym dowódcą, umiejącym wygrywać bitwę z którąś z europejskich potęg. Początkowo bardziej



Fot. fot. Royal Navy

ręcznej. Po obu stronach kule druzgotały deski pokładów, płątały liny i łamały reje. Po obu były straty w ludziach.

Walczone wiele godzin, zapadał już zmierzch, ale bitwa wciąż pozostawała nierozstrzygnięta. Było jednak jasne, że ostatecznie mały szkuner nie wytrzyma siły ognia wroga. Tym bardziej że gdzieś koło godz. 22, wraz zapadającymi ciemnościami, wiatr ustał już zupełnie. W tej sytuacji porucznik Kazimierz Lux zde-

cydował się na karkołomny, ale w konsekwencji genialny manewr. Rozkazał zwinąć pozostałe strzepy żagli i chwycić za wiosła. „Goleta [po hiszpańsku szkuner – przyp. W.L.] w ciągu trzech godzin z trudnością dopłynęła do brzegu bezludnego Portorico. Usypano mocny szaniec, za który działą zaciągnięto. Przywitana ogniem korweta odpłynęła po jakimś czasie” – relacjonował później.

niż o równouprawnienie czarnoskórej ludności musiał walczyć z siłami angielskimi, a później hiszpańskimi, które korzystając z rewolucyjnego zamieszania we Francji, stopniowo zajmowały wyspę. I robił to tak sprawnie, że Paryż awansował go na generała. W końcu jednak sukcesy militarne uczyniły go praktycznie jedynowładcą Haiti – uznającym zwierzchność Francji, ale tylko formalnie. Kiedy więc w Europie opadło rewolucyjne wrzenie, a francuskie armie stały się postrachem Starego Kontynentu, Napoleon postanowił zrobić na wyspie porządek.

Tak naprawdę to musiał. Do lat 90. XVIII w. Haiti było prawdziwą „perłą Antyli”. Tutejsze uprawy trzciny cukrowej i kawy, w nieco mniejszym stopniu indygo, miały kluczowe znaczenie dla całej gospodarki francuskiej – mocno już nadszarpniętej kolejnymi wojnami. Bez pracy niewolników nie było jednak szansy utrzymania produkcji. Było ich na wyspie dziesięciokrotnie więcej niż białych, z których zresztą żaden nigdy nie splamiliby się pracą fizyczną. Plan Napoleona był więc prosty. Za jednym zamachem mógł się pozbyć zbuntowanych Polaków, przywrócić na wyspie niewolnictwo i wznowić dostawy niezbędnych w kraju surowców.

Znał Polaków. Rozkaz wyruszenia na koniec świata „przyjęli bez entuzjazmu, ale i bez oporu” – jak oceniał to Jerzy Pertek, publicysta i pisarz marynistyczny. I w ten właśnie sposób por. Kazimierz Lux został piratem z Karaibów.

NA MORZU I W DŻUNGLI

Walka z powstaniem na Haiti jest dla Europy tak kompromitująca, że do dziś podręczniki wspominają o niej może w kilku akapitach. Raz, że niewolnicy mieli moralną rację z założenia – ich skrajne wykorzystywanie potępiali nawet sami luminarze rewolucji francuskiej. Dwa, że pokonywali Europejczyków bez najmniejszych problemów. Trzy – nie bili się bynajmniej jak dzika, plemienna partyzantka, lecz błyskawicznie nauczyli się europejskich metod walki i również w nich okazali się znacznie sprawniejsi niż wielkie kolonialne mocarstwa. W czym zresztą bardzo pomagały im tropikalne cho-



Fot. Wojtkowa Biblioteka Cyfrowa

roby, które „dziesiątkowały żołnierzy srożej niż nieprzyjacieli” – jak ujmował to mjr Jan Strzałkowski. Na plus Polakom można zapisać to, że dość szybko się zorientowali w sytuacji i przypadki dezercji, a nawet wstępowania w szeregi powstańców zdarzały się dość często. Analogia między rozbiorami Polski a rozbieraniem kolonii zbyt rzuciła się w oczy. Istniała też jednak droga alternatywna i tę właśnie obrał por. Lux. A drogą tą było korsarstwo. „Jest zresztą zrozumiałe, że nad wysoce już niepopularną walkę z Murzynami przedkładali polscy legionści wojnę prowadzoną wprawdzie w obcym im żywiole, ale z dala od nieludzkich, francusko-murzyńskich zmagani” – zauważał Pertek.

Na Karaibach złote lata piractwa minęły co prawda jakieś 70 lat wcześniej, ale legenda wciąż trwała i dostarczała odpowiednich wzorców. To przecież właśnie na tych wodach buszowali Samuel „Czarny Sam” Bellamy, Edward „Czarnobrody” Thatch, słynna kobieta pirat Anna Bonny czy będący być może jednym z pierwowzorów Jacka Sparrowa z filmu „Piraci z Karabów” – John „Calico Jack” Rackham. Od ich czasów niewiele zmieniły się nawet słynne pirackie miejscowości, jak choćby jamajskie Port Royal. „Gniazdo walkoni, azyl bankrutów, wychodek dla kieszek naszych więźni” – relacjonował wówczas angielski pisarz Edward Ward, dodając też coś o „gnojowisku wszechświata”.

Takie samo wrażenie musiał odnieść również por. Lux, który w Port Royal

wylądował z wieloma innymi Polakami 20 grudnia 1802 r., po kolejnej sromotnej porażce – bitwie pod Cayes – w drodze do brytyjskiego więzienia. Coś musiało go jednak w tym wszystkim pociągać, skoro po dwóch latach spędzonych w niewoli powrócił w te strony i wzorem pirackich legend wziął udział w kolejnej wielkiej awanturze swojego życia.

Francja nie posiadała na Karaibach swojej floty, bo nie miałyby ona szans w starciach z Anglią czy Hiszpanią. Po stanowiono więc nawiązać wprost do korsarskiej tradycji, wyposażono odpowiednio kilka niewielkich jednostek i wysłano na morze z jasnym rozkazem nękania i rabowania statków nieprzyjacielskich. Jedną z takich jednostek był szkuner „Mosquito”, którego załoga składała się w połowie z Francuzów, a w połowie z Polaków. Por. Lux znalazł się na pokładzie właśnie jako dowódca tych ostatnich.

NA KORSARSKIM SZLAKU

To właśnie „Mosquito” był tym szkunerem, który brawurowo przegonił angielską korwetę u wybrzeży Portoryko. Zanim jednak doszło do tamtego starcia, statek miał za sobą blisko pół roku igrzysk filmowych przygód na egzotycznych morzach. W swoją misję wyruszył w połowie lipca 1805 r. Pierwszych kilka dni korsarze krążyli między Kubą a Haiti w poszukiwaniu pierwszego łupu. Wkrótce w ich ręce wpadł amerykański statek handlowy, po brzegi wyladowany kawą. „Po ścisłej rewizji przekonano się, że wracał z Port-au-Prince i że dostarczył Murzynom prochu i innych towarów” – wspominał Lux. „Po ukaraniu kapitana statku ciebieśnię, wsadzono go z majtkami na łódź, opatrzywszy w barylkę wody i worek sucharów; bez busoli puszczonego został na wolność, gwoili udania się do najbliższej wyspy”. Korsarze natomiast udali się bezpośrednio do Hawany, gdzie spieniężyli zdobyty okręt wraz z towarami za kwotę 20 tys. franków. Zapewne roztrwonili nieco pieniędzy w tawernach Hawany, bo w dalszą podróż wyruszyli dopiero 24 sierpnia.

Tym razem skierowali się na wody ówczesnego Morza Corteza, czyli Za-



toki Meksykańskiej. Nie płynęli jednak długo. „Po krótkiej żegludze schwycił w różnych punktach dwa okręty kupieckie angielskie i te w portach hiszpańskich łądu stałego [Meksyku – przyp. W.L.] sprzedał, kapitanów i majtków na wolność wypuściwszy”. Nawiasem mówiąc, Polacy sprawnie wygrywali antagonizmy między mocarstwami kolonialnymi. Złupione okręty angielskie sprzedawali w koloniach hiszpańskich – hiszpańskie w angielskich, co jednocześnie zwielokrotniało zyski i zabezpieczało ich przed zemstą lokalnych władz. Ale tylko do pewnego stopnia. Ponieważ w ich ręce wpadały głównie jednostki brytyjskie, kolonialne władze Jamajki zdecydowały się wysłać w pościg za Polakami wspomnianą już korwetę. Rozpoczął się szalony pościg, w którym polsko-francuska załoga wykazała się niezwykłą pomysłowością, brawurą i – co najbardziej zaskakujące – znajomością morza.

„Ta w miesiącu wrześniu spostrzeżona została w Kanale Bahama” – relacjonował dalej porucznik. Ale wieść o tym, „Mosquito” pożeglował pospiesznie w stronę wybrzeża amerykańskiego i schronił się w porcie Charleston w Karolinie Południowej. Po dwóch tygodniach nerwowego wyczekiwania w lokalnych tawernach statek powrócił na wody Zatoki Meksykańskiej – jak lapidarnie ujął to Lux – „uganiając się za okrętem kupieckim angielskim”. Kupcy zastosowali jednak sprawny manewr i uciekając przed Polakami, ukryli się w meksykańskim porcie Vera Cruz. Polacy byli jednak zdeterminowani i rzucając kotwicę przy wyjściu z portu, oczekiwali na pewną i łatwą – jak im się wydawało – zdobycz. „Lecz na nieszczęście w kilka dni pojawiła się korweta angielska przed przystanią. Okręt kupiecki korzystając z pomyślnego wiatru, wyszedł pod żagle i opowiedział o znajdowaniu się golety francuskiej, którą dowódca korwety ścigał” – opowiada Lux.

Polacy znaleźli się w pułapce. Sytuacja wyglądała źle, bo nie tylko przepadł łup, lecz nawet dalszą drogę blokowali im Anglicy. I tym razem korsarze z „Mosquito” wykazali się niepospolitą

brawurą. Podczas trwającej ponoć trzy dni burzy korweta musiała się oddalić od brzegu, by wiatr i fale nie rozbiły statku o nabrzeżne skały. Tę sytuację Polacy wykorzystali po mistrzowsku. Nie zważając na szalejący sztorm, wykorzystując słabą widoczność, wymknęli się na pełne morze. Minęli Kubę, wpłynęli na Morze Karaibskie i rozpoczęli łowy gdzieś w okolicach Bahamów. Nic nie wiemy o ich kolejnych zdobyczach, ale niewykluczone, że chwilowo musieli przerwać polowanie, bo wkrótce znów sami uciekali. Angielską korwetę dostrzeżono od strony Tabago, „Mosquito” skierował się więc w stronę Wenezueli, a konkretnie do portu Caracas, gdzie oczekiwał na odpowiednio złą pogodę, by niepostrzeżenie umknąć Anglikom.

Polacy znaleźli się w pułapce. Sytuacja wyglądała źle, bo nie tylko przepadł łup, lecz nawet dalszą drogę blokowali im Anglicy. I tym razem korsarze z „Mosquito” wykazali się niepospolitą brawurą

Bezskutecznie – po wyjściu z portu statek skierował się w stronę Haiti, ale po sześciu dniach korweta zagroziła im drogę.

I wtedy właśnie doszło do popisowej bitwy morskiej u wybrzeży Portoryko.

POWRÓT DO EUROPY

Nie wiadomo, jak potoczyły się dalsze losy polskiej załogi „Mosquito” – wielu legionistów osiadło w karaibskiej bądź południowoamerykańskiej scenerii, część wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, zasilając szeregi pionierów Dzikiego Zachodu. Większość jednak bądź zginęła w bitwach, bądź zmarła od licznych chorób. O samym por. Luksie co nieco jednak wiadomo. W jakichś okolicznościach trafił znowu na Kubę,

skąd oczekiwał ponownego przerzucenia na Haiti. Tu spotkał postać o nie mniej awanturniczej przeszłości, Piotra Bazylego Wierzbickiego. Być może brał on udział w największym korsarskim wyczynie Polaków, mianowicie zdobyciu angielskiej korwety – tu jednak brak dokładnych danych.

Kiedy jednak wraz z Luksem wracali na Haiti, jego obeznanie z morzem nie pozostawiało wątpliwości, że miał już na karku wiele mil na wodnych szlakach Karaibów. Otóż 18 października 1806 r. wypłynęli na statku „Kutr”, „o maszcie jednym, na którym zaledwie oddział tak mały (36 osób) mógł się umieścić”. Wśród załogi znajdował się Francuz, niejaki Mr. Richard, „który, jak się później dowiedziano, był rozbójnikiem morskim” – wspominał Lux. Najpierw więc Polacy z owym Mr. Richardem wszczęli bunt, który – nawiasem mówiąc – ocalił ich przed rozbiciem o skały.

Lux opisuje to bardzo malowniczo: „Wszczęła się nadzwyczajna nawałność: bałwany piętrzyły się tak, że okręt niekiedy przez nie wzniesiony zdawał się być na wysokiej górze, w chwili jednej opadłszy w bezdenną przepaść, tym samym bałwanem, który go był wzniosł, okryty został”. Kiedy zaś po krótkim odpoczynku na Tortudze i naprawieniu szkód ruszyli dalej w stronę Haiti – dokonali już na własną rękę, jeszcze jednego napadu – tym razem czysto pirackiego. Tym bardziej niezwykłego, że tak mała jednostka w zasadzie nie miała uzbrojenia. A jednak, jak opowiadał Pertek: „Po drodze napotkali amerykański statek handlowy, który został obrabowany przez kapitana »Kutra« i Mr. Richarda. Wreszcie dotarli do Santo Domingo, gdzie Lux i Wierzbicki przebywali jeszcze przez kilka miesięcy, aż do ostatecznego powrotu do Europy”.

Jeśli chodzi o Luksa, to powrót do Europy oznaczał dla niego co prawda koniec przygód morskich, ale na pewno nie wojennych. Wiadomo, że kontynuował służbę w armii Księstwa Warszawskiego i wziął udział w kampanii Napoleona przeciwko Rosji. O ile wiadomo, nigdy już nie wrócił na Karaiby, choć jego legenda żyła tam jeszcze jakiś czas. ▀



Dziś też jesteśmy na wojnie

„Uczcie się, bez względu na trudną sytuację, z jaką przyszło wam się zmierzyć” – apeluje do młodych Polaków jedna z ostatnich uczestniczek tajnych kompletów na Uniwersytecie Jagiellońskim



DOROTA ŁOSIEWICZ

Prof. Antonina Kowalska ma 95 lat i jest jedną z ostatnich żyjących studentek tajnego nauczania na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1942–1945. Kamienica, w której mieszka, mieści się przy ul. Studenckiej przy krakowskich Plantach. Budynek oddalony jest o mniej więcej 300 m od głównego gmachu UJ – Collegium Novum, gdzie 6 listopada 1939 r. Niemcy aresztowali wielu profesorów krakowskich uczelni, by wywieźć ich do obozów koncentracyjnych

w Sachsenhausen i Dachau. W tym samym kwartale kamienic była zlokalizowana od kwietnia 1942 r. kwatera główna podziemnego UJ, tajnego nauczania organizowanego przez prof. Mieczysława Małeckiego w jednym z biur (pod przykrywką) osławionego Ost Instytutu.

Pani profesor została właśnie odznaczona Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości. Uroczystość odbyła się w 76. rocznicę pierwszej powojennej inauguracji roku akademickiego na krakowskiej uczelni. Ze względu na pandemię kameralna uroczystość odbyła się w prywatnym mieszkaniu. Medal przyznany przez prezydenta Andrzeja Dudę krakowskiej profesor wręczył minister Wojciech Kolarski.

– Czulałam się bardzo szczęśliwa i wyróżniona, gdy minister wręczał mi odznaczenie. Byłam też bardzo zaskoczona. Przecież to, że brałam udział w tajnym nauczaniu, to

był mój wybór, tak chciałam. Wiedziałam, że muszę się wykształcić. Nie sądziłam, że zasłużyłam tym na order – śmieję się w rozmowie ze mną prof. Kowalska.

Prof. Antonina Kowalska nie ma wątpliwości, że gdyby nie rodzice, gdyby nie ich zaangażowanie i pomoc, trudno byłoby jej zdobyć wykształcenie.

– Oni starali się, żeby jakoś nas utrzymać – a było nas czworo, więc to dosyć dużo jak na wojnę. Pamiętam, że było bardzo ciężko. Moi rodzice pochodzili spod Wieliczki, z chłopów małorolnych. Jednak ojca posłano do gimnazjum, bo był jedynym synem w rodzinie. Na gimnazjum tata edukację zakończył i postanowił pójść do gastronomii. I dobrze zrobił. Bo dość szybko dorobił się na tyle, że po I wojnie światowej mógł otworzyć w Krakowie restaurację. Ona była bardzo znana. To Zakopianka niedaleko Dworca Głównego.



nego – opowiada prof. Kowalska. – I tak powoli tata dochodził do majątku. Po I wojnie rząd zwrócił się z prośbą do obywateli, którzy mają zasoby i możliwości, żeby przenieśli swoje biznesy na Śląsk, bo wielu Niemców po powstaniach śląskich uciekło. Tata pojechał więc i stworzył restaurację w Katowicach. Nazywała się Bar Krakowski. I my wszyscy, cała czwórka, urodziliśmy się tam, w Katowicach. Tata był wielkim patriotą i w takim duchu nas wychował – wspomina pani Antonina.

Ze wzruszeniem opowiada także o beztroskich czasach przed wybuchem II wojny światowej.

– Mieliśmy piękne, wspaniałe życie. Niczego nam nie brakowało. Rodzice dbali o nasze wychowanie, podróże, wycieczki, zwiedzanie Polski. Była nas czwórka, więc zawsze też mieliśmy co robić. Należałam do harcerstwa. Było tak cudownie. I naraz wszystko się skończyło – wdycha pani profesor. – Przyszedł wrzesień 1939 r. Beztroska odeszła. Ponieważ ojciec wspierał finansowo Związek Powstańców Śląskich, gdy przysłała wojna, musiał uciekać z Katowic z całą rodziną. Na szczęście mieliśmy przyul. Studenckiej kamieniec, którą tata zdążył przed wojną kupić. Mieszkaliśmy tam całą wojnę. Rodzice żyli z zasobów przedwojennych, a robili wszystko, żeby każdy z nas wykształcił się, jak mógł i chciał. Większość szkół była zamknięta, działały tylko szkoły zawodowe, dlatego trzeba było uzupełniać edukację. To było oczywiste. Brakowało polskiego, historii, biologii.

Pani Antonina maturę też zdobyła na tajnych kompletach. – Zdałam ją w lipcu 1944 r. Uroczystość wręczenia świadectw maturalnych odbyła się przy ul. Starowiślniej. Oczywiście żadnych świadectw nie dostaliśmy. Powiedziano nam tylko, że jesteśmy po maturze, a zaświadczenia o zdaniu egzaminu dojrzałości i jego wynik przesłano do organizatorów tajnego nauczania na UJ, na kierunki, które wybrałyśmy. Wybrałam matematykę. Przedmiot ten przerabiałam na prywatnych lekcjach. Uczyla mnie wspaniała nauczycielka z Poznania – wspomina.

– Gdy wybuchło powstanie warszawskie, Niemcy bali się, że podobnie będzie w Krakowie. 6 sierpnia 1944 r. to była niedziela – snuje swoją opowieść pani Antonina. – To był straszny dzień. Urządzano łapanek na młodzież. Akurat tego dnia

mieliśmy pierwszy wykład. Wykładowcą był prof. Stanisław Turski, który po wojnie był rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Było widać, że on się boi. Słysząc było strzały, profesor podchodził do okna. Na tych pierwszych zajęciach były tylko dwie studentki: ja i Genia Dyrkacz (przyszły pracownik naukowy Uniwersytetu Wrocławskiego). Wykłady odbywały się w Zgromadzeniu Sióstr Ofiarowania NMP. W małym pokoiku z zakratowanym oknem. Kolejne wykłady odbyły się dopiero w październiku, ale na ten czas pan profesor zadął nam mnóstwo problemów do rozważenia. Od października do stycznia spotykaliśmy się na tajnych kompletach w mieszkaniu Zosi Rogalskiej (późniejszy doktor fizyki, pracownik naukowy Instytutu Fizyki Jądrowej prof. H. Niewodniczańskiego). Na wykłady uczęszczał jeszcze Andrzej Oleś, późniejszy profesor i rektor AGH. I tak doczekaliśmy końca wojny. Później już mogliśmy wznowić studia w normalnym trybie.

Ale tamten pierwszy tajny wykład sprzed 77 lat Antonina Kowalska pamięta doskonale.

– Wykład był o nierównościach matematycznych – śmieje się pani profesor. – Nigdy nie odczuwałam strachu, uczestnicząc w tajnych wykładach. Wydawało mi się, że wszystko jest tak dobrze zamufłowane, że nie ma się czego bać. Kto mógł wiedzieć, że spotykamy się w małym pokoiku u sióstr prezentek albo w innych prywatnych mieszkaniach? Młode osoby nie odczuwały grozy tego wszystkiego, tylko konieczność nauki. Dla nas była to normalna szkoła. Uczyliśmy się z jednego podręcznika, bo nie było więcej, musiałyśmy pożyczyć go zawsze na jedno popołudnie, a potem przekazać

komuś innemu. Chodzenie z książkami po mieście nie było bezpieczne. Ci, którzy nie odczuwali konieczności kształcenia się, nie szukali drogi do tajnych kompletów – relacjonuje pani Antonina. – W tym czasie namawiano nas, żeby wstąpić do Armii Krajowej. To było jeszcze przed maturą. Czuliśmy, że jest taka konieczność, ale chcieliśmy najpierw zdać egzamin dojrzałości. Nie chcieliśmy narażać profesorów na wpadkę. Po maturze wstąpiłam do AK, złożyłam przysięgę, zostałam sanitariuszką, ale nigdy nie wzięłam udziału w żadnej akcji. Miałam natomiast przygotowany ekwipunek. Naszym głównym marzeniem było, żeby skończyła się wojna, żebyśmy znów byli u siebie, żebyśmy mogli mówić wszędzie po polsku. Pamiętam taki moment, że poszłyśmy z siostrą do księgarni, niemieckiej, mieli tam bardzo ciekawe książki, które lubiliśmy przeglądać i rozmawiałyśmy po polsku. Inagle: „Raus!” – usłyszałyśmy. Wyrzucili nas za to, że w sercu Polski Polki mówią po polsku. Byłyśmy takie młode, a tak nas to oburzyło! – wspomina pani profesor.

A jak wyglądała pierwsza powojenna inauguracja roku akademickiego krakowskiej uczelni?

– To pamiętam znacznie gorzej niż ten pierwszy wykład. Może emocje były mniejsze. I studentów było więcej, a nie kilka osób. Wcześniej ustawialiśmy się w wielkich kolejkach w Collegium Novum przy ul. Gołębiej 24. Na drugim piętrze były rozstawione stoły i przy nich zapisywaliśmy się na wybrane wydziały. Sprawdzano wówczas świadectwa





Fot. Archiwum prywatne

Pani Antonina Kowalska
(pierwsza z lewej) z rodzeństwem

maturalne. Balam się, że z powodu braku świadectwa nie będę się mogła zapisać na zajęcia. Jednak byłam na liście. Okazało się, że wszystko sprawnie zadziałało. Niepojęte – zamysła się pani profesor.

Później Antonina Kowalska związała się z Instytutem Fizyki UJ, którego była pracownikiem naukowym przez 48 lat.

Tajny Uniwersytet, którego głównym organizatorem był prof. Mieczysław Małecki, wykształcił przeszło tysiąc osób, wśród nich przyszłego papieża Karola Wojtyłę, który był klerykiem tajnego Wydziału Teologii. A skoro o nim mowa, to w 1956 r. prof. Kowalska pokonała w towarzystwie przyszłego papieża na rowerze trasę ponad 250 km – od Boleśławca do Świdnicy.

– Od 1958 r. jeździliśmy stale na Prehybę w Beskidzie Sądeckim. Tam było piękne schronisko. Te nasze wyprawy z Ojcem Świętym organizował śp. prof. Jerzy Janik, fizyk. I on, jako swojej koleżance, zaproponował mi uczestnictwo w tych wyprawach. I tak jeździliśmy do 1974 r. Poza tym spotykaliśmy się też na dyskusjach w mieszkaniu u Janików. To nie były tylko naukowe dysputy, często rozmawialiśmy o polityce. A jak Karol Wojtyła został papieżem, to zaproponował Jerzemu, żeby zorganizować te nasze dyskusje w Castel Gandolfo. I tak się stało. Co dwa lata były

Nigdy nie odczuwałam strachu, uczestnicząc w tajnych wykładach. Wydawało mi się, że wszystko jest tak dobrze zakamuflowane, że nie ma się czego bać. Kto mógł wiedzieć, że spotykamy się w maleńkim pokoiku u sióstr prezentek?

organizowane takie spotkania. Ale już w większej grupie, przyjeżdżali ludzie z całej Polski – opowiada pani Antonina.

W trakcie uroczystości wręczenia odznaczenia Antoninie Kowalskiej odczytano list, który pani profesor skierowała do polskich uczniów i studentów tuż po ubiegłorocznym wybuchu pandemii. „Dziś, gdy żyjemy w zupełnie innych czasach, czasach, w których praktycznie niczego nam nie brakuje, znów wybuchła wojna, tylko że z niewidzialnym wrogiem” – pisała profesor. W swoim liście podkreśliła, że dziś, podobnie jak w czasie II wojny światowej, placówki edukacyjne zostały zamknięte. Przypomniła jednak, że w obecnych czasach istnieje możliwość

zdobycia wiedzy bez wychodzenia z domu i że należy z niej skorzystać. Zapelowała także do młodych, aby nie marnowali swojego czasu na bezcelowe aktywności, tylko uczyli się bez względu na trudną sytuację, z jaką przyszło im się zmierzyć. „Bardzo was o to proszę jako jedna z ostatnich już żyjących uczestniczek tajnego nauczania” – napisała prof. Kowalska. Jednak w rozmowie ze mną przyznaje, że młodzi ludzie dzisiaj mają inny stosunek do przeszłości.

– Ich młodość jest tak różna od mojej. Byliśmy tak inaczej chowani. Moi rodzice byli głębokimi patriotami. Pieśni, święta, to wszystko było takie polskie, uroczyste. Wtedy nie było mowy, żeby się nie interesować tym, co się dzieje wokół. A teraz? Sama pani wie... Niektórzy nawet nie znają daty wybuchu wojny. Tych 30 lat demokracji wyobcowało nas z tradycji, kultury, miłości do ojczyzny. Młode pokolenie może już mnie nie rozumieć. Patrzę na te dewastacje kościołów, protesty i jest mi smutno. Ale głęboko wierzę, że to znikoma część młodzieży bierze w tym udział.

Dziś prof. Antonina Kowalska rzadko opuszcza swoje mieszkanie i książki. Nawet nie tyle z powodu pandemii, ile z powodu zdrowia.

– Tak się cieszyłam, że mogę chodzić. To była moja największa radość. Niestety, dziś już nie bardzo. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Mam za to wokół swoje książki, swoje przemyślenia, żyję sobie trochę na odludziu i dobrze mi z tym. Nie podoba mi się tylko, że wszyscy tak szybko mówią, że aż trudno ich zrozumieć.

Bardzo lubiłam oglądać program „W tyle wizji”, ale nawet wy też już tak szybko mówicie... Poza tym pewnie słuch już nie ten. Wszyscy się dziś tak śpieszą, nawet z mową – śmieje się pani profesor.

Medal Stulecia Odzyskanej Niepodległości został ustanowiony z myślą o tych wszystkich, którzy swoją służbą publiczną, walką o niepodległość, o wolność, osiągnięciami zawodowymi, pracą społeczną i działalnością artystyczną przyczynili się do tego, że dzisiaj mamy wolną i niepodległą Rzeczpospolitą. Odznaczenie zostało nadane z inicjatywy Stowarzyszenia Ne Cedat Academia, którego misją jest upowszechnianie wiedzy o tajnym nauczaniu w czasie II wojny światowej.



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Efekt Łazarza

Efektem Łazarza w naukach przyrodniczych nazywa się sytuację, kiedy niespodziewanie odnajduje się gatunek, który od dziesiątków, setek, a czasem milionów lat uważano za wymarły, a niekiedy znano wyłącznie z wykopalisk

Wyrak karłowaty

Efekt Łazarza, nazwany tak od jednego z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających fragmentów Ewangelii, jest dla przyrodnika czymś znacznie bardziej interesującym niż przyrodnicze science fiction Parku Jurajskiego. Od przywrócenia do życia dinozaurów jesteśmy niezmiernie daleko. Bardzo zresztą dobrze, udana próba przywrócenia stworzenia dawno wymarłego mogłaby skończyć się podobnie, jak nieprzemyślane przenoszenie gatunków pomiędzy kontynentami. Przykłady katastrof naturalnych, jakie wskutek tego nastąpiły, są niestety liczne: biedronka azjatycka, która wypiera rodzime dwu- i siedmiokropkę, parzący barszcz Sosnowskiego, który miał być paszą dla bydła, a stał się zagrożeniem dla ludzi, amerykańskie szopy i azjatyckie jenoty niszczące lęgi rzadkich gatunków ptaków. Zadajmy sobie także pytanie – po co, poza zainteresowaniem wzbudzonym przez przymysł rozrywkowy, mielibyśmy powoływać do życia któregoś z przedstawicieli grupy, nazywanej zbiorczo i potocznie jako dinozaury?

TUR, TARPAN, LEW BERBERYJSKI

Znacznie bardziej sensowne byłoby przywrócenie do życia turów *Bos primigenius*, przodków wielu ras bydła. Tury w dzisiejszym ekosystemie byłyby jak najbardziej na miejscu, podobnie jak cudem uratowane od wymarcia żubry – gdyby nie cywilizacyjne przemiany Europy, tury wciąż żyłyby. Warto zaznaczyć, że najdłużej, dzięki świadomej ochronie (zaprzeszono polowań, powołano królewskich urzędników zajmujących się turami, chroniono miejsca ich występowania) tury przeżyły w Polsce – ostatnia samica padła w 1627 r. w Puszczy Jaktorowskiej. Mimo że materiał genetyczny zawarty w rozmaitych szczątkach jest w przypadku turów w bez

Fot. Shutterstock



Metasekwoja chińska



Latimeria

Latimeria chalumnae, Weibchen, 170cm lang, 60kg schwer

porównania lepszym stanie niż ten pochodzący od dinozaurów, a także mimo że żyją przeciw współczesne „tury”, czyli nasze krowy, odtworzenie dzikich oryginalnych turów jest nadal poza naszym zasięgiem. Pamiętajmy, że mowa nie o wyhodowaniu krów, które wyglądałyby jak ciemno ubarwione, lirorogie tury (co nie jest trudne), lecz o odtworzeniu gatunku z oryginalnym genotypem wymarłych zwierząt.

Najbliżej odtworzenia gatunku wymarłego byliśmy w przypadku tarpiana *Equus gmelini*. Kiedy podjęto działania naprawcze, od ostatnich dzikich koni czystej krwi, żyjących jeszcze w XIX w., minęło kilkadziesiąt lat i wciąż istniały konie, które miały w sobie wiele z oryginalnych tarpanów. Niestety plany te pokrzyżowała II wojna światowa. Udało się jedynie wyhodować rasę koni, nazywanych konikami polskimi, które wyglądają jak tarpiany i prowadzą podobny tryb życia. W kilku miejscach stada takich koni żyją w Polsce na wolności, a widok ich przywołuje rodzaje dreszcz wspomnień zamierzchłych, pierwotnych czasów.

Jeżeli chodzi o bardziej egzotyczne gatunki zwierząt, badania genetyczne pokazują, że być może udałoby się odtworzyć lwa berberyjskiego *Panthera leo leo*. To jeden z największych i najbardziej grzybiastych podgatunków lwa afrykańskiego. Dlaczego lew berberyjski jest dla nas interesującym przypadkiem? Od starożytności Europejczycy mieli do czynienia z tym właśnie podgatunkiem, żyjącym niegdyś w górach Atlas i na wybrzeżach północno-afrykańskich. Lwy te odznaczały się bujną

Latimeria uważana była za wymarłą od jakichś 60–70 mln lat. Do czasu, kiedy w 1938 r. ryba ta została przypadkowo zauważona na afrykańskim targu

grzywą, która porastała także łapy i schodziła aż na brzuch. Te właśnie drapieżniki sprowadzano do amfiteatrów rzymskich i te lwy były modelami artystów.

Od kiedy zagłębiłem się w historię lwów berberyjskich, trudno mi się powstrzymać od przytaczania jej przy różnych okazjach – jest tego warta, bo jeden z jej aspektów jest niesamowity. Swoisty monopol lwów berberyjskich spowodował, że trudno znaleźć dawny wizerunek lwa, który nie przedstawiałby lwa berberyjskiego. Kotami tymi są lwy przy wejściu do ratusza krakowskiego i nad wejściem do ratusza gdańskiego, lwy z poznańskiego Dziedzińca Różanego Zamku Cesarskiego, lwy w herbie Holandii i lwy z kolumny Nelsona na Trafalgar Square w Londynie. Nieistniejące zwierzę, wszechobecne w kulturze europejskiej. Choć na wolności lwy berberyjskie dawno wymarły, okazało się, że wśród niektórych lwów, wywodzących się od zwierząt z dawien dawna trzymany w ogrodach zoologicznych,

są potomkowie tego podgatunku. Dzięki nim przywrócenie lwów berberyjskich w północnej Afryce jest całkiem realne.

RYBA SPRZED MILIONÓW LAT

Wróćmy do efektu Łazarza. Jednym z najbardziej spektakularnych przykładów tego zjawiska jest historia latimerii. Ta dorastająca dwóch metrów długości ciała i kilkudziesięciu kilogramów masy ryba jest dziwna już z samego wyglądu. Jej masywne ciało

ma w sobie coś pradawnego. Wrażenie to potęguje się, kiedy zwróci się uwagę na pletwy osadzone na wyrostkach przypominających nogi, na których na łód wypełzały pierwsze kręgowce.

Latimeria znana była tylko z wykopalisk i uważana za wymarłą od jakichś 60–70 mln lat. Do czasu, kiedy w 1938 r. została przypadkowo zauważona na afrykańskim targu rybnym przez Marjorie Courtenay-Latimer, przyrodniczkę z południowoafrykańskiego muzeum. Z czasem, również na placach z rybami, natrafiono na kolejne okazy. Ostatecznie okazało się, że latimerie (dziś znane są już dwa gatunki tej ryby) są wprawdzie niezbyt częste, lecz wcale nie wyginęły miliony lat temu. Żyją wciąż na głębokościach ok. 100 m w Oceanie Indyjskim, kryjąc się w podwodnych jaskiniach lub podkradając do zdobyczy w mrokach kamienistego dna.

Tak jak latimeria jest klasycznym przypadkiem żywej skamieniałości wśród zwierząt, pośród roślin jest nim iglaste drzewo – metasekwoja chińska *Metase-*



Lipiennik Loesela

Petrel bermudzki

quia glyptostroboides. Metasekwoje były znane botanikom tylko z wykopalisk – jako drzewa niewystępujące na Ziemi od milionów lat, wymarłe w trzeciorzędzie. W okresie międzywojennym natrafiono jednak przypadkiem na metasekwoje, które nieświadome swojego oficjalnego statusu rosły w ustronnej części Chin. Potwierdzenie, że metasekwoje wciąż żyją, było w latach 40. XX w. wielką sensacją botaniczną. Mimo że świat miał wówczas na głowie inne sprawy, w głąb Chin wysłano amerykańską ekspedycję z misją pozyskania nasion. Warto pamiętać tę historię, od tego czasu metasekwoja stała się bowiem całkiem częstym gatunkiem w zieleni miejskiej, również w Polsce.

SZLACHETNA WOLEMIA I LEGENDARNA PALMA

Jeszcze bardziej zadziwiająca jest chyba historia wolemii szlachetnej *Wollemia nobilis*. To drzewo, należące również do iglastych i tak jak metasekwoja znane naukowcom wyłącznie jako gatunek wymarły, zaginęło w czasie jeszcze wcześniejszym niż gatunek z Chin. Uważano, że wolemie zniknęły kilkadziesiąt milionów lat temu. Do czasu, aż w 1994 r. odnaleziono je w australijskiej dolinie. Choć od tego czasu wolemie trafiły do ogrodów botanicznych, a każdy może kupić sobie sadzonkę, lokalizacja doliny z prastarą rośliną utrzymywana jest w tajemnicy.

Palma daktylowa *Phoenix dactylifera* z Judei wymarła 800 lat temu. Stanowiła oddzielny podgatunek lub odmianę znanych dziś daktylowców, a jej wyjątkowe owoce od starożytności były przedmio-

tem handlu i eksportu. Zapewne pozostałyby jedynie bohaterką dawnych kronik, gdyby nie niezwykle wydarzenie. Podczas wykopalisk prowadzonych w latach 60. XX w. w pałacu Heroda Wielkiego w Masadzie natrafiono na starożytny pojemnik z pestkami daktylowymi. Pestki przeleżały kolejne 40 lat w muzeum, aż ktoś wpadł na pomysł, żeby spróbować dokonać niemożliwego i sprawdzić, czy nasiona nie skielkują. Jedno z nich skielkowało, ustanawiając tym samym rekord wszech czasów. Czekąło przecież na ten moment ponad 2 tys. lat. Rosnąca obecnie palma nazwana Matuzalem daje nadzieję na odtworzenie słynnych judzkich gajów daktylowych.

Czy takie historie mogą się dziać tylko w dalekich, egzotycznych stronach? Przeczy temu przykład lipiennika Loesela *Liparis loeselii*. Ten rzadki storczyk, rosnący na torfowiskowych młakach, znany jest z nielicznych stanowisk w północno-wschodniej Polsce. Ostatnie zapisy o jego istnieniu na obszarze Krakowa pochodzą z 1884 r., później, jak sądzono, w tej części Polski wyginął. Odnaleziono go jednak ponownie w 2006 r. na łąkach tuż obok nowego kampusu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

MAŁY WYRAK I ZAGINIONY PETREL

Wyrek karłowaty *Tarsius pumilus* z Indonezji należy do ssaków naczelnych, tak samo jak ludzie. Jest jednak znacznie mniejszy: przy długości ciała ok. 10 cm i 50 g masy przypomina mikroskopijną małpkę. Uważano, że wyginął

w indonezyjskich lasach w początkach XX w. Poszukiwań nie ułatwiała małe rozmiary zwierząt i nocny tryb życia. W 2008 r. jednak wyraki odnaleziono w parku narodowym Lore Lindu na wyspie Celebes. Dwa samce i samice schwytano w sieci (czwarty osobnik zbiegł), oznaczono nadajnikami i oczywiście wypuszczono z zamiarem lepszego poznania zwyczajów tych zwierząt i skutecznej ich ochrony.

Jedną z najbardziej frapujących historii zoologicznych są dzieje petreła bermudzkiego *Pterodroma cahow*, gatunku morskiego ptaka z rzędu rurkonosych, rodziny burzykowatych. Petrel bermudzki jest gatunkiem bardzo ciekawym: jako rybożerny ptak morski większość roku spędza, szybując nad oceanem, gnieździ się natomiast w ziemnych norach. Jest endemitem występującym wyłącznie na Bermudach. Petrele poznano na początku XVI w., kiedy zaczęto wykorzystywać Bermudy jako przystanek w drodze do Nowego Świata. Duże kolonie ptaków stanowiły dla żeglarzy spiżarnię: w ciągu nocy, jak wspomina Diego Ramirez, łapano po kilkaset ptaków. Wypuszczone na wyspach świnie, koty i szczury dołożyły swoje i ok. 1620 r. petrele bermudzkie uznano za wymarłe. Na ich ślad natrafiono ponownie po ponad 300 latach, w 1935 r. Obecnie, choć ptaki te są wciąż rzadkie, prowadzi się działania mające na celu odbudowę ich populacji i odtworzenie dawnych licznych kolonii.

Wszystkie te historie pozwalają mieć nadzieję, że świat tylko pozornie jest dogłębnie poznany i wciąż ma swoje tajemnice.

To nie jest kraj dla żywych ludzi

Obrazki z rosyjskiej prowincji



MAREK BUDZISZ

Władimir Putin, przemawiając na Łużnikach na wiecu w rocznicę aneksji Krymu, nazywaną w Rosji Dniem Zjednoczenia, w patriotycznym uniesieniu wykrzykiwał: „Dużo już zrobiliśmy i dużo jeszcze zrobimy dla rozwoju całej Rosji – i dla Krymu, i dla Sewastopola”. Ten patriotyczno-reformatorski zapal warto zderzyć z relacjami rosyjskich dzienni-

karzy. Reportaże z głubinki, czyli z rosyjskiej prowincji, miejsc odległych od rozwijających się europejskich metropolii, jakimi są Moskwa i Petersburg, to w Rosji odrębny gatunek. Ich autorzy pokazują rzeczywisty obraz życia w państwie, którego elity lubią, gdy określa się je mianem mocarstwa. Jaki obraz wyłania się z materiałów rosyjskiej prasy tylko z ostatniego miesiąca?



Fot. Shutterstock

W SĄSIEDZTWIE PUTINA

Dziennikarze „Nowej Gazety” trafili do Oliwy, osady na Krymie, której mieszkańcy mieli tego pecha, że za czasów ZSRR dostali działki od państwa i zbudowali sobie na nich domy w bezpośrednim sąsiedztwie swych miejsc pracy. A były nimi wille komunistycznej elity. Tam wypoczywali

Dzierżyński, Stalin, Mikojan, a później Andropow i Gorbaczow. Teraz domostwa 300 mieszkańców wioski wciśnięte są między posiadłości Putina i Miedwiediewa oraz ośrodek szkoleniowy wszechwładnej FSB. Z ich perspektywy różnica między czasami Rosji Sowieckiej, nie mówiąc już okresie, kiedy Ukraina władała tymi ziemiami, a obecnymi jest kolosalna. Przede wszystkim z powodu paranoi na punkcie bezpieczeństwa. Zakazano im wstępu do lasu znajdującego się na wzgórzach otaczających osadę, bo stamtąd jest piękny widok na willę

Mieszkańcom zakazano wstępu do lasu znajdującego się na wzgórzach otaczających ich osadę, bo stamtąd jest piękny widok na willę Putina, odebrano im też dostęp do morza

Putina, nie mają też dostępu do morza i gdyby chcieli zażyć kąpieli, to muszą jechać do oddalonego ponad 10 km Forosu. Ale nie spacerować i plażowanie są w ich życiu najistotniejsze. Wioska znalazła się w szerokiej na kilometr „strefie bezpieczeństwa”, a to oznacza, że nie mogą dostać tytułów własności swych domów, a ich działek nikt nie kupi. Ale nie tylko.

Aleksandr Wasilczienko, jeden z mieszkańców, powiedział reporterom, że „cmentarz został zamknięty, ponieważ znajduje się na obszarze chronionym. Dozwolone jest tylko np. pochowanie męża w grobie jego żony. Nie kopie się nowych grobów, zmarłych wywozi się do sąsiednich wiosek”. Inny z mieszkańców, Siergiej Kabak, żalił się reporterom, że nie mając tytułu własności swego domu, bo wiadomo – strefa ochronna, nie może uzyskać meldunku, a w efekcie nie może zarejestrować samochodu ani

nawet uzyskać karty bankowej, bo bez rejestracji banki pracujące na Krymie takich nie wydają.

Oliwa leży na samym południu Krymu, a Saki, miasteczko, do którego też trafili reporterzy, jest niewielką miejsciną położoną w bezpośredniej bliskości bardziej znanej Eupatorii. W Samach mieszka Wiktoria Simonowa prowadząca od lat znajdujący się w rynku sklep spożywczy. Jesienią 2020 r. dostała ona oficjalne powiadomienie od miejscowych władz, że tytuł własności jej nieruchomości jest nielegalny, mimo że został zatwierdzony przez ukraiński

sąd w 2008 r., a w 2017 r. podobną decyzję podjął sąd rosyjski. Wierzyłaby w swoje prawa, gdyby nie obserwowała trwającej od 2015 r. batalii ponad 700 spółdzielców z jej miejscowości, którym władze w podobny sposób, nacjonalizując, odebrały sieć sklepów, restauracje, piekarnię, nawet samochody. Jednym z nich jeździ teraz mer Symferopola. Mimo że w rosyjskiej konstytucji nie ma pojęcia „nacjonalizacja” i obowiązuje ustawa gwarantująca nienaruszalność własności

prywatnej, a władze w Moskwie oficjalnie są przeciwne podobnym praktykom, lokalnie prawo działa inaczej, a sądy orzekają zgodnie z wolą miejscowych władz. „Mamy w Moskwie jednego przyjaciela z dobrymi kontaktami – powiedział dziennikarzom Iwan Fabiszewski, szef znacjonalizowanej spółdzielni. – Poprosiliśmy go o wyjaśnienie, dlaczego wszystkie sądy są przeciwko nam, i czy można jakoś przekazać nasz problem Władimirowi Putinowi. Po pewnym czasie zadzwonił do mnie i powiedział, że sprawa jest beznadziejna: »Powiedziano Putinowi, że finansujesz ATO« [ukraińską operację przeciw separatystycznym republikom w Doniecku i Ługańsku – przyp. M.B.]”.

OPUSTOSZAŁE MIASTO

Problemy mieszkańców Krymu, którzy muszą się borykać również z permanentnym brakiem wody pitnej i samowolami

budowlanymi inwestorów z koneksjami, błędą w porównaniu z tym, co przydarzyło się tej zimy w miejscowości Wuktył, w Republice Komi, na Dalekiej Północy. W lutym przy temperaturze minus 46 stopni w domach wyłączono ogrzewanie. Tatiana Bielikowa powiedziała dziennikarzom Radia Swoboda, że dzień i noc się dogrzewają, w kuchni palą się zawsze dwa palniki i piekarnik, a i tak butelka płynu czyszczącego stojąca przy zlewie zamarza. O sprawie zrobiło się głośno, zwłaszcza że sezon grzewczy w ich mieście trwa do czerwca, a tegoroczna wiosna, która w Rosji zaczyna się z początkiem marca, wcale nie różni się od zimy. Do Wuktyłu, miasteczka w którym mieszkają przede wszystkim pracownicy sąsiednich wielkich pól gazowych, przyjechał nawet kierujący Republiką Komi Władimir Ujba, a telewizja zrobiła na temat ich problemów reportaż, ale i tak od tego w domach nie zrobiło się cieplej, ogrzewania nie włączono. Władze zapowiedziały opracowanie „modelu zmian systemu ciepłowniczego miasta, aby uniknąć incydentów w przyszłości”, ale ciepła jak nie było, tak nie ma. Lina Radygina, miejscowa aktywistka, która zainteresowała problemami jej miasta dziennikarzy, pociesza się, że teraz łatwiej będzie doczekać do lata, bo temperatura na dworze nocą spada jedynie do minus 13 st. C.

Ale co ma zrobić Jurij, mieszkaniec Workuty, a precyzyjnie mówiąc Komсомolskiej – jednej z satelickich osad tego górniczego miasta łagru – oddalonej od centrum o 22 km? Jeszcze za czasów sowieckich jego osiedle zamieszkiwało 20 tys. ludzi, dziś zostało niewiele ponad 200 osób, bo Workuta jest najszybciej wyludniającym się miastem w Federacji Rosyjskiej. Za czasów ZSRR mieszkano i pracowało tam ponad 200 tys. ludzi, obecnie, według oficjalnych statystyk, liczba mieszkańców spadła do 55 tys. z czego, jak argumentują miejscowi 15 tys. złożyło podania o przesiedlenie, ale nie mają gdzie wyjechać, tak jak Jurij, z którym rozmawiali dziennikarze. Jego rodzina mieszka w Tatarstanie, a on chciałby się przenieść do przyjaciela w Archangielsku, ale nie ma na to pieniędzy. I został sam. W mieście nie ma już niczego – ani sklepów, ani komunikacji, a w bloku,



w którym wcześniej mieszkało kilkadziesiąt rodzin, dziś dostrzec można jedynie powybijane szyby, świeci się tylko w mieszkaniu Jurija, który – jak mówi dziennikarzom – głosował oczywiście na Jedną Rosję. Tylko on został. To i tak lepiej, bo w sąsiednich domach, cisza, ciemno, pustka.

„JAK ŻYĆ?”

Jurij znalazł się w podobnej sytuacji co mieszkańcy (przeważnie emeryci) osady Żemczużnyj (Perla), położonej w Chakasji, niedaleko od granicy z Mongolią. W lutym napisali oni do Putina list, w którym skarżą się, że „nie są nikomu potrzebni i wszyscy o nich zapomnieli”. Powodem ich problemów są drastyczne podwyżki cen za usługi komunalne, co w całej Rosji, w której od rozpadu komunizmu właściwie nie inwestowano w infrastrukturę miejską, staje się coraz większym problemem. „Możesz mi wyjaśnić, jak mam żyć?” – zapytała dziennikarzy portalu Sybir Reali Wiera Bielawina, emerytowana pielęgniarka, która całe życie pracowała w pobliskim sanatorium. „Mieszkam sama – kontynuuje monolog – w styczniu dostałam do płacenia 8,1 tys. rubli. Niektórzy sąsiedzi dostali

po 9 i 10 tys. Na lekarstwa wydają miesięcznie 5 tys. Pięć lat temu wyłączyli gorącą wodę, więc trzeba było kupić bojler, na gaz pójdzie jeszcze tysiąc. A emerytury mam 20 tys.”.

Miejscowe władze zapowiedziały od czerwca kolejną podwyżkę, bo jesienią trzeba było przeprowadzić remont kotłowni, stary piec mógł w każdej chwili przestać działać, a to wpływa na podwyżki taryf. „Tu jest źle – mówi dziennikarzom Swietłana Kiczkindiewa. – Młodzi ludzie za dużo piją, uzależniają się od narkotyków. Uprawiać sporty? A jaki sport, skoro nie ma sekcji. W szkole? Sala gimnastyczna jest zamknięta z powodu remontu. Co jest dobrego w Perle? Co jest dla nas dobre? Pobraliśmy się, mieliśmy dzieci, teraz siedzimy. Wszyscy mężowie pracują daleko, mój niedługo jedzie do Jakucji (w linii prostej 2,5 tys. km) do pracy, więc czekamy na nich”.

STOLICA MORDERSTW

Jeśli te reporterskie wycieczki po rosyjskiej głubince przypominają trochę kręgi piekła z Epitafium dla Wysockiego, to jednym z ostatnich jest z pewnością Republika Tuwa, „stolica morderstw” Federacji Rosyjskiej, którą



w marcu odwiedził dziennikarz ural-
skiego portalu Znak. Ściągnęło go tam
pytanie, jak się żyje w najbiedniejszym
rosyjskim regionie, w którym liczba
zabójstw na 100 tys. mieszkańców wy-
nosi 45 i jest dwukrotnie większa niżli
w Meksyku, państwie uchodzącym
za arenę wieloletniej brutalnej wojny
gangów narkotykowych. Dla porów-
nania warto przypomnieć, że Łotwa,
która jest europejskim liderem w tej
statystyce, ma 3,8 zabójstw przypad-
ających na 100 tys. mieszkańców, a Pol-
ska 0,7. Oficjalnie poziom bezrobocia
w republice, z której pochodzi Siergiej
Szojgu, rosyjski minister obrony, wy-
nosi 19,9 proc., ale w rzeczywistości jest
on znacznie większy. Dziennikarz roz-
mawiał z przechodniami na ulicach Ky-
zyłu, stolicy republiki, i dowiedział się
od nich, że „jeśli ktoś dostanie 20 tys.
(równowartość 220 euro – przyp. M.B.),
to już bardzo dobrze. Mówią, że są
tacy, którzy mają pensje w wysokości
30–50 tys., ale to jest w administracji,
dla zwykłych ludzi 15–16 tys. to górna
granica”.

Inny rozmówca mówi, że wszy-
scy żyją z „uprawy gandzi”, na którą
szczególnie duży popyt jest w bazach
wojskowych i więzieniach. Na miejscu
towaru sprzedaje się mało, bo wszyscy
uprawiają. Obławy policji owszem są,
ale na pokaz, bo i tak wiadomo, że ludzie
muszą sobie jakoś radzić, a pracy nie ma.
Zresztą co poradzić, kiedy aby umieścić
dziecko w przedszkolu, trzeba dać ła-
pówkę 180 tys. rubli? Ale źródłem prze-
stępstwa jest nie tyle bezrobocie, ile
powszechny alkoholizm. Nie pomogło
wprowadzenie zakazu sprzedaży spiry-
tualii po godz. 15, a nawet posunięcie
to pogorszyło sytuację, bo teraz wódkę
można kupić wszędzie, tyle że niele-
galnie i drożej. W Kyzyle, jak ostrzegali
dziennikarza Znak jego rozmówcy,
po godz. 20 pod żadnym pozorem nie
wolno wychodzić na ulice, zwłaszcza
jeśli wygląda się na Rosjanina. W mia-
stach prowincjonalnych jest jeszcze
gorzej. Taksówkarze nawet w dzień nie
chcieli tam jechać. Na dodatek, jak re-
lacja wydawca miejscowej gazety
Siergiej Konwiz, w ostatnich latach
bardzo się pogorszyły relacje między
autochtonami a Rosjanami. Ci ostatni
są wręcz zastraszani i zmuszani do

wyjazdu. Jeden z anonimowych roz-
mówców dziennikarza mówi wprost,
że miejscowi, w tym zdominowane
przez autochtonów władze lokalne, ar-
gumentują „że jeśli jesteś Rosjaninem,
ale jeszcze nie wyjechałeś, musisz się
nauczyć języka. Jeśli Rosjanin i Tuwa-
niec są oskarżani w sądzie na podstawie
tego samego artykułu, to Rosjaninowi
zawsze daje się maksimum. Reforma
MSW nie miała sensu, w ogóle nie
rozumiem, jak gliniarze przeszli cer-
tyfikację. Tuwińscy policjanci w ogóle
odmawiają mówienia po rosyjsku, może
po prostu nie znają tego języka?”.

**Republika Tuwa to „stolica
morderstw” Federacji
Rosyjskiej. Liczba zabójstw
na 100 tys. mieszkańców
wynosi tu 45 i jest dwukrotnie
większa niżli w Meksyku**

Wyjeżdżający z Tuwy Rosjanie albo
nie mogą sprzedać swoich mieszkań,
albo muszą się zgadzać zbyć je za bez-
cen, bo wśród autochtonów panuje
zasada, aby „nie kupować od Urusów”,
jak w miejscowym slangu określa się
Słowian. Jak wyglądają relacje między
zamieszkującymi ten region naro-
dami, świadczy to, że Tuwa wysunęła
w ubiegłym roku oficjalne pretensje
terytorialne wobec sąsiednich, „kon-
trolowanych” przez Rosjan guberni. Na
to nakłada się samowola władz, współ-
praca policji ze światem przestępczym
i niewyobrażalna korupcja oraz zło-
dzieństwo. Przede wszystkim środków
przysyłanych do Tuwy przez Moskwę,
a ponad połowa miejscowego budżetu
pochodzi z dotacji.

Najlepszym przykładem, jak gospo-
daruje się pieniędzmi przysyłanymi
z Moskwy, jest historia z centrum
sportowym położonym nieopodal sto-
licy Tuwy, Kyzylu. W ramach central-
nego programu finansowania rozwoju

i turystyki na jego budowę przysłano
z Moskwy 800 mln rubli. Tylko że – jak
piszą relacjonujący sprawę dzien-
nikarze lokalnego portalu Tajga.info
– kompleks nie powstał, zbudowano
za to luksusową rezydencję, w której
mieszka kierujący republiką pupil mi-
nistra Szojgu Kara ol-Szolban.

Większy rozmach w tych spra-
wach mają na Krymie. Jak powiedział
dziennikarzom „Nowej Gaziety”
jeden z tamtejszych przedsiębior-
ców zajmujących się gazyfikacją, był
gotów za miliard rubli położyć rury
w całym regionie. Władze odrzuciły
jego propozycję i wystą-
piły do Moskwy o dotację
w wysokości 80 mld, bo tyle
potrzeba ich zdaniem, aby
dobrze wykonać inwesty-
cję. Jego zdaniem większa
część tej kwoty, jeśli Krym
ją kiedykolwiek dostanie,
pójdzie na łapówki dla
miejscowej elity.

STRATEGIA UBÓSTWA

Dziennikarz portalu Znak
opisujący to, co się dzieje
w Tuwie, wprost pisze, że
mamy do czynienia z „roz-
padem państwa”. Rządzą lokalne klany,
sitwy i układy. Moskwa jest daleko,
przysyła pieniądze i zadowala się tym,
że miejscowe elity w manifestacyjny
sposób popierają Putina. W szczegól-
nie nikt nie wnika. To dlatego Ramzan Ka-
dyrow wprowadził szariat w Czeche-
nii, a władze regionów syberyjskich
graniczących z Chinami większe in-
teresy robią z przedsiębiorcami zza
pobliskiej granicy niż z Moskwy czy
Petersburga. O sprawach zwykłych
ludzi nikt nie myśli. Opozycyjnie na-
stawieni socjologowie wręcz uważają,
że utrzymywanie obywateli Federacji
Rosyjskiej w ubóstwie i wystawianie
ich na samowolę lokalnych klik jest
działaniem celowym, bo wówczas
muszą się skoncentrować na tym, jak
przeżyć, a nie myśleć o polityce. Ta
strategia do tej pory okazywała się sku-
teczna, choć na Krymie – pierwszy raz
po „zjednoczeniu” z mateczką Rosją
– po aresztowaniu Nawalnego odbyły
się antyrządowe demonstracje. ▀

Święta pod niebem

*Jeśli tylko dopisze pogoda, zrobmy święta na zielonej trawie.
Skróćmy czas obżarstwa, wydłużmy spacer. My zamierzamy
uczcić Wielkanoc ogniskiem w ogrodzie*





Kiedy w zeszłym roku pojechaliśmy na święta do moich rodziców, siedzieliśmy w ogrodzie na słońcu. Zawieźliśmy im święconkę, którą uprzednio zdezynfekowaliśmy, porozmawialiśmy, podumaliśmy. Bałam się wejść do nich do domu, żeby nie przywlec zarazy. Co się zmieniło przez ten rok?

Otóż kupiłam przenośne palenisko, żebyśmy nie zmarzli. I szwedzki ogień w sklepie z militariami – to taki pieńek z podpalką, który pali się w każdych warunkach i można na nim postawić garnek z zupą czy kociołek z zapiekanką, jak na kuchence polowej. Ma specjalne nacię-

cia i knot nasączony stearyną, dzięki któremu podpala się go od środka. Jeden pali się godzinę albo nieco dłużej. Sprawdza się na biwakach, na rybach, na plaży; w końcu człowiek był w harcerstwie, niejedno ognisko rozpałał i zdarzało mu się jeść pod gołym niebem. Nie sądziłam co prawda, że te umiejętności przydadzą mi się w Święta Wielkanocne, ale uznałam, że to złoty środek. Być z rodzicami, na szczęście zaszczepionymi, a jednocześnie trzymać się z daleka. Oczywiście wszyscy w maskach.

– A co, jak zacznie padać? – spytał trzeźwo mąż. Przeniesiemy się na taras. Palenisko jest wielką misą z uszami

stojącą na trójnogu. Ze szwedzkiego pieńka nie strzelają iskry, tylko tli się wolno. Poza tym będziemy wszystkiego pilnować.

SZTUKA UNIKANIA

Miałam nadzieję, że to, co się dzieje na świecie, jakoś po prostu przejdzie. Albo że jeśli wszyscy będziemy się pilnować i przestrzegać zasad tzw. dystansu społecznego, zaraza odpuści. A jeśli nie odpuści – że przynajmniej wszyscy już będziemy zaszczepieni. Nic takiego nie nastąpiło, a kolejna fala pandemii jest znacznie gorsza niż ta pierwsza, która

Fot. Shutterstock x3, archiwum autorki



Czerwone jajka

Ugotowane jajka studzimy, tłucemy skorupki i zanurzamy w zimnej wodzie na godzinę, żeby się lepiej obierały. Zdejmujemy je delikatnie i zalewamy jajka kwasem



buraczanym wzmocnionym odrobiną soku z czarnej porzeczki (najlepiej z domowych zapasów). Muszą tak poleżeć kilka godzin, potem je wyciągamy, osuszamy i smarujemy oliwą, żeby się ładnie błyszczały. Podajemy mażnięte majonezem



i posypane zieleniną. Mam na tę okazję na parapecie plantację gorczycy i rzeżuchy oraz nastawionego na młode listki słonecznika i pora. Oczywiście jajka można też posiekać i zrobić kolorowy wariant sałatki z ziemniakami, groszkiem i dymką.

Pasta z łososia

Świeżego łososia rozgniatamy widelcem z posiekaną i sparzoną cebulką (można ją wcześniej zamarynować w soku z cytryny), mieszamy, doprawiamy koprem i ciasno ubijamy w ozdobnym słoju. Podajemy razem z pokrojoną bagietką, opieczoną wcześniej w piekarniku.

Możemy też zrobić zawijasy w plastrach tortilli. Płaty ciasta smarujemy kremowym serkiem, nakładamy łososia i zwijamy.

Przystawki

Kroimy w poprzek i spinamy każdy kawałek wykałaczka.

Duszone pieczarki

Podsmażamy na patelni całe kapelusze na maśle, delikatnie oprószamy solą i podajemy solidnie posypane nacią pietruszki. Każdy może je sobie nadziewać na patyczek do szaszłyków.

Śliwki w boczk

Wędzone śliwki zawijamy w jak najchudszy podwędzony boczek i podsmażamy na patelni albo pieczemy na blasze. Gdy jeszcze jadłam mięso, było to moje ulubione danie. Śliwki idealnie pasują do boczku, zwłaszcza gdy ich sok podkarmelizuje się w tłuszczu.



Zielona frittata z kurkami

Bardzo pięknie wygląda, można ją jeść na ciepło i zimno, przewozić w pojemniku. Podsmażamy na maśle cebulkę i kurki, studzimy. Bierzymy szklankę posiekanego koperku, szczypiorku, natki pietruszki, rozmrożony zielony groszek, łyżeczkę zielonego pieprzu, trzy-cztery serki homogenizowane, osiem jaj, doprawiamy solą, pieprzem i z umiarem curry. Składniki mieszamy. Zapiekamy około pół godziny w ceramicznej formie posmarowanej masłem i posypanej bułką tartą. Gdy środek się uniesie, dobrze jest go nakuć, żeby wypuścił parę. Po 30 min posypujemy parmezanem i pieczemy jeszcze 10 min. Pozwalamy zapiekance stężeć. Kroimy dopiero, gdy wystygnie.

Kielbasa w konfiturze z cebuli

Poszatkuj 2 kg czerwonej cebuli, zeszklij na maśle klarowanym, dodaj paczkę dobrych rodzynek, na przykład sułtanek, dwie łyżki miodu, sól, pieprz i ocet balsamiczny do smaku. Oprósz tymiankiem i smaż jak normalne konfitury – przez kilka godzin na małym ogniu. Białą



Danie główne

kielbasę najpierw przekrój wzdłuż na połówki, podsmaż z majerankiem, a potem ułóż w węża w żaroodpornym naczyniu, przykryj konfiturą cebulową, a na wierzchu ułóż pokrojone w półksiężycy kwaskowate jabłko, najlepiej renetę. Częstki powinny na siebie zachodzić. Wstaw do nagrzanego na 140 st. piekarnika na mniej więcej godzinę. Możesz przewozić taką kielbasę i na miejscu znów podgrzać na szwedzkim ogniu. Pyszna z pieczonym ziemniakiem.

Chrzanówka

Ugotuj smak jak na żur, najlepiej na wywarze z białej kielbasy i podwędzonym chudym boczku, wsyp łyżeczkę ziaren kminku i trzy rozgniecione ząbki czosnku. Po godzinie wyjmij mięso, dodaj trzy-cztery łyżki chrzanu, wlej biały barszcz. Możesz



zabielić śmietaną lub zagęścić razową kaszą manną. Pogotuj jeszcze kilka minut, sprawdź smak. Boczek pokrój drobno, podsmaż na patelni razem z cebulką i dodaj do zupy. Na koniec posyp świeżo startym chrzanem. Podawaj z jajkami i osobno ugotowanymi ziemniakami lub w kubkach przy ognisku, do popicia kielbasy.

wydawała się rok temu dostatecznie złowroga.

Nie będziemy jednak rozpaczać, skoro jeszcze nas nie dopadło, to chyba znaczy, że nauczyliśmy się unikać kłopotów. Trzeba się po prostu dostosować do nowych okoliczności przyrody. Jak dobra roślina, bakterie czy – nie przymierzając – wirusy.

Przygotujemy się do wyprawy, zorganizujemy wszystko inaczej. Już

dawno temu kupiłam porządne styropianowe pudło, takie jak mają firmy cateringowe. Wożę w nim smakołyki do ciotki na wakacje, a wracam z ogórkami w słojach. Teraz załaduję do niego święcone. Nie będzie tego dużo, bo mamy mniejsze apetyty niż kiedyś. Trzeba też będzie troszkę zmienić tradycyjne menu, a rodzinną porcelanę zastąpić zamykanymi naczyniami, ale damy radę. Będziemy się cieszyć każdą spę-

dzoną razem minutą. Chociaż znowu zamiast się przytulić, będziemy sobie tylko ze smutkiem patrzeć w oczy.

KOŃCA ŚWIATA NIE BĘDZIE

Hitem imprezy będą w tym roku czerwone jaja, marynowane w soku z buraków i czarnej porzeczki. Wyglądają bosko, a smakują jeszcze lepiej. I są naszą rodzinną odpowiedzią na przysłowie,



Cebulowa polewka

Kilka ładnych dużych cebul pokrój w piórka i podsmaż na złoto na patelni. Przełóż do garnka i zalej bulionem warzywnym z odrobiną białego wina. Możesz ją zmiksować, ale ja lubię taką z cebulowymi płatkami. Dopraw solą i pieprzem, posyp pietruszką. Podawaj w grubych kubkach lub kokilkach. Dobrze smakuje z domowymi grzankami.



Deser

Szybkie tiramisu

Nasączamy mocną kawą dwie paczki podłużnych biszkoptów. Ja skrapiam ciastka ułożone na desce, a po kilku minutach delikatnie układam je w formie. Czas na krem – dwa opakowania mascarpone miksujemy z puszką gęstego słodzonego mleka skondensowanego. To wszystko. Smarujemy nim delikatnie pierwszą warstwę biszkoptów i posypujemy gorzkim kakao. Znow ukladamy ciastka, smarujemy i posypujemy. Jedną warstwę można przełożyć konfiturą z czarnej porzeczki albo wytrawną

z cytrusów – żeby nie było za słodko. Po kilku godzinach w lodówce, gdy ciasto się ustoi, a krojenie przestanie być problemem, podajemy. Jeśli jednak mamy ciasto wozic, najlepiej zrobić je dzień wcześniej w mniejszych pojemniczkach. Sam krem możesz też podawać z truskawkami – jest pyszny.



że „jeśli zabraknie czerwonych jajek, nastąpi koniec świata”.

Przestałam chodzić do dużych marketów, od wielu miesięcy kupuję u sąsiada, żeby wspierać lokalny biznes. W czasie pandemii odkrył w sobie talent do robienia wędlin. Piecze mięsa, wędzi ryby (dogadał się z jakimś gospodarstwem rybackim, które dowozi je do Warszawy na jakiś wypasiony bazar, ale po drodze skręca do nas i zostawia kilka

świeżych łososi, pstrągów, karmazynów – zazwyczaj trzeba się na nie zapisywać, bo koło godz. 9 wszystko jest wymieciowane ze sklepiku), robi sery. Zaczął nawet hodować kurki i kogutki, które budzą nas o świcie. Jajka będą więc swojskie, świeżutkie. Przed świętami byłam 60. na liście, tylu sąsiadów zamawiało tak jak ja. Schab pieczony i żur na wspaniałym swojskim boczku już zrobiłam i zamroziłam. Domową białą

kielbasę i szyneczkę dostanę w Wielki Piątek. Mam nadzieję, że sąsiedzkie kury wyrobią się i zniosą tyle jaj, ile potrzeba dla nas wszystkich.

My jak zawsze do koszyczka włożymy też przepiórcze. Nie trzeba ich malować, bo nakrapiane skorupki wyglądają ślicznie w święconce. A jak doskonale smakują sadzone – warto zrobić taką niespodziankę rodzinie.

Anna Monicka

Rwa kulszowa

*Tuż przy bramie
wejściowej zatrzymała
się pewnego jesiennego
przedpołudnia elegancko
przyodziana kobieta.
Poznał ją, gdy przed
laty należała do
najbardziej popularnych
spikerek telewizyjnych.
Piękna, typ rosyjski,
o przyjemnym ciepłym
tembrze głosu*



**KRZYSZTOF LOGAN
TOMASZEWSKI**

W przedwojennej części Konstancina, w białym jak kartka papieru budynku o tajemniczej nazwie CKR, mieści się kilkadziesiąt pokoi stworzonych z myślą o starości. Czym ona jest, wie tylko ten, komu dokuczają stawy, kręgosłup czy banalna zadyszka. Są tutaj gabinety lekarskie, sale z materacami i sprzętem do ćwiczeń z zakresu rehabilitacji oraz szpital z działem operacyjnym. Kriokomora, stółkówka i kawiarnia dopełniają resztę.

W labiryncie korytarzy od rana do wieczora drepczą gromadki starych ludzi. Suną pod ścianami o laskach, przesuwają się na kulach, z finezją przemieszczają się na inwalidzkich wózkach. Niejednemu z rehabilitujących się tu seniorów śni się

zapewne ogromna piłka, na której każą siadać lub leżąc na materacu, podciągając ją stopami do pośladków. Albo rowery stacjonarne, drabinki i lasery. Nie wspominając o linach zaopatrzonych w uszy, które młode rehabilitantki zakładają pod brodę albo na zgiętą w kolanie nogę. Każdy ramol ćwiczy do upadłego. Choć ledwo odrywa ją od ziemi – dobrze wie, że ruch i zabiegi z fizykoterapii są jedynym sposobem na przetrwanie. Starość walczy ze wszystkich sił, by przedłużyć swoje istnienie. Choćby o miesiąc, tydzień, godzinę. Czy można przekupić śmierć, aby zjawiała się po Bożym Narodzeniu? Uwieść ją, by zjawiała się później? Kolejne złudzenie! Ona zjawia się, kiedy zechce. Najczęściej przez zaskoczenie. Kiedy się tego nie spodziewasz.

Pensjonariusze to w większości ludzie wiekowi. Przypominają spróchniałe pochylone dęby. Przetrwali zawieruchę

wojenną, niejeden rząd, czasy pogardy, odzyskanej wolności. A następnie znów utraconej i wywalzonej ponownie. Bili się w powstaniu warszawskim. Atakowali Monte Cassino. Ginęli pod Włodawą i Kutnem. Jechali ranni na furach, nędznych szkapach, byle dostać się do Warszawy. Po zakończeniu wojny wychowywali dzieci na porządnym obywateli. Dawali im przykład, jak być chrześcijaninem. Mówili, że warto być uczciwym, kochać ojczyznę, bo jest jak matka, której trzeba bronić, opiekować się, wspierać na stare lata.

Lecz zjawiają się tutaj nie tylko seniorzy. Czasem pojawia się na korytarzu z kontuzją ścięgna Achillesa znany sportowiec albo gracz z tenisowym łokciem. Choć to wyjątki. Seniorzy są niby skorodowane auta, z przebitymi oponami, rozprutymi chłodnicami, które zalegają teren zwany skrótem. Tylko niekiedy odwiedza to złomowisko poszukiwacz jakiegś taniej, nadającej się





jeszcze do użytku części. Lecz człowiek to nie wysłużone auto. Nikt nie złoży go z powrotem, jak nowe. Starowinki i starcy podążają wolniutko do recepcji, ustawiają się w dwóch kolejkach, by zapisać się najpierw na badanie u lekarza, a gdy uzyskają upragnione skierowanie na ćwiczenia, wędrują ponownie do recepcji po termin i rozpisany plan przewidzianej rehabilitacji.

Ci ludzie miewają się parszywie. A jak można się czuć, kiedy przekroczyło się 65 lat i więcej, kiedy wszystko ci nawala: od żołądka po serce. Gdy od wieków leczysz nadciśnienie kilogramami proszków, a zwapniałe kości uniemożliwiają ci sprawne poruszanie się. Trzeba się z tym stanem oswoić, a nawet go polubić. O szalonej miłości do migreny, przerośniętej prostaty czy rwy kulszowej – nie ma mowy! Muszę pokochać moje by-passy i wszczepiane w światło naczynia stenty. W moich stareńkich kolanach funkcjonują plastikowe rzepki, a pod skórą tyka cichuteńko rozrusznik. Jak mus, to mus! Witaj starości – żegnaj młodości!

Tuż przy bramie wejściowej zatrzymała się pewnego jesiennego przedpołudnia elegancko przyodziana kobieta. Miała na sobie beżowy płaszcz z prawdziwej wełny, fioletowy berecik, z pod którego spływał kosmyk jasnych włosów, rysunek ślicznie wykrojonych ust i oczy – jeszcze głodne życia, ciekawe, ciągle zalotne. Mężczyzna, gdy jest wytrawnym znawcą urody kobiecej, od razu to dostrzeże i doceni. Przed laty była piękna, powabna jak zorza. Czuło się, że lubi seks, chciała, by ją uwodzić i sama uwodziła. Jakżeby inaczej. Poznał ją, gdy przed laty należała do najbardziej popularnych spikerów telewizyjnych. Piękna, typ rosyjski, o przyjemnym ciepłym tembrze głosu, zapowiadała dzienniki telewizyjne. Teraz nagle przystanęła przed furką obok opuszczonego szlabanu przy wjeździe dla aut, dostrzegła go, rozpoznała i przysunęła się na odległość nie większą niż kilka centymetrów. Wydawałoby się, że ich ciała przylgnęły do siebie. Przez moment – jak dawniej, w 1980 r.

– Zobacz, Krzysztofie, gdzie my się spotykamy? – powiedziała spontanicznie. – Tutaj, właśnie tu. Ty i ja.

Coś w nim zadrżało. Pomyślał: „Zatracona starucha i stary pryk spotykają

się na ostatnim rendez-vous”. Mieszkała niedaleko od niego. Za ledwie o dwie ulice i zakręt. Gdy zobaczył ją na spacerze kilka lat wcześniej, uśmiechnęła się zalotnie po dawnemu i powiedziała: – Może wpadniesz do mnie... na herbatę? „Herbatka we dwoje” – przemknęło mu przez głowę. Wszak była taka piosenka. Śliczny filmowy standard zaśpiewany w 1950 r. przez Doris Day, którego cover nagrał potem Tony Bennett.

Próbował się wymigać od jej zaproszenia. Uczynił to niezręcznie. Miał do dawnej kochanki głęboko skrywany żal. 40 lat temu był ciężko zakochany. Ta namiętność spalała go do cna, zatruchiwała mu duszę. Nigdy nie zapomnił kilku scen, które rozegrały się w jej mieszkaniu na Mokotowie. Prześladował go wspaniały łuk jej bioder, zapach skóry, niespieszne piesz-

**Czy można przekupić śmierć?
Uwieść ją, by zjawiła się
później? Kolejne złudzenie!
Ona zjawi się, kiedy zechce.
Najczęściej przez zaskoczenie**

czoty, przez lata nosił pod czaszką serię szaleńczych pocałunków, którymi obsypywał jej dorodne piersi. Wyjechali w góry. W Zakopanem spędzili tydzień. Zjechał parę razy na nartach w dolinie schroniska na Ornak. Ona obserwowała go z twarzą bez wyrazu. Wypili herbatę. Zrobili kilka zdjęć. W tle cały w śniegu patrzył na nich Kominiański Wierch. Wrócili do pensjonatu na obiad. Snuł po cichu małżeńskie plany, ale nie domyślała się tego. Wyczuwał w niej dozę niezależności, pewną narowistość, a nawet egoizm. Był zafascynowany nią jak młodzik, ślepy, głuchy, szalony. W końcu podjął decyzję. Rozwiódł się z żoną. To był nieudany związek, jak wiele następnych. Po latach pożałował swojej decyzji. Mężczyzną stał się dopiero 20 lat później. Gdy dojrzał. Kiedy nauczył się kierować rozsądkiem, nie zaś hormonami.

Ta druga scena była jak żywcem wyjęta z filmu. Przyjechał na Mokotów wieczorem. Wjechał windą na piętro, zadzwonił.

Cisza! Jeszcze raz, drugi i trzeci. W pewnej chwili przyłożył ucho do drzwi i usłyszał wyraźny męski głos.

W życiu nie widział bardziej ponętnej kobiety, pomyślał. Ta była jego trucizną. Piękną, podłą, obłudną kochanką, która potraktowała go jak rzecz. Gdy powracał zalamany do domu, przypominał sobie zdanie ciemnoskórej wokalistki Anity Baker: „Dzisiaj od mężczyzn wymaga się nie tylko, by potrafili zlokalizować clitoris, ale też, by wiedzieli, co zrobić, kiedy już ją znajdą”. Przez długi tydzień, który wydawał mu się rokiem, starał się wymazać ją z pamięci. Napisał krótki list i położył go na biurku. Ósmego dnia zjawiła się, jak gdyby nigdy nic. Zalotna, cała w welnach, w swoim małym toczku na głowie, z pod którego wyglądał jasny kosmyk. Próbowała swoich sztuczek, lecz sprawiła tyle, że nie poczuł nic.

Teraz szczebiotała jak sikorka, ale już nie było w niej dawnej pewności, raczej nieco maskowanej pokory i doza sztuczności. Coś wszak umarło i nawet wiedział co i z jakiej przyczyny.

– Na co chorujesz? – zapytała z przesadną troskliwością.

– Na to co zawsze. Łędzwie.

– A ja, mam rwę kulszową. Okropna rzecz, wiesz. Ból nie do opisanie.

– Tu ci pomogą, mają to w małym palcu.

– Może napiszesz coś o nas? – rzuciła na pożegnanie. Czasami cię czytam.

Siedem minut później, już tylko w swoim dresie, przyciągał ortopedyczną piłkę pod pośladek, a gdy to czynił, oczyma wyobraźni ujrzał piękną staruchę, gdy leży w trakcji na wyciągu. Czekala ją jeszcze specjalistyczna kąpiel, a potem masaż. Raz jeszcze sięgnął pamięcią do odległych czasów, które przeminęły cztery dekady temu. Wieczorami, przed miłością, udawała się do łazienki. Brała kąpiel z wonnymi olejkami, a potem dobiegały go długie, przeciągłe klaskanie skórzanego pasa, którym zmysłna maszyna masowała jej pupę. Po skończonym seansie wędrowali tam, gdzie jak dawno temu trafnie zauważyła Brigitte Bardot: „Spotkamy się prędzej czy później w nim wszyscy – w łóżku”.

Wracając autem do domu, zamyślił się. Czy na wszystko mamy wpływ? Bynajmniej. Zostają po nas pył i wieczny szum traw.

3 MIŁOŚCI

Postrewolucja

Trwa wojna z cywilizacją, która wyrasta z Objawienia. Jednym z najważniejszych momentów jej rozwoju było inspirowane Biblią zamknięcie ludzkiej aktywności seksualnej w małżeństwie. Oparcie struktury społecznej na monogamicznym płodnym małżeństwie zapewniło naszej cywilizacji światową dominację poprzez okiełznanie mocy seksu i zaprzęgnięcie jego energii do kreacji świata, jaki znamy.

W XVI w. rozpoczęto niszczenie instytucji małżeństwa opartego na sacrum. Zaczęło się od dzieła Lutra „O sprawach małżeńskich” z 1530 r., w którym zaprzeczył on jego nierozzerwalności. Mówiąc po części metaforycznie, laicyzację prawa małżeńskiego z teorii w praktykę przekształcił w 1534 r. Henryk VIII Tudor. Pełna desakralizacja instytucji małżeństwa nastąpiła w czasach rewolucji francuskiej, co znalazło odbicie w Kodeksie napoleońskim z 1804 r. Po różnych perypetiach w XX w. laicki system prawa małżeńskiego stał się na Zachodzie powszechny. Kolejnym krokiem prowadzącym do zaprzeczenia wyjątkowości małżeństwa łączącego mężczyznę i kobietę było zalegalizowanie 1 kwietnia 2001 r. „małżeństwa” homoseksualnego w Holandii.

Monogamiczne małżeństwo, rozumiane jako nierozzerwalny związek mężczyzny i kobiety, zmieniło świat. Dziś w wyniku tęczącej rewolucji płeć obiektu seksualnego znów przestała być problemem moralnym. Seks przestał budować relacje. Stał się po prostu pogańskim robieniem czegoś komuś.

Odrzucenie homoseksualizmu, poliamorii itp. stworzyło naszą cywilizację. Zrównanie związków homoseksualnych z małżeństwem oznacza jej upadek.

Po legalizacji „małżeństw” homoseksualnych kolejnym krokiem re-

wolucjonistów obyczajowych było przyznanie związkom jedнопłciowym prawa do adopcji dzieci. Dziś ma to miejsce w 27 krajach Zachodu. Jednak rewolucyjnego walca nic nie powstrzymuje, w 1984 r. powstały organizacje, które zaczęły walczyć o legalizację pedofilii.

Od 500 lat poprzez instytucjonalizację grzechu budowany jest na Zachodzie alternatywny porządek, który można nazwać bez cienia wątpliwości antycywilizacyjnym. W latach 70. XX w. powstał sieciowo zarządzany tęczyowy spisek, który nie ma jednej centrali, moderowany jest przez popkulturę i modę oraz poprzez zideologizowanych celebrytów. Są oni nieświadomi swojego sformatowania i niszczą dotychczasową ścieżkę semantyczną prowadzącą do socjalizacji oraz potęgują w ten sposób pogubienie kolejnych pokoleń.

Główne cele rewolucji zaprojektowane zostały przez filozofów postmodernistycznych. Ich idee przejęli rewolucjoniści '68 roku, tworząc dość precyzyjny scenariusz działań rozciągnięty w czasie zgodnie z taktyką salami. Filozofowie nie przewidzieli jednak, że władzę nad ideologią przejmie pieniądź. Postmoderniści poprzez dekonstrukcję rzeczywistości i prawdy chcieli rękami rewolucjonistów finalnie wprowadzić na świecie chaos. Jednak wbrew swoim intencjom doprowadzili do przejęcia władzy przez niejawne ośrodki realizujące swoje globalne interesy. Dzięki miliardom dolarów i euro potężni światowi gracze kierują tęczyowych, czerwonych i zielonych rewolucjonistów w pożądaną przez siebie stronę. Ideologia natomiast została wykorzystana do zamaskowania istnienia areopagów wpływu, które okazują się potężniejsze od mocarstw.

Łatwość, z jaką większość społeczeństw Zachodu poddała się dekon-



ROBERT TEKIELI

strukcji, wynika m.in. z braku powszechnej świadomości, iż rewolucyjne zmiany są zaplanowane. Przyczyną bezbronności ludzi ukształtowanych w obrębie naszej cywilizacji wobec rewolucji kulturowej jest niezrozumienie tego, że wymuszane przez ideologiczne lobby zmiany są celowym, dokładnie zaplanowanym działaniem. I tak nieistniejąca tęczyowa rewolucja powaliła Zachód na kolana.

Warto też pamiętać, że tęcza jest tylko jednym z kolorów rewolucyjnego sztandaru. Z cywilizacją opartą na wartościach uniwersalnych obok aktywistów ruchu LGBT ręka w rękę walczą bowiem od półwiecza propagatorzy neomaltuzjanizmu, beneficjenci przemysłu aborcyjnego oraz ekonomicznie uwarunkowani propagatorzy eutanazji, quasi-naukowcy uprawiający „filozofię” gender z dywizjami misjonarzy seksedukacji, radykalne feministki, ideologiczni ekolodzy, ludzie wyznający „religijny” wręcz wegetarianizm, adoratorzy wiary w multikulti i poprawność polityczną, apostołowie ideologii ocieplenia klimatu wywołanego przez człowieka oraz piewcy ezoterycznego i okultystycznego New Age.

Ta globalna postrewolucja nihilizmu przegra, bo jest oparta na błędzie antropologicznym i zaprzecza naturze świata. Kultura i natura nie dadzą się atakować bez końca.



WOJNA

CYWILIZACJI



Uznała jednak te pieniądze za ochłapy. Po 10 latach, w 1995 r., wnuk Gucciego został zastrzelony w Mediolanie. Po roku się okazało, że Patrizia Reggiani zleciła zabójstwo swojego męża. „Czarna wdowa” została skazana na 26 lat więzienia. Po 18 latach odsiadki w dalszym ciągu obarcza odpowiedzialnością za zbrodnię znajomą wróżkę, która „wtargnęła w jej myśli”.

Ponieważ do reżyserowania filmu zabrał się Ridley Scott, wiadomo, że nie dostaniemy do oglądania jakiejś kliwnej bajeczki z morderstwem w tle. Patrizię Reggiani gra jedna z najsłynniejszych gwiazd popu Lady Gaga. Jej męża kolejna gwiazda młodego pokolenia Adam Driver. Do tego dołączyła silna ekipa: Jared Leto, Al Pacino i Jeremy Irons. Premierę filmu zaplanowano na 24 listopada br. w USA.

Warte Wśród współczesnych formatów telewizyjnych, takich jak talent-show, teleturnieje, talk-show, seriale, reality-show, rekonstrukcje kryminalne, audycje o katastrofach lotniczych, programy o pielęgnacji ogrodów, o wojnach magazynowych i lombardach, moją największą sympatię wzbudzają filmy dokumentalne pokazujące krajobrazy całego świata z perspektywy drona. Teraz oglądam z zachwytem serię „Polska z góry” w Canal+. Same tytuły kolejnych odcinków pokazują, o czym mówię: „Warownie pogranicza”, „Biebrza”, „Od Wałbrzycha do Wrocławia”, „Zamki, dwory i pałace”. Dziesiątki podobnych produkcji znajdziemy w większości dużych telewizji na świecie. Pokazują one egzotyczne krainy, miejsca niedostępne dla zwykłego turysty, rozległe płaskowyże i doliny czy wielkie miasta i robią na mnie ogromne wrażenie. Potęga wielkich formacji krajobrazowych, rozmach, kolory – niektóre ujęcia są jak obrazy. Nieprawdopodobne faktury pól, abstrakcyjne wręcz kształty skał zerodowanych przez piaszkowe wiatry, dostojne kaniony, majestatyczne szczyty gór. Za tym pięknem natury bardzo łatwo zobaczyć rękę największego artysty wszech czasów – Boga. A cykl Canal+ pokazuje jeszcze jedną prawdę: Polska jest najpiękniejszym krajem świata.

Niewarte „Girl power w komediowej odsłonie. »Moxie« to idealny tytuł na feministyczny wieczór filmowy”. Tym cytatem mógłbym właściwie zakończyć pisanie tej notki. Wiemy przecież dobrze, że Netflix kilka lat temu, jak pisał kolorowe miesięczniki, „poważnie zaangażował się jako platforma w promowanie tolerancji, równości i feminizmu”. I robi to, dodajmy, z wdziękiem stachanowca. W „Moxie” mamy bowiem córkę anarchistki – nastolatkę walczącą o dobro wszystkich kobiet oraz tych złych, dyrektorkę szkoły i zadufanego w siebie gwiazdora szkolnej drużyny. Ta kolejna śmieciowa produkcja Netflixu pokazuje właściwie wyłącznie nadąsane nastolatki



Zobaczmy Powstaje film „House of Gucci”. Parę dni

temu opublikowano pierwsze zdjęcia z planu filmowego z głównymi aktorami. Fabuła ma opowiadać historię zbrodni związanej z domem mody Gucci. W 1985 r. prowadzący wtedy firmę Maurizio Gucci, wnuk jej założyciela, rozwiódł się z Patrizią Reggiani w atmosferze romansu i finansowych kłótni. Patrizia była ówczesną odpowiedniczką Paris Hilton i kiedyś przyznała z gracją, że „woli płakać w rolls-royse, niż być szczęśliwą na rowerze”. Po rozwodzie dostała alimenty w kwocie prawie miliona dolarów rocznie.



plotące feministyczne komunały i walczące z patriachatem, który obwiniają o całe zło na świecie. Jest to też film jakby z zamierzchłej epoki. Dziewczyna zaczyna bowiem kolportować w szkole anonimową gazetkę w kilkunastu egzemplarzach. W epoce mediów społecznościowych wygląda to na jakąś abstrakcję. Bohaterka wygłasza też kwestie w stylu „Będę szła z podniesioną głową”, a przedmiotem ataku w filmie jest „Wielki Gatsby” Francisca Scotta Fitzgeralda, co naprawdę trudno zrozumieć. Ale cóż, nie mam ambicji, by pojąć, co też dzieje się w głowach feministek.

Robert Tekieli
Polskie Radio



Ten bałagan w końcu ma sens



Internet

Peter Jackson testował to już kilkanaście lat temu, wypuszczając na rynek domowego kina kolejne reżyserskie wersje „Władcy Pierścieni” i „Hobbita”. Disney zupełnie bezczelnie wyciska ostatnie soki z mitologii „Star Wars”, choć robi to za pomocą nowych filmów, będących spin-offami głównej serii. Można się więc było spodziewać, że nowa wersja „Ligi Sprawiedliwości”, czyli filmu z 2017 r., jest jeszcze bardziej bezczelnym skokiem na kasę. Mimo całego ładunku komercyjnego wyrachowania widzę w tym filmie szczerść.

Tzw. Snyder Cut, czyli wersja Snydera, przez lata funkcjonowała jako swoiste yeti. Cztery lata temu „Liga Sprawiedliwości”, mająca być momentem przełomowym dla wciąż niemającego dogonić „Avengersów” uniwersum DC, poniosła sromotną porażkę. Krytycy nie zostawili na niej suchej nitki, podczas gdy kolejne filmy konkurencyjnego Marvela odnosiły też sukcesy artystyczne. Ja również bardzo krytykowałem „Ligę Sprawiedliwości”, która zaskakująco mocno odbiegała poziomem od dwóch poprzednich filmów Zacka Snydera „Człowiek ze stali” i „Batman vs Superman. Świt sprawiedliwości”. Nie była to wina Snydera. Choroba i śmierć córki zmusiły go do porzucenia filmu. Do jego dokończenia zatrudniono Jossę Whedona, który wcześniej wyreżyserował dwie części „Avengersów”, zanim serie przejęli bracia Russo. Wyszedł film pokraczny, bałaganiarski i zupełnie niezrozumiały nawet dla fanów DC. Ci bardzo szybko rozpoczęli więc bezprecedensową akcję, gdzie domagano się wypuszczenie reżyserskiej wersji filmu

Snydera. Ta nie istniała, ale obrosła odpowiednim mitem. Wytwórnia Warner Bros. była zasypywana dziesiątkami tysięcy e-maili, natomiast internetowa akcja #ReleaseTheSnyderCut wyszła poza bańkę fanów na tyle spektakularnie, że nawet obsada filmu w nią się zaangażowała. Fanów filmu wsparli m.in. Ben Affleck (Batman), Gal Gadot (Wonder Woman), Jason Momoa (Aquaman), Ray Fisher (Cyborg) i grający głównego wroga Ciarán Hinds (Steppenwolf). Również producent wykonawczy filmu i reżyser poprzedniej trylogii o Batmanie („Mroczny rycerz”) Christopher Nolan zachęcał Snydera do pracy nad reżyserską wersją. Warner Bros. się złamał. Dorzucił Snyderowi, uwaga, 70 mln dol. na dokrętki i dodatkowe efekty specjalne. Planowano zrobienie z tego czteroodcinkowego miniseriale. Ostatecznie na HBO Max trafił czterogodzinny film.

Wciąż pozostaje większym fanem produkcji Marvela, choć takie pojedyncze filmy jak „Ptaki nocy” czy „Wonder Woman” pokazały, że jest wielki potencjał, by w mroczniejszym i poważniejszym uniwersum DC pojawiły się wybitne produkcje. Czterogodzinna wersja Snydera pozuje na taki film. Ścięcie obrazu do formatu 4:3 może wydawać się pustym i napauszonym artystowskim zabiegiem, choć raczej ma na celu dopasowanie obrazu do mobilnych urządzeń. Powolny (różny od energetycznych czołówek Marvela) prolog z pojawiającymi się kolejnymi nazwiskami obsady (imponująca liczba gwiazd!) również ma stworzyć wrażenie obcowania z prawdziwie epickim dziełem. Czy tak jest w rzeczywistości? Wciąż jest w tym filmie sporo bałaganu i chaosu. A jednak ten bałagan paradoksalnie nabrał sensu. W końcu rozumiem intencje Snydera i potrafię się wczuć w jego mroczny, ale też kiczowaty świat. Lubię nolanowską trylogię (2005–2012) o Batmanie z Christianem Bale’em w głównej roli. Nie lubię okadzonego przez krytyków „Jokera” Todda Phillipsa. Oba światy były oderwane od komiksowego wymiaru uniwersum DC i szły w stronę realizmu. Moimi ukochanymi filmami DC są goetyckie Batmany Tima Burtona z lat 1990–1992. Snyder momentami potrafi wypracować podobnie magiczną atmosferę.

Jeden to inny element powoduje, że „kupilem” wizję Snydera, mimo męczących czterech godzin i pompatycznego przestylizowania. Cieszy mnie powrót do mitologii opartej na jasnym podziale walki dobra ze złem. Nie ma tutaj mrugnięć okiem do widza. Nie ma też moralnej transgresji rodem z „Deadpoola” ani balansowania na granicy autoparodii ze „Strażników galaktyki”. DC jest w końcu tym, czym było zawsze. Widać też, że wątek śmierci boga i jego zmartwychwstanie (w „Batman vs Superman” ten drugi poświęca się dla świata) jest w nowej wersji podszyty większą powagą i bólem reżysera, dedykującego zresztą film zmarłej córce. W finale pojawia się też niespodziewanie Joker o twarzy Jareda Lety. To odważna decyzja. Za rolę najważniejszego wroga Batmana w „Legionie samobójców” (2016) dostał on Złotą Malinę dla najgorszego aktora roku. Heath Ledger i Joaquin Phoenix za rolę Jokera dostali Oscary, Jack Nicholson przeszedł zaś z nią do historii kina. Leto twierdzi, że jego rola została pocięta przez producentów. Mamy więc aktorskie odkupienie? Możliwe, że tak, chociaż nowy film o Batmanie kręci już nie Snyder. Nie będzie nawet Bena Afflecka, którego zastąpił Robert Pattinson. Jest więc wersja Snydera pożegnaniem w kilku wymiarach. Możliwe, że jest to pożegnanie z serią samego Snydera. Warto tym bardziej pochylić się nad jego wizją.

„LIGA SPRAWIEDLIWOŚCI ZACKA SNYDERA” DOSTĘPNY NA HBO GO



Od bohatera do zera



Skoro jesteśmy już przy filmach komiksowych, to warto zwrócić uwagę, jak ich twórcy uciekają czasami w stronę kina bardziej ambitnego. Bracia Russo nakręcili najlepsze części „Avengersów” oraz filmy o Kapitanie Ameryce. A jednak zaczęli w kinie niezależnym, skąd pod koniec lat 90. wyciągnął ich jeden z ojców niezależnego kina Steven Soderbergh. Teraz wracają do poważniejszego repertuaru, choć mają na pokładzie znanego z roli Spidermana Toma Hollanda.

Nakręcony dla Apple TV „Cherry” jest oparty na książce Nica Walkera. Walker służył jako medyk podczas wojny w Iraku. Po powrocie cierpiał na syndrom stresu pourazowego (PTSD), który pchnął go w stronę uzależnienia od heroiny. Szybko zszedł na drogę przestępczą. Za napad na dwa banki w Cleveland został skazany na 11 lat więzienia. Wydana w 2018 r. książka jest fabularyzowaną wersją jego przeżyć. Książka jest wstrząsająca. A film? Bracia Russo zlepiają ze sobą elementy trzech gatunków filmowych. Mamy tutaj opowieść o PTSD, który w ostatnich latach pojawiał się w takich obrazach, jak „Bracia” Jima Sheridan, „Snajper” Clint Eastwooda czy „Da 5 Bloods” Spike’a Lee. Niemniej jednak ten temat jest od dawna ważną częścią kina wojennego od czasu „Łowcy jeleni” Cimina, przez „Powrót do domu” Ashby’ego, aż po „Urodzonego czwartego lipca” Stone’a.

Russo nie mówią nic nowego o syndromie stresu pourazowego – choć scena, w której główny bohater nie otrzymuje pomocy od zblazowanego psychiatry, przepisującego mu kolejne psychotropy, wpędzającego ostatecznie weterana wojennego w nałóg heroinowy – jest pouczająca.

Widać, że Russo, jak przystało na reżyserów „Avengers”, świetnie się czują w scenach akcji, więc realistyczne i energiczne ujęcia batalistyczne na irackiej pustyni robią

wrażenie. Do tego dochodzi opowieść o narkotykach. Sceny wpadania w nałóg zarówno tytułowego Cherry’ego, jak i jego ukochanej jeszcze z uniwersytetu Emily (Ciara Bravo) są obrazowe i dosłowne. Niemniej jednak nie zszokują widza wychowanego na „Trainspotting” Boyle’a czy „Requiem dla snu” Aronofskiego. O wiele ważniejsze od samego upodlenia narkotykowego jest pokazanie procesu zanurzania się w uzależnienie. Od tabletek i opioidów do brudnej strzykawki jest bardzo blisko. To wielki problem białej amerykańskiej biedoty, o czym kino też w ostatnich latach coraz głośniej mówi. „Elegia dla bidoków” Rona Howarda czy serial dokumentalny „Farmaceuta” mówią o tym dobitnie. Obie produkcje są dostępne na Netflixie.

Bracia Russo są efekciarzami, więc czerpią garściami od innych reżyserów. Łamią czwartą ścianę jak bohaterowie kina Scorsese’go i nawiązują do „Full Metal Jacket” Kubricka. Ilość ukłonów w stronę tego

pierwszego wygląda jak chęć przypodobania się mistrzowi, który przecież ostro swego czasu skrytykował kino o superbohaterach, odmawiając mu nawet prawa do bycia nazywanym kinem. Bracia Russo chcą usilnie dowieść w „Cherry”, że potrafią opowiadać o problemach społecznych oraz wojnie. To samo robi Tom Holland.

24-letni aktor zupełnie się fizycznie przeobraził do roli, zrywając z wizerunkiem nastolatka w kostiumie Spidermana. Holland jest moim zdaniem lepszy jako Człowiek Pajak niż Andrew Garfield i Tobey Maguire w poprzednich wersjach, ale tak samo jak oni próbuje wyjść z kostiumu, grając wyraziście sprzeczne ze swoim wizerunkiem role. Garfield stworzył przejmującą rolę w religijnych traktatach Scorsese’go („Milczenie”) i Gibsona („Przełęcz ocalonych”), Holland przed „Cherry” zagrał zaś odważną rolę w nihilistycznym „Diable wcielonym”. Na uwagę zasługuje w „Cherry” jeszcze jeden aktor. Michael Gandolini gra tutaj trzeci plan.



Internet



Ważne jednak, że wypada przyzwoicie, bo jest to syn śp. Jamesa Gandoliniego, czyli Tony’ego Soprano w legendarnym serialu HBO. W tym roku na tej platformie pojawi się film „The Many Saints of Newark”, będący prequelem „Rodziny Soprano”. Młodego Tony’ego gra właśnie Gandolini Jr. Dobrze wiedzieć, że ma talent godny przejęcia ikoniczną rolę po przedwcześnie zmarłym ojcu.

„CHERRY” DOSTĘPNY NA APPLE TV



Ten biznes to maraton. Jesteśmy gotowi do dalszego biegu

Marcin Chłodziński, prezes KGHM, w rozmowie z Michałem Karnowskim i Maciejem Woską („Gazeta Bankowa”) mówi, jak polski czempion radzi sobie z pandemią, o wciąż zmieniającym się rynku miedzi, o znaczeniu komunikacji z pracownikami, ale też o tym, dlaczego w branży wydobywczej ostatnie lata wyglądały jak rollercoaster

Panie prezesie – trzy ostatnie lata z mijających w tym roku 60 lat historii miedziowego giganta może pan zapisać jako początek strategii Chłodzińskiego. Na podstawie dotychczasowych wywiadów postawiłbym tezę, że to strategia oparta na rozpadzie i konsekwentne budowanie wartości spółki. Jakich określeń użyłby pan do opisanie czasu za

sterami największej polskiej spółki o zasięgu globalnym?

Marcin Chłodziński: Spokojny, konsekwentny rozwój – z pewnością, choć ostatnie trzy lata to był raczej rollercoaster. Rok 2020 był bardzo trudny ze względu na skutki pojawienia się pandemii. W naszym biznesie, który porównałbym do maratonu, trzeba mieć zdrowy organizm, zwłasz-

cza nogi. Mamy dłuższą perspektywę inwestycyjną i długą perspektywę, jeśli chodzi o zwrot z inwestycji. Nie zrobimy niczego „na jutro”. Żeby wydobywać miedź i inne surowce, trzeba planować inwestycje co najmniej siedem–osiem lat do przodu.

Wracając do rollercoastera – trzy lata temu założyliśmy w naszej strategii, że sytuacja na świecie będzie się

dynamicznie zmieniała. W ostatnim czasie mieliśmy przecież brexit, wojny handlowe USA-Chiny, nasilenie konfliktu z Iranem, ale też przyspieszenie w tzw. Green Deal. W związku z tym wszystkim w ubiegłym roku mieliśmy jedne z najniższych cen miedzi w ostatniej dekadzie. Cóż... to są wyzwania, których dostarcza nam rzeczywistość. I to dzień po dniu. Niektórzy oczekiwali po wyborach w Stanach Zjednoczonych uspokojenia relacji z Chinami, dziś widzimy, że trzeba się liczyć z powrotem sytuacji znanych z prezydentury Donalda Trumpa. To wszystko bezpośrednio wpływa na nasz biznes, ale KGHM jest gotowy do dalszego biegu w maratonie.

Skoro tyle się dzieje i wszystko tak szybko się zmienia, macie – jak rozumiem – jakieś wzorce, recepty, procedury pozwalające reagować.

Tak. Moja recepta to elastyczność i efektywność. Trzeba się szybko dostosować do sytuacji, w której się znaleźliśmy. Gdy przychodziłem do spółki, KGHM miał bardzo wysoki poziom zadłużenia związany z wcześniejszymi, kontrowersyjnymi inwestycjami zagranicznymi i równocześnie relatywnie niski poziom wydobycia, dość niską cenę i ogromne wyzwania związane z projektem chilijskim, Sierra Gorda. Dziś, używając sportowej analogii z maratonem, jesteśmy w takim momencie, że nogi są znów sprawne, zregenerowaliśmy się i biegniemy dalej. Poziom długu jest znacznie niższy, Sierra Gorda jest zdolna do własnego finansowania, zbliżamy się do parametrów uzyskania realnej wartości tej inwestycji i jesteśmy postrzegani jako stabilny partner, na którego sytuację kryzysy nie mają znaczącego wpływu. Jesteśmy jedną z trzech miedziowych firm na świecie, które – mimo kryzysu COVID-19 – nie zweryfikowały swoich planów produkcyjnych.

Zapowiada pan stworzenie długofalowej strategii firmy. Czy należy to łączyć bardziej z procesami Green

Deal, czy też firma potrzebuje nowego otwarcia – nowego impulsu rozwojowego?

Obecna perspektywa strategiczna jest rozpisana do 2023 r. – sprawdza się i daje efekty. Pojawiają się jednak nowe wyzwania, czeka nas ogromna transformacja energetyczna, związana z niskoemisyjnością, śladem węglowym. Do tego chcemy być gotowi, zarówno pod względem inwestycyjnym, jak i regulacyjnym.

Cel postawiony w strategii to własna produkcja energii na znacząco więk-

Górnictwo miedziowe nie może być zaliczone do pozostałych rodzajów górnictwa. Wydobywamy coś, co powoduje, że środowisko jest czystsze. Miedź i srebro to 75 proc. składników niezbędnych do prowadzenia procesu transformacji energetycznej – mówię o turbinach wiatrowych, o ogniwach fotowoltaicznych, o e-mobilności

szą skalę. Daliśmy sobie dziesięć lat na tę zmianę, poszukujemy najlepszych źródeł własnej zielonej energii. Trzeba pamiętać, że funkcjonujemy w zmieniających się normach środowiskowych. Dlatego szczególną wagę przywiązujemy do badań nad napędami elektrycznymi czy wodorowymi w górnictwie, testów wykorzystania technologii wodorowych w hutnictwie czy bioenergetyki. W niektórych z tych branż widzimy również przyszłe rynki dla KGHM. A więc to nie tylko dostosowanie się, lecz perspektywa rozwojowa dla firmy. To

projekty dla koncernu do niedawna dość egzotyczne – biotechnologia czy przeciwdrobnoustrojowe zastosowania stopów miedzi. Pandemia i zagrożenie śmiertelnie groźnymi drobnoustrojami to kwestie, które nas mocno dotknęły, ale są dla KGHM potencjalnymi biznesami rozwojowymi.

Wiemy, że KGHM współpracuje mocno ze środowiskiem naukowym, także w wątku związanym właśnie z pandemią. Nie sądzi pan, że w niemal 40-milionowym kraju, z ogromną tradycją uniwersytecką i naukową, powinniśmy lub moglibyśmy mieć własną szczepionkę?

To jest oczywiście w naszym zasięgu. Badaliśmy te wątki w kontekście biznesowym, ale trzeba rozdzielić sprawy związane z myślą technologiczną, wynalazczością, pracą naukowców i badaniami klinicznymi oraz ich kosztami. Kompetencje mamy – problem jest oczywiście ze zdolnością kapitałową. Przeprowadzenie trzech faz badań klinicznych to wydatek rzędu 400–500 mln dol. i stać na to tylko największe firmy farmaceutyczne na świecie. To jest blokada. W okresie transformacji polska gospodarka straciła potencjał farmaceutyczny i nasze podmioty nie mają zdolności kapitałowych, żeby przeprowadzić taki proces. Trzeci poziom to produkcja, która jest jak najbardziej możliwa, osiągalna dla polskich firm. Stąd podejmujemy działania, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo szczepionkowe w dłuższej perspektywie. Wygląda na to, że będziemy musieli się szczepić co pół roku, może corocznie, a zagrożenie nie zniknie. Dlatego nasze bezpieczeństwo wewnętrzne, także bezpieczeństwo w przedsiębiorstwie takim jak KGHM – to wyzwanie na lata.

KGHM działa na całym świecie. Koordynowaliście w jakiś sposób akcję związaną ze szczepieniem? Obserwujecie, jak ten proces przebiega nie tylko w Polsce, lecz także w Chile, Kanadzie...

Koordynowaliśmy działania związane z zarządzaniem bieżącą sytuacją zagrożenia epidemicznego, zgodnie z wytycznymi. Przyjęta w Polsce kolejność wiekowa szczepień sprawia, że dopiero teraz część naszych pracowników skorzysta z tej możliwości. Profilaktyka, procedury bezpieczeństwa, sposób reagowania na zagrożenie – to system, który wypracowaliśmy wspólnie z powołaną w KGHM Radą Medyczną. Stąd już na przełomie lutego i marca ubiegłego roku podjęliśmy na przykład decyzję o stworzeniu centralnego systemu termowizyjnego we wszystkich zakładach. Widzieliśmy potencjalne zagrożenia, więc robiliśmy wszystko, żeby wyprzedzić pewne zdarzenia, być krok przed epidemią. W Chile co miesiąc mamy kontrolę rządową, która potwierdza, czy firma może funkcjonować w tamtejszym reżimie sanitarnym. Przechodzimy ją na pięć z plusem.

To jak ocenilby pan działania podejmowane przez Polskę, także w kontekście akcji szczepionkowej.

Znam kraje, w których dopiero się zastanawiają, jak transportować szczepionkę. Choćby w Japonii są zdecydowanie „później”, za nami, jeśli chodzi o proces szczepienia. Na tle Europy również wypadamy dobrze. Zaszczepiliśmy więcej osób niż wiele innych krajów. Wszyscy, którzy idą na szczepienie, są pod wrażeniem organizacji punktów szczepień. Problemem są oczywiście dostawy wpływające na tempo tego procesu. To wywołuje frustrację, bo przecież miał to być bieg na sto metrów, a my wciąż biegniemy i biegniemy... I choć meta się zbliża, wciąż jest przed nami. Każdy ma prawo być już zmęczony nieprzewidywalnością przyszłości. To niewątpliwie wpływa na gospodarkę, a w dodatku każdy patrzy na wyniki ekonomiczne subiektywnie.

W Polsce, jeśli chodzi o poziom bezrobocia, PKB, o produkcję sprzedaną, handel – wychodzimy po pierwszym roku epidemii jako najmniej poobijana gospodarka w Unii Europejskiej. To pokazuje, że decyzje rządu, podejmowane przecież w wa-

runkach niepewności, były słuszne, a polskie firmy są elastyczne i potrafią działać także w zmiennych warunkach. Ale niezłe wskaźniki to dane obiektywizowane, które nie każdy chce przyjąć. Odczuwamy pandemię subiektywnie – z perspektywy swojego nastroju, emocji. A te nie są najlepsze.

Skoro nawiązał pan do wyników polskiej gospodarki na tle Unii Europejskiej – czy nadal musi pan tłumaczyć politykom w Brukseli, że KGHM ma kopalnie, ale to kopalnie miedzi i srebra? Czy europejski „zielony powiew” wpływa również na decyzje związane z inwestycjami miedziowego lidera?

Trzeba jeździć do Brukseli i tłumaczyć, czym jest polska gospodarka i co musimy uzyskać na poziomie regulacyjnym, żeby tę gospodarkę dalej tak dynamicznie rozwijać. Mamy w Brukseli swojego przedstawiciela, spotykamy się, rozmawiamy, uczestniczymy w kilku zespołach, współpracując z przedstawicielami przemysłu miedziowego ze Szwecji i z Niemiec. Mogę powiedzieć, że właśnie dzięki takiej współpracy Komisja Europejska wpisała nas w ubiegłym roku na listę zwolnień z opłaty mocowej. Dla nas to kilkadziesiąt milionów rocznie. Jak pan słusznie zauważył – górnictwo miedziowe nie może być zaliczone do pozostałych rodzajów górnictwa. Wydobywamy coś, co powoduje, że środowisko jest czystsze. Trzeba wiedzieć, że miedź i srebro to 75 proc. składników niezbędnych do prowadzenia procesu transformacji energetycznej – mówię o turbinach wiatrowych, o ogniach fotowoltaicznych, o e-mobilności. Jeśli świat, a szczególnie Europa nie skorzysta z naszej miedzi, kupią ją w Afryce i Chinach. A trzeba pamiętać, że tam ślad węglowy będący skutkiem przetworstwa metalu może być potencjalnie większy niż na Starym Kontynencie. To jeszcze wciąż musimy wyjaśniać, przypominać...

Językiem u wagi od lat w rozmowach na temat inwestycji KGHM jest Chile. Kopalnia Sierra Gorda odno-

towała na początku 2019 r. znaczny wzrost produkcji – mówiliśmy wtedy o przełamaniu chilijskiej kłątwy. Czy wyniki finansowe tej inwestycji uda się w końcu przemieścić z rubryki ze stratami do tej z zyskami?

W roku 2020 trend zdecydowanego zwiększania skali przerobu i produkcji utrzymaliśmy. Wprowadziliśmy też program optymalizacji kosztowych, który przyniósł ok. 100 mln dol. oszczędności, wdrażamy program rozwoju produktywności, który dał nam większą produkcję. Optymalizujemy dziś to, co mamy, bez ponoszenia nowych wydatków inwestycyjnych. Wartość tej firmy rośnie, więc energia i praca włożona w ten projekt dają efekty. Choć, tak jak mówiłem – w tym biznesie to długi proces, ale spotyka się już z dużym zainteresowaniem pozostałych uczestników rynku i branży. Pytają, co zrobiliśmy, kto prowadził te procesy – a to nasi ludzie, z Polski. Dziś nie jest to już projekt stwarzający jedynie wyzwania i wymagający transferów środków do Chile. W perspektywie widzimy już pieniądze, które mogą z Sierra Gordy wracać do Polski. Ale, podkreślam, to ciężka codzienna praca i całkowita zmiana sposobu zarządzania aktywnie. Nie możemy spocząć na laurach.

Miedź z KGHM jest w co ósmym smartfonie na świecie. Zakładając potężny skok technologiczny i popyt na elektronikę, licząc na korzystne warunki kursowe walut – możecie śmiało planować stabilne wyniki grupy i nowe inwestycje?

To daje widoki na to, że może być dobrze, ale zarządzanie tą obietnicą wymaga sporo zasobów i sił. Trendy, scenariusze rozwojowe pokazują, że popyt na miedź się zwiększy. Ale żeby się odnaleźć na rosnącym rynku, trzeba mieć zabezpieczone źródła, by móc wydobywać, być optymalnym kosztowo, żeby na tej produkcji zarabiać jak najwięcej i mieć dobrą cenę. Do tego dochodzą zmienne relacje geopolityczne, pandemia, zmiana cen – w pierwszym półroczu ubiegłego roku cena miedzi spadła do 4373 dol. za tonę!

Ale dziś rośnie do rekordowych poziomów. Może więc – jak mówią niektórzy – „wystarczy być”, a firma i tak będzie w dobrej sytuacji...

Nie możemy się już opierać na standardowych cyklach koniunkturalnych – są mocno zaburzone. Widzimy dobre parametry cenowe, dzięki temu możemy przejść do intensywniejszej fazy inwestycyjnej, wykonać więcej prac udostępniających nasze złoża. „Wystarczy być” nie wystarczy. Szczególnie w przemyśle. Może było to jeszcze do pomyślenia kilkanaście lat temu, gdy firma nie miała ogromnego długu, nie było takich wyzwań geologicznych – mieliśmy złoża z zawartością miedzi na poziomie 2 proc., teraz ciężko pracujemy nad osiągnięciem 1-1,2 proc. Nie było wyzwań związanych z jakością projektu zagranicznego – Sierra Gorda – który do tej pory zabierał nam pieniądze. Zawsze było to potężne przedsięwzięcie, ale my teraz dbamy o to, żeby gigant nie stał na glinianych nogach.

Jak ocenia pan wyzwania i szanse dla KGHM – naszego narodowego czempiona – i dla gospodarki, w której funkcjonujecie, w kontekście tworzonego planu rządu – Polskiego Nowego Ładu?

Założeniem Nowego Ładu jest optymalne wykorzystanie relatywnie dobrej sytuacji ekonomicznej, którą mamy w Polsce mimo koronawirusa. Warto w ramach celowanych działań inwestycyjnych nadgonić szybkiej dystans między Polską a krajami europejskimi, w których regres gospodarczy jest znacznie większy. Warto pamiętać, że już dziś wiele regionów w Polsce ma lepszy PKB per capita niż np. regiony włoskie.

Tylko że jest różnica w poziomie zgromadzonego kapitału, w zasobach...

Zgoda, ale przepaść wciąż się zmniejsza. Dynamika nam sprzyja, inni znacznie gorzej znieśli pierwszy rok pandemii. Ten kapitał jest też różny – we Włoszech, jest w domach, a nie w bankach. Nie możemy przecież ba-

gatelizować faktu repolonizacji polskich banków. To ma znaczenie dla skracania dystansu. Drugi poziom polskiego planu odbudowy to próba szybkiego nadgonienia tej różnicy przy jednoczesnej pełnej wrażliwości społecznej. Rząd dba nie tylko o parametry gospodarki. Patrzy na młodych i ich perspektywę, na starszych i ich dobrostan, na solidarność społeczną. To samo zresztą robimy w KGHM na skalę regionalną. Szczególnie w tych

Jesteśmy jedną z trzech miedziowych firm na świecie, które – mimo kryzysu COVID-19 – nie zweryfikowały swoich planów produkcyjnych

wyjątkowych czasach – wspieramy rodziny, pracujemy z rodzicami, prowadzimy programy terapii młodzieży, profilaktyki społecznej. Mamy jeden z najbardziej nowatorskich i przemysłowych systemów wsparcia rodziny w ujęciu korporacyjnym. Nowy Ład łączy sferę społeczną ze sferą gospodarczą. To dobry i – co ważne – wykonalny plan na najbliższy czas.

Należy pan do prezesów spółek skarbu państwa, którzy – choć może to tylko wrażenie – unikają medialnego rozgłosu. Może poza hałasem wywołanym przez część mediów związanym z transportem sprzętu ochronnego na początku pandemii w 2020 r. Nagle prezes KGHM, który włączył się w zorganizowanie pomocy, dostał się w sam środek politycznej naparzanek. Woli pan ciszę czy zwyczajnie ma pan dość problemów w KGHM i nie są panu potrzebne medialne strzelaniny?

Nie unikam mediów, wręcz przeciwnie. Transparentność jest dla mnie podstawą zaufania różnych grup interesariuszy. Mówię, co jest naszym sukcesem, jakie są wyzwania, choć

faktycznie wolę komunikować to, co już zrobiliśmy, zamiast przedstawiać obietnice. Podjąłem się intensywniej, otwartej i bezpośredniej komunikacji z pracownikami, co w czasie lockdownu, w czasie pandemii, jak wierzę, spotyka się z dobrym odbiorem. Bez wiedzy i edukacji tworzą się niepotrzebne plotki, legendy, teorie spiskowe. Infolinie dla pracowników, esemesy, plakaty, a nawet mobilne billboardy – wykorzystaliśmy każdą możliwość, żeby dotrzeć z informacją.

Mówię pracownikom, gdzie jesteśmy, wyjaśniając im, gdzie wygrywamy, gdzie przełamaliśmy złe trendy, bo najgorszy w takiej złożonej organizacji, jaką jest KGHM, jest niedobór informacji. Załoga musi znać skalę zagrożeń i ich istotę, mieć pewność, że na te zagrożenia odpowiadamy.

Na początku pandemii, kiedy wszyscy poszukiwali środków ochronnych, każdy pracownik dostał pakiet zawierający maseczki oraz płyn do dezynfekcji i mógł zabrać to do domu, zadbać też o rodzinę. To naprawdę był ważny i jasny przekaz: jesteśmy razem. Wprost komunikowaliśmy w ubiegłym roku, że bijemy się o miejsca pracy, że jeśli wydobyć spadnie, jeśli będzie dużo zwolnień lekarskich, jeśli nie podporządkujemy się wszyscy reżimowi sanitarnemu – a nie było u nas dużej skali zachorowań – to być może trzeba będzie zamknąć zakład górniczy na tydzień, dwa, wstrzymać wydobyć... I straty będą bezpowrotne. Pracownicy widzą też, że odnosimy sukcesy.

Oczywiście walczę, gdy nasze zespoły, ludzie, którzy podjęli się ciężkiej pracy, są niesprawiedliwie atakowani. Zobowiązany jestem do tego, żeby bronić firmy i ludzi, jeśli są szkalowani. Tak było w przypadku wsparcia budowy szpitali tymczasowych, zapewnienia środków ochrony czy produkcji płynów do dezynfekcji. To był nakaz etyczny, zachowaliśmy się tak, jak należy się w takich sytuacjach zachować – pomagamy i wspieramy otoczenie. Jeśli potem pojawiają się niesprawiedliwe ataki, to bronię ludzi, którzy dali krew w słusznej sprawie. Tak działam.



Od początku działania Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu PGNiG odebrało już ponad 120 ładunków

Coraz więcej dostaw LNG do Polski

Już nie jeden, ale dwa, a nawet trzy ładunki. Tyle metanowców zawija każdego miesiąca do Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Przywożą gaz ziemny dla PGNiG, które dzięki niemu wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne Polski i zmniejsza zależność naszego kraju od rosyjskiego gazu

W czerwcu tego roku minie pięć lat od pierwszej komercyjnej dostawy skroplonego gazu ziemnego dla PGNiG do gazoportu w Świnoujściu. W całym 2016 r. udział LNG w strukturze importu wyniósł wtedy zaledwie 8 proc., za to gazu rosyjskiego – niemal 90 proc. To oznaczało, że prawie cały gaz sprowadzany z zagranicy pochodził ze Wschodu. Po pięciu latach sytuacja wygląda już zupełnie inaczej. Udział gazu z kierunku wschodniego zmalał do ok. 60 proc. Natomiast w całości importowanego do Polski gazu przez PGNiG skroplony gaz stanowi już ponad jedną czwartą.

– W ubiegłym roku przekroczyliśmy liczbę stu ładunków LNG sprowadzonych do Polski. W samym roku 2020 odebraliśmy aż 35 dostaw, o cztery więcej niż rok wcześniej. Oprócz kierunku amerykańskiego, katarskiego i norweskiego pojawiły się nowe – kupiliśmy LNG pochodzące z Trynidadu i Tobago oraz Nigerii. W pierwszym kwartale tego roku mamy już za sobą siedem dostaw, a następne miesiące przyniosą zwiększenie ich częstotliwości. W drugim i trzecim kwartale planujemy odbiór łącznie około 15 ładunków – powiedział Paweł Majewski, prezes zarządu PGNiG.

Konsekwentna polityka dywersyfikacji dostaw gazu dla Polski została zauważona m.in. przez branżę finansową. W lutym agencja ratingowa Fitch utrzymała dla PGNiG ocenę BBB z perspektywą stabilną, zwracając właśnie uwagę na zdywersyfikowany portfel kontraktów, który daje elastyczność finansową.

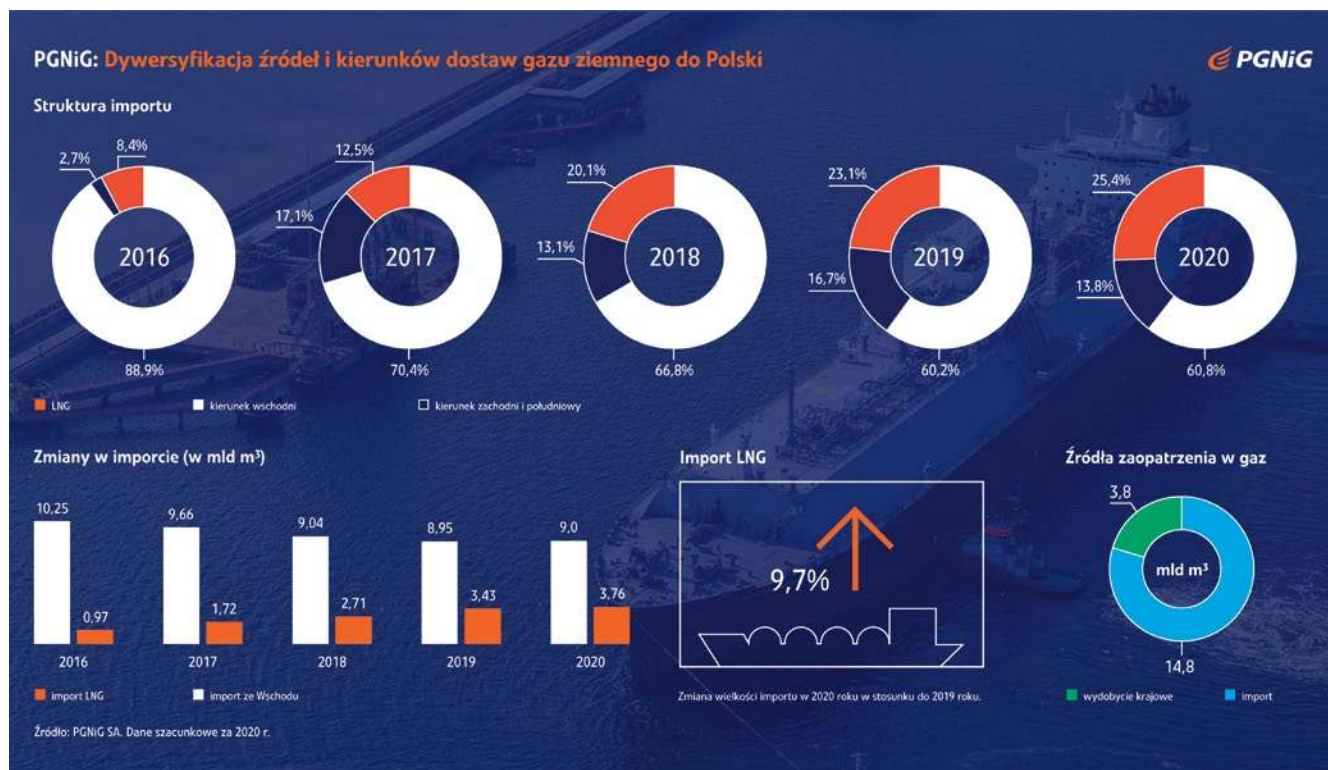
Zmiany w imporcie są wyraźne. W 2020 r. PGNiG sprowadziło do Polski ok. 3,76 mld m sześć. skroplonego gazu ziemnego – o 9,7 proc. więcej niż rok wcześniej. Co prawda import z Rosji, ok. 9 mld m sześć., pozostał na poziomie zbliżonym do tego z 2019 r., ale możliwości dalszego zmniejszania dostaw z tego kierunku są ograniczone. – Obowiązuje nas formuła „take or pay” zawarta w kontrakcie jamalskim wiążącym PGNiG jeszcze do końca 2022 r. – przypomina prezes PGNiG. To znaczy, że zgodnie z zapisami kontraktu jamalskiego PGNiG musi odebrać z Rosji minimalny roczny wolumen gazu.

Kontrakty na dostawę amerykańskiego gazu ziemnego zostały przez PGNiG podpisane z trzema różnymi eksporterami z USA: Cheniere, spółką Port Arthur LNG należącą do grupy Sempra Energy oraz ze spółkami Venture Global LNG. Kontrakt z Cheniere jest już od dwóch lat realizowany. Następne wejdą w fazę realizacji w ciągu najbliższych dwóch-trzech lat. Niektóre oparte są na handlowej zasadzie free-on-board. Oznacza to, że nabywca odpowiedzialny jest za odbiór LNG z terminalu skraplającego, transport gazu do docelowego portu i rozładunek. Takie rozwiązanie daje dużą elastyczność, umożliwia PGNiG skierowanie ładunku LNG nie tylko do Polski, lecz do

dowolnego terminalu regazyfikacyjnego. W ten sposób spółka może aktywnie włączyć się w globalny handel LNG, odsprzedając nadwyżki zainteresowanym odbiorcom. Aby jednak było to możliwe, PGNiG musi dysponować odpowiednimi mocami transportowymi. W ubiegłym roku spółka PGNiG Supply & Trading rozstrzygnęła przetarg na 10-letni wynajem dwóch gazowców, które będą transportować skroplony gaz zakupiony przez PGNiG od amerykańskich producentów. Nowoczesne jednostki wejdą do użytku w 2023 r.

Po 2022 r. w strukturze importu PGNiG pojawi się kierunek norweski związany z importem gazu ziemnego poprzez Baltic Pipe. W kolejnych latach wyraźniej rosnąć będzie także import LNG w związku z rozbudową terminalu w Świnoujściu. Po rozpoczęciu dostaw z wszystkich kontraktów długoterminowych na zakup LNG z Ameryki PGNiG będzie corocznie dysponowało portfelem ok. 9,3 mld m sześć. gazu. Dodatkowo, w dalszym ciągu będą realizowane dostawy LNG z Kataru.

Import LNG, planowane rozpoczęcie sprowadzania gazu ziemnego gazociągami z Norwegii, a także krajowe wydobycie własne to trzy filary, na których PGNiG buduje bezpieczeństwo energetyczne Polski, zapewniając stałe i niezakłócone dostawy gazu ziemnego. Jego zużycie będzie w kolejnych latach w Polsce rosnąć, a docelowo, przez najbliższe kilka dekad, będzie stanowił paliwo przejściowe dla krajowej gospodarki, ułatwiające transformację energetyczną w kierunku odnawialnych źródeł energii.



Nowy Ład już działa w wielu koncernach międzynarodowych

Ma być zdrowo, cyfrowo i bogato – tak w chyba największym możliwym skrócie można przedstawić założenia Polskiego Nowego Ładu na podstawie pierwszych przecieków na temat tego programu rozwojowego Prawa i Sprawiedliwości. O odbudowie gospodarczej w warunkach postpandemicznych dyskutowano w redakcji portalu wGospodarce.pl. Pytanie brzmiało: Polski Nowy Ład a inwestycje globalnych koncernów – dlaczego potrzebujemy inwestorów? Na jakich inwestycjach zagranicznych partnerów zależy Polsce i jak je przyciągnąć?



Mimo trudnej sytuacji wciąż trzeba mieć nadzieję, że wojna z wirusem zostanie wygrana, a przynajmniej do takich refleksji skłaniają przykłady takich państw jak Izrael, gdzie wyjątkowo sprawny i szybko przeprowadzany proces szczepień już przyniósł znakomite rezultaty, a zdjęcia ulic i barów pełnych zdrowych uśmiechniętych ludzi budzą zazdrość w innych krajach świata.

NEW DEAL

Tymczasem, by z doświadczenia kryzysu pandemii wyciągnąć coś więcej niż tylko próby odtworzenia rzeczywistości sprzed pamiętnego 2020 r.,

należy dobrze zaplanować odbudowę gospodarki w warunkach jej pełnego otwarcia. Każdy kryzys może być bowiem ogromną szansą rozwojową, zwłaszcza dla kraju takiego jak Polska, przed którym wciąż stoi wiele wyzwań modernizacyjnych. W tym kontekście przywołanie nazwy amerykańskiego programu New Deal, który był impulsem do późniejszego rozwoju USA po Wielkim Kryzysie lat 1929–1933, wydaje się dobrym wzorcem.

Czy jednak wyjaśniając założenia Polskiego Nowego Ładu, musimy się odwoływać do okresu sprzed 90 lat? Czy nie uda się znaleźć przykładów skutecznej modernizacji, która łączyłaby w sobie elementy podkreślone

w Nowym Ładzie, ale miałyby bardziej nowoczesny rodowód i dzięki temu byłyby bardziej zrozumiałe dla współczesnego Polaka? Analizując wiele różnych zmian, jakie w ostatniej dekadzie przeszły poszczególne branże, najbardziej trafnym przykładem wydaje się sektor... tytoniowy.

PO PIERWSZE, MNIEJ SZKODZIĆ

Choć liczba palaczy na świecie i w Polsce stopniowo maleje, dzieje się to jednak w niezadowalającym tempie. Wielu palaczy jest w stanie rzucić papierosa z dnia na dzień, ale wielu nie radzi sobie z nałogiem albo nie chce rzucać. Uzależnienie od nikotyny jest uznane

za jednostkę chorobową, która – jak każda inna – wymaga leczenia i opieki zdrowotnej. Jednak nawet pomimo podejmowanych wielokrotnie przez palaczy prób rzucania palenia oraz dostępie do rozmaitych preparatów nikotynozastępczych czy leków wspierających wychodzenie z tego szkodliwego nałogu, wielu palaczy do palenia wraca. Jedno jest pewne: w ostatnich dekadach badania medyczne rozwiąły wszelkie wątpliwości na temat bezwzględnej szkodliwości palenia papierosów oraz udokumentowały tragiczne skutki wdychania dymu tytoniowego zarówno dla samych palaczy, jak i osób narażonych na tzw. bierne palenie.

Widząc ten stan rzeczy, niektóre koncerny tytoniowe postawiły przed sobą wyzwanie: czy można opracować produkty, które ograniczałyby szkodliwość wynikającą z palenia papierosów? Philip Morris International był pierwszą firmą tytoniową na świecie, która postawiła przed sobą jasny cel: wycofać się z produkcji papierosów na rzecz potencjalnie mniej szkodliwych produktów dla palaczy. Jak takie produkty stworzyć? Dzięki nowym technologiom i badaniom naukowym, w które firma zainwestowała już krocie. Sama firma swój cel określa jasno – jest nim „przyszłość bez dymu tytoniowego”. Jej osi są produkty, które nie spalają tytoniu i nie wydzielają przez to dymu papierosowego. Znacznie zmniejszają dzięki temu liczbę szkodliwych substancji przyjmowanych przez palacza, co w rezultacie może prowadzić do ograniczenia u palaczy ryzyka związanego z dalszym paleniem papierosów. Amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) oceniła ostatnio jeden z takich produktów firmy PMI – podgrzewacz tytoniu IQOS – jako zasadniczo różny od papierosów. FDA przekonuje, że zmiana nawyków amerykańskich palaczy rozumiana jako całkowite przejście z palenia tytoniu na jego podgrzewanie w takim urządzeniu byłaby „właściwa dla promocji zdrowia publicznego” i mogłaby przynieść korzyść w skali całej populacji. W przypadku branży, która dotąd w ogóle nie kojarzyła się z innowacjami naukowymi, ta decyzja ma charakter bezprecedensowy.

Niektóre firmy tytoniowe dołączyły zatem do wyścigu technologicznego i zaczęły podążać w nowym kierunku: ograniczania szkód wyrządzonych paleniem tytoniu. Warto o tym przypominać właśnie w kontekście Nowego Ładu, który akcentuje konieczność zwiększania nakładów na opiekę zdrowotną z jednoczesną rewolucją technologiczną w postaci cyfryzacji oraz implementacją do gospodarki najnowszych technologii. Wszystkie te założenia możemy znaleźć w doświadczeniach będących udziałem niektórych firm z branży tytoniowej w ostatnich latach, które wdrożyły wiele najnowszych technologii właśnie po to, by ograniczać szkodliwość samego nałogu wśród tych, którzy nie mogą sobie z nim poradzić lub nie chcą z niego wyjść.

O zmianach modernizacyjnych, jakie zachodzą w branży tytoniowej, opowiadał na łamach portalu wGospodarcie.pl Michał Mierzejewski, dyrektor zarządzający Philip Morris Polska i kraje bałtyckie. Warto przytoczyć ten opis:

„Transformację, w oparciu o nowe technologie, przechodzimy aktualnie jako Philip Morris International. Wygaszamy produkcję papierosów. Wycofaliśmy dotąd z globalnego rynku ponad 114 mld sztuk papierosów oraz innych produktów tytoniowych do palenia. Wykreśliśmy z naszego portfolio łącznie ok. 700 wariantów papierosów. Stajemy się firmą produkującą technologie poparte badaniami naukowymi. Od niemal dekady rozwijamy nasze portfolio produktów o profilu obniżonego ryzyka i szkodliwości w porównaniu z papierosami. Mamy już na koncie ponad 5,8 tys. patentów za nasze innowacje – i zainwestowaliśmy w ich rozwój przeszło 8 mld dol.”.

ZIELONA ENERGIA

Omawiając przypadek technologiczno-naukowej modernizacji w koncernie PMI, warto zauważyć także, że oprócz potencjalnych zysków populacyjnych, jakie niewątpliwie wiąże się z odejściem od tradycyjnych papierosów na rzecz innowacyjnych produktów, w których nie powstaje dym papierosowy, firma wdraża także transformację energetyczną. To także jeden z filarów Nowego

Ładu, w którym położono nacisk na zieloną transformację naszego kraju. Jak to robią we wspomnianym koncernie?

– Do 2025 r. wszystkie fabryki Philip Morris International będą korzystać wyłącznie z zielonej energii, a do 2030 r. będą miały zerowy ślad węglowy. Zielona transformacja to wyzwanie, które nabiera bardzo realnych kształtów – mówił portalowi wGospodarcie.pl Bartosz Kurek, menedżer ds. public affairs w Philip Morris Polska Distribution.

Analizując założenia Polskiego Nowego Ładu, warto się posiłkować przykładem koncernu PMI także dlatego, że to właśnie Polska została wybrana na miejsce działania centrum finansowego firmy w Europie. PMI Service Center Europe sp. z o.o. mieści się w Krakowie i jest europejskim centrum usług, które świadczy wyspecjalizowane usługi finansowe, zakupowe i informatyczne oraz zapewnia wsparcie z zakresu zarządzania zespołami pracowników swoim spółkom zależnym w ponad 60 krajach w Europie, na Bliskim Wschodzie oraz w Afryce. Wielu pracowników PMI SCE w Krakowie pochodzi z różnych części świata: reprezentują około 25 narodowości i posługują się ponad 20 językami.

– Tę nową tożsamość biznesową Philip Morris International budujemy wspólnie z naszymi polskimi partnerami, którzy modernizują i rozwijają się razem z nami. Nad Wisłą współpracujemy z prawie 2 tys. firm, głównie z sektora MŚP. Często jesteśmy dla nich trampoliną do dużego biznesu, którego gwarantem jest nasza obecność na ponad 180 rynkach – dodał Michał Mierzejewski.

Analizując założenia Polskiego Nowego Ładu, który z pewnością będzie przedmiotem wielu opracowań w najbliższym czasie, warto wyszukiwać przykłady takich inwestycji zagranicznych w Polsce, które wpiszą się w jego założenia. Innowacyjność, troska o środowisko, troska o zdrowie Polaków i jednocześnie szeroka współpraca z mniejszymi rodzimymi podmiotami biznesowymi powinny być kluczowymi wyróżnikami pożądanych inwestycji zagranicznych w naszym kraju.

(bart)

Podążamy za polskim biznesem

Czas rosnącego zainteresowania polskich eksporterów ekspansją w ramach Unii Europejskiej był tym momentem, kiedy dwie koncepcje biznesowe: jedna – eksportowa polskiego biznesu, i druga – obecności PKO BP w regionie, doskonale się zazębiły – mówi **Maks Kraczkowski**, wiceprezes PKO Banku Polskiego, w rozmowie ze Stanisławem Koczotem („Gazeta Bankowa”)

Pozrywane łańcuchy dostaw w Europie, wąskie gardła, a z drugiej strony polski eksport kwitnie. Nasza gospodarka stała się eksporterem netto usług, staje się też eksporterem netto towarów. Według szacunków nadwyżka w handlu zagranicznym Polski w całym 2020 r. sięgnęła aż 6,9 proc. PKB. Wyniki są i rewelacyjne, i rekordowe. Dlaczego w okresie pandemii tak dobrze powodzi się naszemu eksportowi?

Maks Kraczkowski: Polscy przedsiębiorcy wpisali się w oczekiwania naszych głównych kontrahentów handlowych, przede wszystkim z Unii Europejskiej. Byliśmy w stanie przeorganizować swoje biznesy, żeby wypełnić przestrzeń powstałą po zerwaniu łańcuchów dostaw, jednocześnie zachowując konkurencyjne ceny i doskonałą jakość. Świadczą o tym wyniki eksportu za rok 2020, które paradoksalnie dały polskim przedsiębiorcom powód do satysfakcji.

Co z tej eksportowej ofensywy wynika dla polskiej gospodarki?

Ta rosnąca liczba naszych przedsiębiorstw eksportujących swoje towary i usługi będzie pozwalała na poszukiwanie kolejnych rynków zbytu, na nawiązywanie nowych relacji handlowych, być może również na dywersyfikację kontaktów handlowych. Oczywiście to przede wszystkim Unia Europejska jest dla Polski rynkiem naturalnie przyjaznym. Wspólne prawodawstwo, ułatwione procedury realizacji płatności, bezpieczeństwo obrotu sprzyjają temu, byśmy koncentrowali swoją uwagę na Unii. Musimy jednak pamiętać o tym, że przyjazność środowiska ma wpływ na dużą konkurencyjność, co przekłada się na istotnie odczuwalną przez biznes walkę o marże.

Dlatego warto szukać nowych rynków.

Polski biznes ma taką możliwość. Dzięki transformacji cyfrowej,

przetarciu szlaków, zwiększeniu skali działalności biznesowej jest w stanie budować swój potencjał do tego, by wychodzić na kolejne rynki, gdzie być może – z punktu widzenia polityki marżowej – zrealizuje większe zyski. Dobre wyniki polskich eksporterów dają jeszcze jeden pozytywny sygnał: pokazują, że wychodzimy obronną ręką z kryzysu, dodatkowo zwiększając swój potencjał w handlu zagranicznym. To, że w czasie perturbacji związanych z koronawirusem polscy przedsiębiorcy byli w stanie utrzymać relacje handlowe, a nawet zwiększyć skalę swojej działalności na terytorium europejskim, świadczy o zdolności polskich przedsiębiorstw do adaptacji do nowych warunków.

Dywersyfikacja eksportu, gdyby udało się ją zrealizować, byłaby dobrym sygnałem dla gospodarki. Około trzech czwartych naszego eksportu trafia przecież na rynki unijne. Jak nasze bardzo dobre wyniki w handlu zagranicznym mogą się przełożyć na poszukiwanie i na wejście na nowe rynki, poza Europą?

Na pewno będą miały one duży wpływ, gdyż udowadniamy, że jesteśmy solidnym partnerem biznesowym państw Unii Europejskiej. Zdobywamy kolejne rynki i nawiązujemy nowe relacje gospodarcze.

PKO Bank Polski koncentruje się jednak na Europie. Dlaczego wybrali państwo akurat ten kierunek? Które kraje są już w kręgu zainteresowań PKO BP, a które za chwilę się w nim pojawią?



PKO Bank Polski jest już obecny na rynku niemieckim, gdzie ma swój oddział korporacyjny we Frankfurcie od 2015 r. Jesteśmy w Czechach z oddziałem korporacyjnym w Pradze. Działamy na rynku korporacyjnym także na Słowacji, przez oddział w Bratysławie. Ważnym aktywnym w naszej grupie kapitałowej jest Kredobank na Ukrainie, którego jesteśmy 100-procentowym właścicielem. Należy on do pierwszej dziesiątki ukraińskich banków detalicznych, szybko zwiększa swój potencjał na rynku korporacyjnym. W ciągu ostatnich tygodni uzyskaliśmy zgody korporacyjne na rozpoczęcie działalności w kolejnym oddziale zagranicznym – w Rumunii. Uruchamiamy oddział w Bukareszcie.

Co o tym zadecydowało?

Analiza biznesowa potrzeb naszych klientów, a także dane makroekonomiczne. Uruchomienie oddziału w Niemczech było oczywiście konsekwencją mocnych relacji handlowych Polski z tym rynkiem, ale także wymiany handlowej w drugą stronę, czyli importem niemieckich towarów do naszego kraju. Według danych

Podążamy za polskim biznesem. Jesteśmy otwarci na jego potrzeby na tych rynkach, na których już rozpoczął swoją aktywność i oczekuje naszej fizycznej obecności

GUS kolejne miejsce w wymianie handlowej zajmują Czechy, gdzie również jesteśmy obecni.

Wysokie miejsce w eksporcie zajmowała też Wielka Brytania. W zeszłym roku była trzecia, choć w pierwszym kwartale tego roku spadła niżej...

No właśnie, jej pozycja się zmienia. Zamieszanie związane z brexitem skutkowało tym, że wycofaliśmy się z projektu postawienia oddziału dla korporacji w Wielkiej Brytanii. Brałmy pod uwagę również działalność w postaci przedstawicielstwa (representative office), jednak zrezygnowaliśmy i poddaliśmy analizie kolejne

rynki. Zwróciliśmy uwagę na Słowację. Okazało się, że duża część polskich przedsiębiorstw zaangażowanych biznesowo na terenie Czech funkcjonowała również na Słowacji. I tam otworzyliśmy kolejny oddział.

Teraz przyszła pora na Rumunię...

Tak. Analiza makroekonomiczna doprowadziła nas do potrzeby wyboru pomiędzy kilkoma rynkami europejskimi. Prognozy ekonomiczne PKO BP oraz MFW dotyczące wzrostu PKB Rumunii na lata 2021–2023 są optymistyczne, wskazują na dynamikę przekraczającą 4 proc. Jeżeli chodzi o liczbę inwestycji realizowanych przez polski biznes, liczbę zatrudnionych pracowników czy – szerzej – kwestie związane z wymianą handlową, dla nas najatrakcyjniejszy okazał się kierunek rumuński. Ostatecznie, analizując portfolio oddziałów słowackiego, niemieckiego i czeskiego, prowadząc ankietę wśród naszych klientów, badając możliwości kooperacji banku z naszymi klientami, podjęliśmy decyzję o wyborze Rumunii.

Kiedy rozpocznie się działalność operacyjna w Bukareszcie?

W ciągu 12–14 miesięcy. Tyle czasu potrzebujemy, by rozpocząć świadczenie usług w Rumunii, korzystając z mechanizmu paszportu europejskiego.

Kolejny oddział, kolejny zagraniczny rynek... Czy taka strategia się sprawdza? Czy sprawdziła się w ostatnim, pandemicznym roku, trudnym i wyjątkowym?

Tak, wystarczy spojrzeć na cyfry. Zarówno we Frankfurcie, jak i w Pradze bank przekroczył w 2020 r. zakładane poziomy sprzedaży, dochodowości, jak również liczby pozyskanych klientów w tych jednostkach. Wszystkie dotychczas uruchomione oddziały zagraniczne realizują wyniki większe niż zakładane w projektowanym modelu biznesowym i oczywiście jesteśmy na tym etapie zadowoleni z ich wyników finansowych. To pokazuje, że strategia PKO BP, skoncentrowana na rozwoju sieci oddziałów w regionie, okazała się strzałem w dziesiątkę. Czas rosnącego zainteresowania polskich eksporterów ekspansją w ramach Unii Europejskiej był tym momentem, kiedy dwie koncepcje biznesowe: jedna – eksportowa polskiego biznesu, i druga – obecności PKO BP w regionie, doskonale się zązębiły.

PKO BP funkcjonuje na rynkach zagranicznych nie tylko za pośrednictwem oddziałów w Niemczech, Czechach, na Słowacji, Ukrainie i w niedalekiej przyszłości w Rumunii. Polski biznes jest obecny w wielu krajach na całym świecie. W jaki sposób PKO BP z nim współpracuje?

Globalnie jesteśmy aktywni poprzez nasz correspondent banking. Dzięki niemu nie musimy być obecni fizycznie w Indiach, Chinach, Japonii czy w innych państwach świata, żeby realizować biznes z naszymi klientami i wspierać ich w codziennych relacjach handlowych. Mamy wymienionych ponad 1,3 tys. kluczy SWIFT z bankami na całym świecie. Zwykle są to silne banki regionalne. Oprócz tego nasza sieć correspondent bankingu obejmuje 240 rachunków uruchomionych

w PKO Banku Polskim przez banki międzynarodowe. Zapewnia nam to pozycję numer jeden w Polsce w correspondent bankingu. Mamy globalnie bardzo silne relacje, dające możliwość realizacji transakcji praktycznie na całym świecie. Jesteśmy również globalnie obecni, jeżeli chodzi o ofertę dla biznesu, poprzez tabelę walut. Mamy w niej 23 waluty, w których można w każdym momencie, korzystając z naszej sieci banków korespondentów, dokonywać transferu środków.

W Rumunii inwestują takie firmy, jak Forte Meble, Vox, Asseco, Can-Pack, Atlas, CCC, Amica, Maspe, Ciech, PKP Cargo, Cersanit... Jak ważny jest to rynek dla polskiego biznesu?

Nasza strategia opiera się na rozwoju międzynarodowym, jednak w kontekście regionalnym. Dbamy o to, by nasza obecność na rynkach zagranicznych generowała zysk dla klientów i akcjonariuszy

Na pewno jest bardzo istotny z punktu widzenia lokowania bezpośrednich polskich inwestycji. Rumunia to duży, niemal 20-milionowy, dobry rynek eksportowy na południowym wschodzie Europy, stabilny i przewidywalny, działający w strukturach Unii Europejskiej. W połączeniu z obiecującymi danymi dotyczącymi rozwoju gospodarki tego kraju jest to dobry moment na wejście tam PKO Banku Polskiego. Podążamy za polskim biznesem. Jesteśmy otwarci na jego potrzeby na tych rynkach, na których już rozpoczął swoją aktywność i oczekuje naszej fizycznej obecności. Jest nam o tyle łatwiej, że mając już silną pozycję w regionie, jesteśmy często zapraszani do współpracy przez różne polskie firmy.

Czy to znaczy, że kiedy aktywność polskiego biznesu w jakimś kraju osiąga pewien punkt krytyczny, obecność polskiego banku staje się tam konieczna? Czy tak było w przypadku Rumunii?

Tak. Na pewno nasza obecność staje się w takich okolicznościach mile widziana. Zwłaszcza dla firm, które funkcjonują na rynkach pokrywających się z obecnością PKO BP. Dlaczego? Bo współpraca z nami pozwala na skorzystanie z wielu wygodnych rozwiązań, takich jak m.in. natychmiastowe przelewy pomiędzy rachunkami Banku PKO BP w tych krajach, caspooling międzynarodowy, dający możliwość elastycznego i efektywnego zarządzania płynnością grupy, czy SEPA Direct Debit, która daje dostęp do wszystkich korzyści wynikających z Jednolitego Obszaru Płatności w Euro.

Czy inne kraje w Europie osiągnęły taki wysoki poziom nasycenia polskim biznesem, że wchodzi w krąg zainteresowań PKO BP?

Nasza strategia opiera się na rozwoju międzynarodowym, jednak w kontekście regionalnym. Dbamy o to, by nasza obecność na rynkach zagranicznych generowała zysk dla klientów i akcjonariuszy. Rozwój międzynarodowy banku podporządkowany jest z jednej strony potrzebom klientów, a z drugiej – uwzględnia dochodowość inwestycji. Kierując się takimi przesłankami, dokonaliśmy wyboru Rumunii, choć mieliśmy na liście kilka różnych destynacji.

Czy pojawią się kolejne kandydatury?

Nie wykluczam tego, jednak jestem zwolennikiem zasady prowadzenia międzynarodowej ekspansji banku w sposób uporządkowany. Najpierw trzeba postawić pierwszy krok, a dopiero potem drugi. Całkiem możliwe, że w połowie drogi, gdy będziemy uruchamiać oddział rumuński, przeanalizujemy kolejne możliwości założenia następnego oddziału korporacyjnego w regionie.



Jeśli:

- n** „Niedziela” jest dla Ciebie ważna,
 - n** „Niedziela” odgrywa istotną rolę w Twoim życiu,
 - n** chcesz podzielić się swoimi wspomnieniami z naszym tygodnikiem,
 - n** chcesz złożyć nam urodzinowe życzenia,
- napisz do nas.***



Tygodnik Katolicki „Niedziela”,
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa, z dopiskiem **URODZINY**
lub przez formularz na stronie: www.niedziela.pl/95lat



NAJCIĘKAWSZE LISTY ZOSTANĄ OPUBLIKOWANE
NA ŁAMACH „NIEDZIELI” ORAZ NA PORTALU NIEDZIELA.PL



Powtórzyć historię sukcesu

Najważniejsze wydarzenie gospodarcze tej wiosny za nami. Przedstawiciele administracji, samorządów, liderzy biznesu i eksperci dyskutowali o tym, jak przybliżyć Polskę do Dalekiego Wschodu i jak, korzystając z azjatyckich doświadczeń, powtórzyć u nas historię sukcesów, w które obfituje najdynamiczniej rozwijający się dziś region świata. Patronem honorowym Forum Polska-Azja „Zbliżenia” 2021 był premier Mateusz Morawiecki, a także ministerstwa Aktywów Państwowych, Infrastruktury oraz Rolnictwa i Rozwoju Wsi



GAZETA BANKOWA
wGospodarce.pl



Dwa dni niezwykle bogatych rozmów, sześć paneli, skonstruowanych tak, by dyskusje biegły od ogółu do konkretnych projektów, i mnóstwo cennych wniosków – takie było, przeprowadzone w całości w internecie, forum poświęcone nowemu wymiarowi polsko-dalekowschodnich relacji gospodarczych. Organizatorem wydarzenia była „Gazeta Bankowa”, najstarszy polski magazyn o tematyce ekonomicznej, i portal wGospodarce.pl.

ZDROWE INWESTYCJE

Strategicznym aspektem współpracy gospodarczej Polski z państwami azjatyckimi poświęcona była debata otwierająca wydarzenie. Jej skład zapewnił spojrzenie na problem z wielu różnych punktów widzenia. Wojciech Krawczyk z Ministerstwa Aktywów Państwowych podkreślał rolę współpracy i dobrego, spokojnego dialogu między państwem i biznesem.

Sonia Buchholtz z Konfederacji Lewiatan wskazywała obszary, które w tych relacjach należy pilnie naprawić. Izabela Olszewska, członek zarządu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, analizowała relacje z kluczowymi państwami Dalekiego Wschodu w kontekście rozwoju polskiego rynku kapitałowego, ceniony publicysta (w przeszłości doradca Goldman Sachs czy Royal Bank of Canada) Jerzy Bielewicz wskazywał zaś na kontekst polityczny zachodzących w ostatnich miesiącach procesów gospodarczych.

– Bez względu na obszar, o którym mówimy, stoimy obecnie przed ogromnymi wyzwaniami w związku z pandemią COVID-19. Są one zbyt duże, by poradzić sobie z nimi samodzielnie. Punkty widzenia różnych krajów, kultur i organizacji mogą wzbogacić debatę, a przez to pomóc nam zbliżyć się do dobrych rozwiązań. W kontekście ochrony zdrowia będzie to oczywiście szybszy dostęp polskich pacjentów do lepszego leczenia – mówiła Nienke Feenstra, general manager firmy Takeda Polska.

Pytana o oczekiwane otoczenie dla zagranicznych inwestycji szefowa japońskiej firmy biofarmaceutycznej podkreślała rolę edukacji pracowników i przewidywalności otoczenia biznesowego.

– Chcemy być przy stole, aby wspólnie zaprojektować zrównoważone rozwiązania dla wyzwań terapeutycznych, najlepiej zaś – ogólnie, dla wyzwań zdrowotnych. Uważam, że wykorzystanie wiedzy, którą wynosimy z innych krajów, może rzeczywiście przynieść korzyści polskim pacjentom i zapewnić im leczenie zgodne z wytycznymi – mówiła Feenstra.

WSPÓŁPRACA PO PANDEMII

Dyskusja o tym, jak we współpracy z azjatyckim biznesem i przy wykorzystaniu know-how z Dalekiego Wschodu budować polski system ochrony zdrowia po pandemii, była kontynuowana podczas kolejnego panelu, w którym wzięli udział dr n. med. Radosław Sierpiński, prezes Agencji Badań Medycznych i pełnomocnik premiera ds. rozwoju sektora biotechnologicznego i niezależności Polski w zakresie produktów krwiopochodnych, prezes Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych Michał Kuczmierowski oraz członek specjalnego zespołu doradców ministra zdrowia dr Andrzej Zapaśnik, prezes Polskiej Fundacji Opieki Zintegrowanej. Biznes reprezentowali Tomasz Korkosz z Takedy i dr Mariusz Sudół, dyrektor operacyjny Hitachi Europe Ltd.

Kierujący najważniejszą w najnowszej historii Polski operacją logistyczną prezes RARS Michał Kuczmierowski podkreślał konieczność pilnego dojścia do pełnego bezpieczeństwa Polski w kwestii dostępności leków i środków ochrony osobistej. Logiczną drogą jest tu budowanie kompetencji poprzez partnerstwo, także oczywiście z firmami azjatyckimi.

– Taka płynie fundamentalna nauka z tego kryzysu, że najlepiej liczyć na siebie samych i zaufanych partnerów. Chodzi o to, by lokować moce produkcyjne w naszym kraju, tworzyć zaplecze, laboratoria, prowadzić badania medyczne – mówił Kuczmierowski.

Tomasz Korkosz przypomniał, że Takeda zaprezentowała nieco inne podejście do COVID-19 niż firmy uczestniczące w wyścigu po szczepionkę.

– My skupiliśmy się przede wszystkim na znalezieniu leku na covid, który byłby produkowany z osocza. Aktualnie odbywa się już badanie kliniczne na ostatnim etapie rozwoju, są już pierwsze sygnały, że jest to lek skuteczny i bezpieczny. Byłby to ogromny przełom terapeutyczny. Będziemy to mogli potwierdzić prawdopodobnie w kwietniu – powiedział. – W obszarze wykorzystywania osocza Takeda jest jednym z globalnych liderów i z pewnością mamy coś do zaoferowania

w kontekście budowy fabryki osocza w Polsce. Widzimy, że polski rząd traktuje tę sprawę bardzo poważnie, czego dowodzi powołanie do nadzoru nad projektem dr. Radosława Sierpińskiego – dodał Korkosz.

Pełnomocnik premiera ds. rozwoju sektora biotechnologii odpowiada za unikatowy w skali Europy Środkowej projekt Warsaw Health Innovation Hub. Radosław Sierpiński zapowiedział, że oparte na modelu partnerstwa publiczno-prywatnego przedsięwzięcie ruszy już w maju tego roku.

– Zadaniem WHIH będzie kierowanie dużych strumieni środków dla firm opracowujących i wdrażających rozwiązania innowacyjne, na których wszyscy skorzystamy. Projekt startuje już w maju. Mam nadzieję, że stanie się on zalążkiem czegoś, co będziemy mogli nazwać „polską doliną medyczną” – podkreślił dr Sierpiński. – Wypada tu podkreślić, że rynki azjatyckie są pod wieloma względami dla nas wzorcowe, zwłaszcza jeśli chodzi o innowacyjność. Takie podmioty jak choćby Takeda są więc naturalnymi partnerami dla nas przy realizacji omawianych przedsięwzięć. Jednym z nich jest właśnie fabryka osocza, gdzie kompetencje takich graczy jak Takeda są nieocenione – dodał pełnomocnik premiera.



PRZED ROZMOWĄ PREMIERÓW

W przeddzień ważnej rozmowy premiera Mateusza Morawieckiego z szefem japońskiego rządu Yoshihide Sugą odbyła się debata poświęcona polsko-japońskim relacjom gospodarczym. Uczestniczyli w niej prezes Banku Gospodarstwa Krajowego Beata Daszyńska-Muzycka, ambasador Japonii Miyajima Akio, wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński, reprezentujący Japońską Organizację Handlu Zagranicznego JETRO Mikihiro Shimizu, dyrektor ds. korporacyjnych i komunikacji firmy JTI Adrian Jabłoński oraz Tomasz Słoniewski z Accenture.

Małaszewicze – nazywane „Nową Gdynią” – były ważnym tematem kolejnego panelu, poświęconego w całości problematyce infrastruktury, transportu i logistyki

– W tej chwili w Polsce jest realizowanych przez japońskich inwestorów blisko 40 projektów – mówił wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński. Według niego przyszłe partnerstwo może dotyczyć tak kluczowych kwestii jak budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego, polskiego auta elektrycznego czy też wykorzystania japońskich technologii w energetyce jądrowej.

Ambasador Miyajima Akio podkreślał, że Japonia jest liderem regionu Azji Południowo-Wschodniej. – To jest nasz atut w stosunkach z każdym europejskim krajem. Dzięki współpracy bilateralnej z nami Polska może w tym wielkim azjatyckim rynku partycypować – powiedział Akio.

Jednym z inwestorów jest choćby japońska grupa JTI. – Od 2008 r. grupa zainwestowała w Polsce ponad 1 mld dol. Nasze fabryki w Polsce są w tej chwili największym centrum produkcyjnym JTI na świecie, wyroby stąd trafiają na ponad 70 rynków – mówił w czasie panelu dyrektor ds. korporacyjnych i komunikacji firmy JTI Adrian Jabłoński.

W kontekście kluczowego dla regionu projektu Trójmorza relacje polsko-japońskie umieściła z kolei Beata Daszyńska-Muzycka, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego. – Trójmorze otwiera przed Japonią wiele nowych możliwości inwestycyjnych, jak np. Fundusz Trójmorza. Nadadzą one nowy wymiar naszej współpracy – przekonywała.

POLSKA WSCHODNIA NA DALEKIM WSCHODZIE

Drugi dzień forum otworzył panel poświęcony regionalnemu wymiarowi współpracy z Dalekim Wschodem. Wzięli w nim udział samorządowcy z Lubelszczyzny i południowego Podlasia: marszałek województwa lubelskiego Jarosław Stawiarski, wicestarosta

białski Janusz Skólimowski i burmistrz Terespoła Jacek Danieluk. Wielką gospodarkę reprezentował prezes Cargotoru Andrzej Sokolewicz, małych przedsiębiorców z regionu zaś Tomasz Paszkowski z TP Logis. Eksperckim głosem dyskusję – w naturalny sposób zdominowaną tematyką transportu i logistyki – uzupełniał Bartosz Kaczmarek z Fundacji Republikańskiej.

Jarosław Stawiarski nie ukrywał, że Lubelszczyzna bardzo liczy na ożywienie relacji gospodarczych z Chinami. – Możemy być wielką bramą tzw. jedwabnego szlaku. Transport kolejowy zaczyna konkurować z transportem morskim. Nasze położenie jest ogromną szansą – mówił Stawiarski.

– Małaszewicze to nie tylko brama do Europy dla Chin, to także nasza brama do tamtejszych rynków – dodawał prowadzący projekt budowy potężnego suchego portu przy granicy z Białorusią Andrzej Sokolewicz. – To jest nasze dobro narodowe, szansa, której wcześniejsze pokolenia nie miały. Nasz rząd doskonale to rozumie, stąd działania mające zbudować nową infrastrukturę.

Na wielkich inwestycjach infrastrukturalnych skorzystają także lokalni przedsiębiorcy i pracownicy. Budowa Via Carpatia i autostrady A-2 pociąga za sobą mniejsze, ale kluczowe z punktu widzenia mieszkańców, inwestycje w Terespolu i innych miejscowościach regionu. To także szansa dla firm, które będą je na miejscu realizować, i dobra praca dla mieszkańców.

– Brześć uciekł nam pod kątę logistycznym, przejął dużo pracy od nas. Ale w końcu doczekaliśmy się czasów, że ktoś poszedł porozum do głowy. Wreszcie będziemy mieli szansę przejąć część obszarów, które dziś obsługują inni. Mamy zmódnizowany tabor i flotę, możemy być najlepsi w Europie. Na Zachodzie to widzą i bardzo się nas boją – mówił Tomasz Paszkowski.

W TRANSPORTOWEJ SIECI

Małaszewicze – nazywane „Nową Gdynią” – były ważnym tematem kolejnego panelu, dotyczącego w całości problematyki infrastruktury, transportu i logistyki. W fascynującej dyskusji poświęconej także Centralnemu Portowi Komunikacyjnemu, rozbudowie portów morskich i gigantycznym projektom drogowym z Via Carpatia na czele uczestniczyli wiceminister infrastruktury Rafał Weber, pełnomocnik rządu ds. CPK Marcin Hoła, poseł Kacper Płażyński, prezes PKP Cargo Czesław Warszewicz, prezes Portu Gdańsk Łukasz Greinke oraz Bartosz Baca, ekspert PSME i partner w BBSG.

– Małaszewicze to jedno z najistotniejszych miejsc na mapie nowego jedwabnego szlaku. W 2020 r. wymiana handlowa między Chinami a Europą wzrosła o 65 proc. To pokazuje skalę możliwej ekspansji, a właśnie przez Małaszewicze przejeżdża 95 proc. tych ładunków. Podjęliśmy działania, by zwiększyć zdolność przeładunkową 3–4-krotnie w najbliższych latach – przypominał Czesław Warszewicz.

– Musimy zastawić sieci w postaci najnowocześniejszej infrastruktury, tak aby gestorzy ładunków chcieli wykorzystywać nasze porty. Do tego potrzebujemy całej pajęczyny infrastrukturalnej. Mówię na przykład o połączeniu portów morskich z Małaszewiczami, ale także z ukraińską Odessą, tak by przechwycić te ładunki, które przyjeżdżają do Polski koleją, a póź-

niej trafiają do Skandynawii czy na rynek brytyjski. Zróbmy wszystko, żeby trafiały tam przez nasze, polskie, porty. Już dziś skala inwestycji w infrastrukturę portową jest ogromna, z czego się bardzo cieszymy. Nie poprzestajemy na tym i realizujemy kolejne projekty – powiedział Łukasz Greinke. Prezes Portu Gdańsk podkreślał także, że w warunkach ostrej konkurencji między państwami rozwój logistyki wymaga koordynacji, dobrego otoczenia prawnego i odpowiedniej współpracy z organami administracji celno-skarbowej.

O kluczowej roli rozbudowy portów przekonywał także poseł Kacper Płażyński, wskazując przy okazji, że państwa aspirujące do ważnych miejsc w morskim łańcuchu dostaw muszą zadbać o bezpieczeństwo infrastruktury. – Dlatego bardzo się cieszę, że został przyjęty program modernizacji Marynarki Wojennej. To zresztą jednocześnie szansa dla polskich stoczní – mówił Płażyński.

Odpowiadający z ramienia rządu za budowę CPK (doradcą strategicznym jest tu koreańskie Incheon International Airport) wiceminister Marcin Horała zwrócił uwagę, że projekt ten daje nam wreszcie szansę na uzyskanie „renty z położenia”. – CPK jest jednym z najważniejszych elementów nowego systemu komunikacyjnego. Nasze położenie geograficzne może być wreszcie wielką szansą bez względu na to, czy zwycięży koncepcja USA, oparta na szlakach morskich, czy Chin, a więc wzrostu znaczenia szlaków lądowych – mówił Horała.

– Warto podkreślić rolę, jaką odgrywają wielkie inwestycje publiczne w infrastrukturę w momencie, kiedy bronimy się przed kryzysem gospodarczym wywołanym przez pandemię. Inwestycje te ciągle napędzają naszą gospodarkę i dają stabilność setkom przedsiębiorców zatrudnionych przy ich realizacji – zauważył z kolei wiceminister Rafał Weber.

PODOBÓJ

Czy polskie firmy i produkty mają szansę podbić azjatyckie rynki? Którędy biegnie droga do tego sukcesu? Jaką misję ma tu do spełnienia państwo – to niektóre z pytań, na które odpowiadali uczestnicy zamykającego forum panelu poświęconego polskiej ekspansji na Dalekim Wschodzie: Ryszard

Bartosik, sekretarz stanu w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Krzysztof Senger, dyrektor zarządzający BGK, Robert Perkowski, wiceprezes zarządu ds. operacyjnych PGNiG, Aleksandra Jankowska, wiceprezes zarządu Lotos Oil, oraz ekspert Fundacji Republikańskiej Piotr Sosnowski.

CPK jest jednym z najważniejszych elementów nowego systemu komunikacyjnego, a nasze położenie geograficzne może być wielką szansą budowy nowej sieci logistycznej

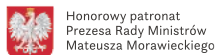
Aby próbować zrównoważyć niekorzystny dziś dla Polski bilans handlowy z Azją, trzeba stawiać na produkty, których nie ma nikt inny. Przykład? Polska żywność, znana na tamtejszych rynkach z doskonałej jakości, ekologicznych metod produkcji i stosunkowo niskiej ceny.

– Nieustannie staramy się niwelować bariery w handlu z Azją. W ofercie asortymentowej znajdują się np. drób, mleko, ryby, ale także wyroby cukiernicze. W ostatnim czasie odnotowaliśmy dwukrotny wzrost sprzedaży m.in. w obrocie z Singapurem. Liczymy także na otwarcie rynku chińskiego – mówił wiceminister Ryszard Bartosik, dodając, że do głównych odbiorców polskiej żywności w Azji należą Chiny, Hongkong, Korea, Wietnam czy Japonia.

(wrób)

Zapis wideo z paneli dyskusyjnych dostępny będzie na portalu wGospodarce.pl już w poniedziałek, 29 marca. Obszerne relacje z debat także w majowym wydaniu „Gazety Bankowej”.

PATRONI
HONOROWI:



PARTNER
GŁÓWNY:



PARTNERZY
WSPOMAGAJĄCY:



PARTNERZY
DEBAT:



WIELKANOCNE WYPIEKI

Kołacze, sękacze i słodkie chlebki



Sposób wypiekania ciasta na różnie znany jest od średniowiecza. Na tereny obecnej Polski przywędrował od zachodnich sąsiadów. Ponoć pierwsze sękacze upieczono na Suwalszczyźnie w Berżnikach. W ten sposób powitano odwiedzającą te rejony królową Bonę. Dziś po oryginalne wersje słynnego smakołyku z różną jeździ się na Suwalszczyznę do Sejna, a za podlaskie zagłębie sękaczy uznawana jest Huszcza.

Sękacz, choć świetnie wpisuje się w estetykę wielkanocnego stołu, sprawdzi się nie tylko w czasie wiosennych świąt. To szerzej postrzegany przysmak okolicznościowy, zwłaszcza weselny.

Natomiast typowymi wypiekami okresu Wielkanocy są m.in. niemiecki kołacz osterfladen (rodzaj chałki o okrągłym kształcie, posmarowany lukrem i ozdobiony płatkami migdałów), szwedzkie ciastko semla, popularne też w Norwegii, Finlandii i Estonii (wypełnione słodkim nadzieniem z bitej śmietany i masy migdałowej), hiszpańska mona de Pascua (okrągłe ciasto z jajkiem w środku), czeskie judasze (drożdżowe ciastka zaplatane podobnie jak faworki i podawane z miodem) czy słodki chlebek zwany



Baby drożdżowe, mazurki i serniki trzymają się dzielnie, ale coraz częściej na polskich stołach wielkanocnych pojawia się też on – sękacz. Gość z Suwalszczyzny i Podlasia, którego znają również na Kaszubach.

Ten oryginalny – co to dawniej potrzebował kopy jaj, mocy ognia, a przede wszystkim cierpliwości – nie masobierównych. Kto go raz spróbował, nie zamieni na wyroby sękaczopodobne.

Swój charakterystyczny, kolczasty wygląd zawdzięcza sposobowi pieczenia, gdy rzadkie ciasto wylewasię na drewniany walek, który przez około trzy godziny powoli obraca się nad źródłem żaru. Dawniej był to otwarty ogień (dziś coraz częściej zastępowany przez elektryczne zamienniki). Pozostaje jednak to, co najważniejsze w całym procesie – czas działania wysokiej temperatury na kolejne warstwy ciasta. Taki sposób wykonania wpływa



na trwałość sękacza, porównywalną jedynie z oryginalnymi piernikami.

Liczy się też naturalny skład: jaja, cukier, mąka, masło i śmietana. Marzena Karawiecka z rodzinnej manufaktury w Sejnach, specjalizującej się w tradycyjnych wypiekach, się zżyma: – Żadnej

margaryny, masła roślinnego ani proszku do pieczenia! To nie sękacze, tylko jakieś baby z różną! I dodaje: – Sękacz powinien być pulchny tylko dzięki pianie z białek, a nie spulchniaczom. Na tym polega jego wyjątkowość i smak. To zasługa dużej liczby jajek, porządnej mąki, prawdziwego masła i śmietany.

przez Gereków tsoureki.

W Bernie na Wielkanoc piecze się osterfladen (tartę z masą złożoną po równo z migdałów i ryżu, spulchnioną ubitym białkiem), w Słowenii – potratną poticę. Tradycyjnie liguryjska torta pasqualina może mieć do 33 warstw (każda symbolizuje rok życia Chrystusa).

O tym, jak przygotowywane są „Wielkanocne wypieki w Europie” (z obszerną częścią poświęconą naszym zachodnim sąsiadom, skąd wyrusza ciekawa tradycyjnych dań ekipa), będzie się można dowiedzieć z niemieckiego dokumentu, który w świąteczny poniedziałek o godz. 13.05 pokaże TVP. Jest tam też fragment poświęcony polskimi tradycjom (filmowcy trafili w okolice Tarnowa, gdzie królowała wielkanocna baba).

Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY

Zdrowy kokos

ANNA MONICKA

Czasem gdy rano wchodzę do kuchni i zaglądam do lodówki, ogarnia mnie zmęczenie materialem. Niby wszystko jest, ale jak długo można jeść codziennie na śniadanie kanapki, nawet ich najróżniejsze wariacje, czy jajka na miękko. Wtedy nadchodzi czas eksperymentów, którym zawsze z radością przyglądają się moje koty. Ostatnio dużo czasu spędzają albo w kuchni, albo na pograniczu, ostentacyjnie gapiąc się na piekarnik i pomiaukując na mnie przeszywającymi głosami, gdy tylko się zjawię i zacznę działać. Czy by tu dziś zaskoczyć dziecko, żeby się rozchmurzyło? Coraz o to trudniej, bo ślęczenie całymi dniami przed komputerem zaczyna odciskać piętno na psychice: gorzej śpi, jest rozdrażniona, ma migrenowe bóle głowy. Zamknięta w swoim pokoju jak w klatce zaczyna się coraz bardziej miotać i moje kulinarne starania nie zawsze wystarczają, ale próbuję. Chcę, żeby przynajmniej miło zaczęła dzień. Od czegoś zdrowego i ładnie wyglądającego.

Ostatnio zrobiłam placki z tartym jabłkiem – owoce o tej porze roku są już kiepskie, nie mogą długo poleżeć, bo szybko tracą wilgoć. Takie mniej chrupkie można zetrzeć na tarce i wykorzystać do sałatek z marchewką, ananasem i limonką (pyszna, orzeźwiająca) albo wypieków. Placuszki robi się błyskawicznie: dwa jabłka, gęsty jogurt, 3–4 jajka, 2–3 łyżki mąki kokosowej (albo pół na pół z pszenną), łyżka miodu lub cukru, można dodać cynamon. Najpierw robimy ciasto, potem dodajemy jabłka, w tej kolejności lepiej połączą się składniki. Smażymy na grubej patelni albo pieczemy na blasze. Ja zdecydowanie wolę piec, bo jedzenie jest lżejsze, mniej tłuste.

Placuszki z mąką kokosową mają ciekawy smak – jeden z kotów włamał się do szafki, żeby się do nich dostać. Ludzom też smakowały, posypane ciemnym cukrem. Są zdrowsze, a ten wariant bez mąki pszennej mogą jeść osoby nietolerujące glutenu. Kokosowa nie zawiera też cholesterolu, jest za to bogata w błonnik (ma go nawet 10 razy więcej niż zbożowa) i minerały. Powstaje z miąższu orzecha kokosowego, odtłuszczonego w czasie pozyskiwania oleju i mleka; jest tak naprawdę produktem ubocznym. Warto po nią sięgać, robiąc koktajle, smażąc naleśniki, piekąc ciasta.

Fot. Shutterstock, archiwum autora



WILCZYM OKIEM

Zwierzęta w planie zbawienia

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na ogół nie zwracamy uwagi na to, jak znaczącą rolę odgrywają zwierzęta w historii zbawienia. Dzięki Bożej wszechmocy wszystko mogłoby się odbyć bez nich, a jednak otrzymały do wypełnienia zadania, z których wywiązały się bez zarzutu. Choć w tekście Pisma Świętego – z wyjątkiem Księgi Rodzaju – pojawiają się epizodycznie, są to epizody kluczowe.

Ryby, którym przyglądaliśmy się już wcześniej, wielokrotnie służyły uczniom Jezusa i samemu Jezusowi jako posiłek, brały również udział w cudach, chociażby rozmnożenia pokarmów; ryba dostarczyła św. Piotrowi także monetę do opłacenia podatku. W końcu sylwetka ryby stała się symbolem chrześcijan.

Wiele lat wcześniej olbrzymia ryba połknęła Jonasza i bezpiecznie przepawiła przez morze, aby wypełnił swoją misję. Jednocześnie, pochłaniając proroka i uwalniając go całego i zdrowego, jakby nowo narodzonego, włączyła się w ciąg znaków zapowiadających Zmartwychwstanie.

Możemy próbować oznaczyć rybę Jonasza jako rekina wielorybiego *Rhincodon typus* (dorastającego do ok. 20 m długości) lub nieco mniejszego rekina długoszpary *Cetorhinus maximus*. Oba odżywiają się planktonem, mają w zwyczaju wolno płynąć tuż pod powierzchnią wody z szeroko otwartą paszczą. Czy w takiej paszczy mógł się znaleźć Jonasz? Niektóre ryby istotnie „połykają” swoje potomstwo, żeby chronić je w razie zagrożenia. Choć nie zaobserwowano dotychczas tego zwyczaju u wspomnianych rekinów, są to gatunki słabo poznane, niczego nie można więc wykluczyć – również zachowania, które mogłoby skutkować schwytaniem i przewiezieniem przez morze Jonasza. Dlaczego w Piśmie Świętym miałyby się znaleźć historia wymyślona? Przecież Jonasz mógł się uratować z odmetów na wiele innych sposobów. Nie zapominajmy też, myśląc w kategoriach „możliwe”/„niemożliwe”, że Zmartwychwstanie, dla wielu również nie do pojęcia, jednak się dokonało.

Spośród zwierzęcych bohaterów warto się przyjrzyć jeszcze jednemu, mianowicie osiołkowi, na którym Jezus wjechał do Jerozolimy. Osioł nie jest po prostu osłem, lecz osłem domowym *Equus asinus*, zwierzęciem o ciekawej historii. Pochodzi od dzikiego osła afrykańskiego *Equus africanus*, występującego obecnie na wolności jeszcze z rzadka w północnej Afryce, udomowionego wiele tysięcy lat temu w starożytnym Egipcie.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Bardzo różne rodziny

Odsunięcie w 2015 r. od władzy Platformy Obywatelskiej, partii absolutnie szkodliwej dla Polski, to głównie zasługa samodzielnie myślących Polaków, głosujących wtedy wbrew oficjalnej propagandzie na Prawo i Sprawiedliwość. Zdecydowały o tym konkretne fakty, a nie tak zwane narracje, tym bardziej nie „Fakty” TVN czy „Fakty po Faktach”. Nadal duża część elektoratu PiS funkcjonuje na wsi oraz w małych miejscowościach, a jeśli w miastach dużych, to jest to zwykle myśląca mniej zamożna część społeczeństwa, raczej niebędąca beneficjentem starych czasów.

Ergo tak zwani nowocześni, elektorat lewicy i PO, zostali wchłonięci przez duże miasta, w których korporacje, głównie zagraniczne, poszukiwały chętnych do zrobienia szybkiej kariery według zachodnich wzorców. Szczytem sukcesu w tym środowisku jest osiągnięcie stanowiska „dyrektor do spraw zasobów ludzkich”, co kiedyś, za komuny i potem, znaczyło po prostu tyle co bycie dyrektorem od spraw kadr, czyli popularnym kadrowym. Ale także wtedy, co warto pamiętać, kadrowym zostawał pracownik cieszący się największym zaufaniem w kierownictwie firmy. A ten kadrowy często był też funkcjonariuszem tajnych komunistycznych służb, czyli na podwójnym etacie.

I tak nowy elektorat, szukający w dużych miastach okazji do zrobienia kariery, przysłużył się do powstania tak popularnych określeń jak „słoi”, „wykształceni z wielkich miast”, „kopoludki”, a w Warszawie „ludzie z Mordoru”. Ich cechą wspólną jest głęboka niechęć do wszelkich sił prawicowych, narodowych, katolickich oraz konformizm, tak sprawdzony w latach komuny, w myśl sowieckiego powiedzonka: *tisze budziesz, dalsze jedziesz*. A to nie to samo co staropolskie: pokorne cielę dwie matki ssie. Trudno wśród tego towarzystwa znaleźć przeciwników aborcji, homopatrii, „małżeństw” homoseksualnych, związków LGBT i nowomowy, zwanej dziś poprawnością polityczną, czyli cenzury. Istniała ona głównie za komuny i miała formę ostrą (wszelki zakaz krytyki komunizmu) oraz łagodniejszą, czyli gdybanie na podstawie specyficznego szyfru ukrytego w komunistycznej prasie („czytanie między wierszami”), sugerującego, jakie poglądy są mile widziane kierownictwu partii, a jakie wręcz przeciwnie. No i najważniejsze – podpowiadały, co myśli obecnie Moskwa, kogo popiera, a kogo potępia.

Mam wrażenie, że młody czytelnik niewiele rozumie z tego, co do tej pory napisałem, ale zachęcam do czytania do końca, tym bardziej że dla ludzi bez własnego zdania, na służbie konformizmu, dziś Moskwę

zastąpiła Bruksela, siedziba Unii Europejskiej, a postawy niechciane gorliwie piętnuje nasz wymiar sprawiedliwości, wciąż niestety mocna skamielina po starym systemie.

Kazimierz Sokołowski z Gorzowa Wielkopolskiego zaparkował przed miejskim szpitalem furgonetkę z napisem „W gorzowskim szpitalu zabijają dzieci nienarodzone”. Co jest prawdą. Z powództwa szpitala sprawa trafiła do sądu, który uznał, że napis na furgonetce naraża placówkę na utratę zaufania i skazał Sokołowskiego na 4 tys. zł grzywny i dodatkowo 4 tys. wpłaty na konto WOŚP oraz koszty sądowe około 2 tys. zł. Jak widać, „Jurka O.” i jego prywatny biznes lubią wspomagać nasze sądy.

Kazimierz Sokołowski to człowiek, który w latach 80. odmówił przysięgi wojskowej na wierność Armii Radzieckiej, za co trafił do ciężkiego więzienia w Rawiczu, potem protestował przeciwko decyzji komunistycznych władz uczynienia jednego z bunkrów Międzyrzeckiego Rejonu skladowiskiem odpadów radioaktywnych, potem gdy założył myjnię samochodową o nazwie „Szaniec”, policja ścigała go za zawieszanie na masztach polskich flag narodowych, bo nie w dniu świąt państwowych. Teraz jest jednym z wolontariuszy Fundacji Pro – Prawo do Życia, znowu niepokornym i znowu prześladowanym.

Młodzi – pytanie do was, czy nie jest jednak po słusznej stronie?

Sokołowski ma córkę Marysię. Przypomnę, tę samą, która w 2014 r. jako 17-letnia licealistka zasłynęła mocnym tekstem o Donaldzie Tusku, pisząc, że jest zdrajcą narodu. Wyluszczyła to w 10 punktach, poza tym pisze romantyczne wiersze. Uważam, że miała swój ważny wkład w początek dobrej zmiany u młodego pokolenia Polaków. Kazimierz Sokołowski to rówieśnik słynnego redaktora Tomasza Lisa. Rocznik 1966. Obaj z tego samego miasta i obaj mają córki w tym samym wieku. Po słowach Marysi o Tusku Tomasz Lis domagał się od jej ojca przeprosin. A córka Lisa dała się zauważyć po wpisie w Pudelku: „Weekend bez sushi jest weekendem straconym”.

Od przeszło dwóch lat Tomasz Lis promuje wulgarne hasło uderzające w PiS. Hasło to ukryte pod ośmioma gwiazdkami jest oczywistym przykładem mowy nienawiści. A wymyślił je raper Taco Hemingway; jak piszą pudelkowe media, chłopak jednej z córek Tomasza Lisa.

Lisowie i Sokołowsky – to naprawdę dwie różne rodziny.

www.wojciechreszczyński.pl



Zmiany w mieszkalnictwie ze wsparciem BGK!

Wciąż wielu średnio zarabiających Polaków ma trudność z uzyskaniem własnego lokum, korzystne mogą być zmiany w budownictwie społecznym, wspierane przez Bank Gospodarstwa Krajowego!

W wyższe granty dla gmin, utworzenie Rządowego Funduszu Rozwoju Mieszkalnictwa i wprowadzenie możliwości dojścia do własności dla najemców i lokatorów mieszkań w programie wspierania społecznego budownictwa czynszowego (SBC) – oto najważniejsze zmiany, które w budownictwie społecznym wprowadza nowa ustawa mieszkaniowa! Zawarte w pakiecie mieszkaniowym zmiany będą korzystne dla inwestorów, czyli społecznych inicjatyw mieszkaniowych, towarzystw budownictwa społecznego oraz spółdzielni mieszkaniowych i spółek komunalnych, a także dla samych najemców, którzy zyskają nowe możliwości.

Pakiet mieszkaniowy podnosi wysokość grantów z Funduszu Dopłat, które BGK przyznaje gminom. Jak dotąd bezzwrotne wsparcie w przypadku mieszkań na wynajem wynosiło 20 proc. kosztów inwestycji, teraz zaś może wynieść nawet 35 proc. Dotychczas te środki stanowiły refundację już poniesionych kosztów, po zmianach gminy będą mogły je dostać przed rozpoczęciem inwestycji. Gminy będą też mogły otrzymać wsparcie na utworzenie lub dofinansowanie społecznej inicjatywy mieszkaniowej (SIM – nowy odpowiednik TBS) i dofinansowanie istniejącego TBS. Środki będą przyznawane z Rządowego Funduszu Rozwoju Mieszkalnictwa, który tworzy ustawa. Wysokość wsparcia udzielonego gminie może wynosić jednorazowo maksymalnie nawet 3 mln zł dla nowej spółki, a w przypadku działającej spółki maksymalnie do 10 proc. wartości kosztów planowanej inwestycji mieszkaniowej. Wyплаты środków będzie realizował

właśnie BGK, ale wnioski o wsparcie z funduszu należy składać do Ministerstwa Rozwoju, Pracy i Technologii za pośrednictwem Prezesa Krajowego Zasobu Nieruchomości.

Po zmianach ustawowych najemcy i lokatorzy mieszkań sfinansowanych w programie SBC mogą z czasem zostać ich właścicielami! Jak wskazuje Dariusz Stachera, dyrektor Departamentu Kredytowych Programów Mieszkaniowych w BGK: – Dotychczas mieszkania były objęte zakazem wyodrębniania własności. Teraz mieszkańcy będą mogli wykupić zarówno nowo powstające mieszkania, jak i te, które dotychczas powstały w programie SBC.

Z takiej możliwości mogą skorzystać najemcy będący co najmniej pięć lat stroną umowy partycypacji kosztów budowy mieszkania. Jeśli inwestycja powstała z dodatkowym wsparciem Funduszu Dopłat, ten okres wynosi 15 lat. Przeniesienie własności mieszkania wymagać będzie w takim przypadku zgody inwestora. Uzyskanie prawa własności będzie możliwe również po całkowitej spłacie kredytu przez inwestora.

Jednak to nie koniec zmian. Budowa oraz modernizacja budynków i lokali komunalnych także będzie tańsza i łatwiejsza do realizacji! Znowelizowana ustawa zwiększa bowiem kwoty dofinansowania dla gmin do 80 proc. całkowitych kosztów przedsięwzięcia. Zmiany w ustawie umożliwiają również bardziej elastyczne łączenie środków z Funduszu Dopłat i Funduszu Termomodernizacji i Remontów oraz finansowanie przedsięwzięć już rozpoczętych.

Jak mówi Przemysław Osuch, dyrektor Departamentu Funduszy Mieszkaniowych w BGK: – Dotąd wsparcie

w budowie budynków komunalnych wynosiło 35–45 proc. Po zmianach wsparcie to wzrośnie aż do 80 proc. kosztów projektu. To przełomowa zmiana, która pozwoli wybudować więcej budynków komunalnych oraz skrócić kolejki Polaków oczekujących na mieszkanie komunalne.

Zmiany ustawowe umożliwiają także finansowanie przedsięwzięć już rozpoczętych, takiej możliwości wcześniej nie było. Dziś wniosek o grant z Funduszu Dopłat można złożyć w trakcie realizacji inwestycji, ważne, aby nie była ona zakończona.

Jak dodaje Przemysław Osuch: – Wsparcie dla gmin w postaci premii remontowej na remont zamieszkanego budynku komunalnego wynosi teraz 50 proc. kosztów realizacji takiego projektu. Natomiast w sytuacji, gdy budynek jest zabytkowy, wsparcie wzrasta do 60 proc.

Nabór wniosków o dofinansowanie z Funduszu Dopłat, a także Funduszu Termomodernizacji i Remontów odbywa się w trybie ciągłym – to umożliwia wnioskodawcom elastyczne ubieganie się o wsparcie. BGK już od lat pomaga samorządom w realizacji projektów mieszkaniowych – wspiera dotacyjnie gminy, dofinansowuje spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe w realizacji projektów. Osuch podsumowuje: – Wszystkie nasze działania sprawiają, że stale poprawiamy warunki mieszkaniowe i jakość życia Polaków.

Warto też dodać, że do końca marca trwa wiosenny nabór wniosków w programie wspierania Społecznego Budownictwa Czynszowego! Jest o co walczyć, bo pula dostępnych w tej edycji środków wynosi ponad 1,5 mld zł!

Arkady Saulski

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Ad astra

Swiat idzie z postępem, a jakże! To zależy tylko od przyjętej pozycji. Bo wystarczy zamiast z punktu A do punktu B wędrować z punktu B do punktu A i już jest postęp. Bo przecież wstecz znaczy to, co mamy za plecami, a do przodu to, co bierzemy na klatę. Proste? Proste! No i ja ten postęp widzę wszechstronnie, zwłaszcza w sferze języka. Kiedy już mi się zdawało, że „zaopiekowane” dzieci i rozwiązania „dedykowane” seniorom stanowią szczyt prostactwa językowego, to niebawem potem usłyszałem o „stonce, którą trzeba strącić”, a wcześniej o „dożynaniu watahy”. Znow zrobiłmy postęp. Per aspera ad astra (przez trudy do gwiazd) – jak głosi łacińska sentencja. No i my wspinały się pod niebiosy. Nasamprzód bardzo dosłownie złotymi ustami kolosalnej Marty Lempart, a teraz właśnie przez gwiazdy w liczbie ośmiu. Kopernik z Wolszczanem się chowają, bo mamy nowych astronomów. Odkrycie jest tak doniosłe, że nawet zrobiło karierę pop (na Budkowym torcie) i weszło do kanonu mów pogrzebowych błyskotliwą mową Frasyniuka nad trumną Lityńskiego. Tortem jak i jego właścicielem nie będę się zajmował, bo nie param się ani pedagogiką specjalną, ani resocjalizacją. Natomiast mowa Frasyniuka miała charakter profetyczny. Otóż z ośmiu gwiazdek uczynił nieboskłon, do którego ma podążać młodzież, uczynił obiekt, który ma przyćmić samego Boga (jak znam życie to tęczowym światłem), bo on, Frasyniuk, tak to sobie wymyślił. Niewiarygodne!

Zastanawiam się, po co są pogrzeby, na których obok zmarłych kładzie się do grobu przyzwoitość. Wszak gdyby osiem gwiazd odszyfrować, to w końcu wyszłoby, co Frasyniuk chciał powiedzieć nad grobem Lityńskiego, po prostu „je...ć PiS”. Nikt spośród obecnych nie miał wątpliwości, o co chodzi, i nikt nie zaprotestował, wszyscy się na to godzili. Pławiący się przy każdej okazji we własnych słowach aktor Andrzej Seweryn też. Idzie nowe i przy następnym takim pogrzebie ktoś odczyta zupełnie bezgwiazdkową przemowę napisaną przez Lempart, gdzie k...a będzie ledwie przecinkiem, wyp...ć wykrzyknikiem. Trzeba iść do przodu! I jak znam życie, gwiazdki wyjdą z użycia dopiero, gdy do Polski dotrze nota dyplomatyczna z Tel Awiwu, że nadużywanie sześciocyfrowych gwiazd godzi w Państwo Izrael i że prawa autorskie do tego znaku ma król Dawid, a zatem musimy zapłacić jego spadkobiercom odszkodowanie. Do Frasyników, Michników i Blumsztajnow nic innego nie przemówi.

Gdy już mi minęły nerwy i wydawało się, że nic gorszego mnie nie spotka, to się dowiedziałem, że Rada Języka Pol-



**Aleksander
Nalaskowski**

skiego uznała, że słowo „murzyn” jest fuj i nie zaleca go używać. Moja wnuczka uwielbia takie ciepłe lody o nazwie „murzynki”. To jak będzie mówić: „Poproszę jednego Afrykanina”? Czyli kawałek tkanki językowej mamy sobie sami amputować, bo Rada wzięła na siebie obowiązki ambasadora całej Afryki. Znalazł się nawet habilitowany naturszczyk, który oczekuje wykreślenia „W pustyni i w puszczy” z listy lektur, bo rasistowskie, antyarabskie i fundamentalistycznie chrześcijańskie, a dodam, że pedofilskie, bo wiadomo ten Staś z tą Nel... Teraz kolej na „Ogniem i mieczem”, bo tam znowu lejemy Kozaków, a Ukrainie się dzisiaj przecież okropnie podlizujemy. Myślę, że to kandydatura do Pokojowej Nagrody Nobla, bo takim właśnie teraz tę nagrodę przyznają.

Zajrzałem do składu Rady Języka Polskiego (dostępny w Wikipedii – polecam) i włos mi się na głowie zjeżył. Bo tam same tuzy profesorskie z medialnymi piewcami „Ojczyzny-polszczyzny” na czele. W tym samym czasie, całkiem przypadkiem rzecz jasna, Parlament Europejski opublikował listę słów źle widzianych, proponując stosowne zamienniki. Już mówienie „cukrzyk” nie jest OK. A czy ja sam mogę na siebie tak mówić, czy nie? Warto uściślić. Nie powinno się mówić „homoseksualista”, lecz „gej”. Tylko co z podręcznikami dla medyków? Nie zaleca się używania określenia „nielegalni imigranci”, lecz „migranci o nieuregulowanej sytuacji prawnej”. To może idźmy dalej i nie mówmy „złodziej”, lecz „osoba z o nieuregulowanym statusie własności przedmiotu”? Na razie są to zalecenia. Na razie, bo za rok dwa zamienią się we wskazówki, potem w polecenia, a na końcu będą strzeżone prawem i każde użycie takiego „starego” słowa będzie mową nienawiści i za to pójdzie się siedzieć. To naprawdę nie Orwell, to nowy wspaniały świat. Świat pod rozpiętym nieboskłonem ośmiu gwiazd.

Na koniec coś o myśleniu językiem, myśleniu słowami. Oto Anna Maria Żukowska na antenie TVP zgłosiła swój akces do Nobla z medycyny, stwierdzając, że „biologiczny mężczyzna może urodzić dziecko”. Dziennikarza i kilka milionów ludzi zamurowało dokumentnie. Mnie też. A gdy dziennikarz chciał się dowiedzieć czegoś więcej na temat tego przełomowego odkrycia, to stwierdziła, że nie jest przygotowana do takich wyjaśnień, ale ujawniła, że taki biologiczny mężczyzna rodzi dziecko, bo ma macicę. Ciekawym, jaki zamiennik dla określenia „kretyn” wymyślił PE? Nie mogę się doczekać.

A swoją drogą, do końca życia będę mówił tak, jak uczyła mnie matka i książki Wańkowicza. I nie inaczej!

PRZEZ ŚWIETLIK

Po pysku



**Wiktor
Świetlik**

Chyba Opatrzność w swojej bezgranicznej mądrości i sprawiedliwości jeden błąd jednak popełniła. Z Rosją powinna graniczyć Holandia, a nie Polska.

Jak to się stało, że Adolf Hitler zdołał bez jednego wystrzału złamać wszystkie zasady, do których zobowiązano Niemcy po I wojnie światowej, a w końcu zająć Nadrenię, Austrię, Czechosłowację? Po prostu wszystkich straszył. Najpierw wziął do siebie austriackiego kanclerza, potem dwa razy angielskiego premiera, potem prezydenta Czechosłowacji i za każdym razem to samo. Wsiadał na faceta. Nie dawał pola do żadnych negocjacji, a jak już tamten wymiękł całkiem, to na koniec dał zapalić papierosa, zjeść obiad albo dyplomata Ribbentrop poklepał go pocieszająco po plecach. Gość był złamany, oddawał wszystko Hitlerowi, a potem wracał do swojego kraju i tworzył do tego uzasadnienie: Austriacy nie chcą niepodległości, pokój jest najważniejszy, musimy chronić biologiczną tkankę narodu i tak dalej.

Myślę jednak, że w taktyce pana Adolfa, tak skutecznej, przynajmniej dopóki nie trafił na Polskę, pewną rolę mogła odgrywać jeszcze jedna sprawa. Są ludzie, którzy po prostu lubią dostać w pysk lub być poniżani. Kręci ich to. Tak musi być z częścią rządzących Holandią elit politycz-

nych. Po zestrzeleniu w 2014 r. przez rosyjskich „partizanów” na Ukrainie malezyjskiego samolotu MH17, którym podróżowali w większości Holendrzy, rząd w Hadze ogłosił zamrożenie stosunków dyplomatycznych i handlowych z Rosją. Jak wykryli niedawno niderlandzcy dziennikarze (chwała im za to), było to zamrożenie mocno nieprawdziwe, bo tak naprawdę w 2017 r. holenderski rząd wznowił zakulisowe kontakty dyplomatyczne z Rosją, a holenderscy urzędnicy regularnie kursowali na Kreml, aby omawiać projekt Nord Stream 2.

Nie trzeba dodawać, że w tym czasie politycy i holenderska prasa bliska politycznemu mainstreamowi intensywnie się zajmowali strasznymi działaniami polskiego rządu, które tak bardzo rozbijają jedność europejską. Myślę, że tej jedności mogłoby pomóc tylko jedno. Gdyby to Haga, a nie Warszawa znalazła się w obszarze rażenia rosyjskich rakiet Iskander. Choć holenderskie elity polityczne wtedy po prostu zapewne otworzyłyby granice i szybko nauczyły się rosyjskiego. W końcu idea zjednoczonej Europy zawsze była im bliska.

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Rysuje Jerzy **Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Wielkanocne déjà vu

Tegoroczna Wielkanoc szykuje się jak kopia poprzedniej

To, co wydawało się w zeszłym roku jednorazowym odstępstwem od obrzędów wielkanocnych, powoli staje się nową świecką tradycją. Świecką, bo bez uczestnictwa w triduum paschalnym, bez chodzenia na groby, bez procesji rezurekcyjnej, bez święconki, trudno mówić o głębokim przeżyciu religijnym. A do tego przeciwnicy katolików taką sytuację traktują jako osobisty sukces. Najgłośniejsze o zamykania kościołów nawołują ci, którzy do nich nie chodzą.



Ryszard Makowski

Jest jednak ogromna różnica psychologiczna między poprzednią a obecną Wielkanocą. Wtedy się wydawało, że lockdown jest lekiem na całe zło. Dostosujemy się na jakiś czas do dystansu, do odosobnienia, do maseczek i wirus się ulotni. Dzisiaj widzimy, że to nie takie proste. Nawet pojawienie się szczepień nie zwiększa dawki optymizmu. Politycy, którzy – wiadomo – chcą dla nas jak najlepiej, też powoli tracą głowę.

W Niemczech pod wpływem protestów wycofano się ze świątecznych restrykcji. Co więcej, kanclerz Angela Merkel wydała oświadczenie: „Ten błąd jest wyłącznie moją winą. Głęboko tego żałuję i za to proszę o wybaczenie wszystkich obywateli”. Parafrazując Bohdana Smolenia: „A mnie nikt nie przeprosił”.

Co nam przyniesie w tym roku zajacek? Każdy westchnie: „Niech przyniesie zdrowie”. Tak to sfatygowane i – wydawałoby się – aż nadto standardowe życzenia „zdrowia” nabrały w obecnych czasach wartości. Wyśmiewane: „Zdrówka!”, też się teraz przyda. Bo trudno się wygłupiać i w tej sytuacji życzyć: „Wesołych Świąt”.

Michał Korsun prezentuje:
Robert Lewandowski - najlepszy ambasador Polski



Wycinki z przeszłości

Ucieszyła nas informacja, że odkładany kilkakrotnie „debiut” Jana Matejki w The National Gallery w Londynie ma wreszcie dojść do skutku. Pokaz obrazu „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem” planowany jest od 21 maja do 22 sierpnia br.

Z tej okazji sięgamy w naszym archiwum do pisma „Światowid” z 4 listopada 1933 r., który z okazji rocznicy śmierci Mistrza przygotował specjalne wydanie. Okładkowe zdjęcie pokazywało Matejkę „u schyłku życia w swej pracowni przy ulicy Floriańskiej w Krakowie”, obok rozpoczętego obrazu „Konstytucja 3 Maja”.

Z obszernego numeru „Światowida” wynotujemy te wzruszające słowa: „Płótna Matejki po dziś dzień zdumiewają, zadziwiają i porywają. Jest w nich bowiem nie tylko rozmach gigantyczny, faktura najdoskonalsza i objawienie najczystsze, ale jest przede wszystkim idea. Śmiało można powiedzieć, że pokolenie niewoli modliło się przed obrazami Matejki niby przed ołtarzami narodowymi i stawało małe i bezradne wobec tych wizji bohater-skich, wyczarowanych pędzlem mistrza. Dziś te obrazy, pomimo zmienionych warunków, nie spłowiły i nie zmalowały. Są bowiem poczęte z entuzjazmu, który jest zaczął wielkiej prawdziwej sztuki i mają w sobie zaród nieśmiertelności, jak wszystko, co się rodzi z geniuszu”.

Święte słowa.

(mk)



Te dwie linijki...

Czytam, uśmiecham się, zamyślony nad urodą tego wiersza, nad pięknem tego obrazka. – Pewnie już sprzed około wieku? Pewnie na jakichś obrazach, w galeriach można jeszcze przywołać taką „wiosnę w tamtym stylu”. Zapisaną w tamtej poetyce. Ileż się zmieniło? Próżno by się rozglądać i trudno by szukać potwierdzenia tej „Lechoniowej rzeczywistości”. Ale te dwie ostatnie linijki... tamtej Wielkanocy? Niezmienne trwają... I dziś?



Leszek Długosz

Jan Lechoń 1899–1956 Wielkanoc

Droga, wierzba sadzona
wśród zielonej łąki,
Na której pierwsze jaskry
żółcieją i mlecze.
Pośród wierzb
po kamieniach wąska
struga cieczę,
A pod niebem wysoko
śpiewają skowronki.

Wśród tej łąki wilgotnej
od porannej rosy,
Droga, którą co święto
szli ludzie ze śpiewką,
Idzie sobie Pan Jezus,
wspólni i bosi
Z wielkanocną przebitej
dłoni chorągiewką.

Naprzeciw idzie chłopka.
Ma kosy złociste,
Łowicka jej spódniczka
i piękna zapaska.
Poznała Zbawiciela
z świętego obrazka,
Upadła na kolana
i krzyknęła: „Chryste!”.

Bije głową o ziemię
z serdeczną rozpaczą,
A Chrystus się pochylił
nad klęczącym ciałem
I rzeknie: „Powiedz
ludziom, niech więcej
nie płaczą,
Dwa dni leżałem w grobie.
I dziś zmartwychwstałem”. ▀

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Bałamutne maksymy

Opowieść biegła tak: wokół powszechnie szanowanego rabina (oczywiście z miasta Łodzi) znajdującego się na łożu śmierci zgromadzili się uczniowie, prosząc, by w ostatnich słowach przekazał im jakąś ważną naukę. Rabin powiedział: „Wszystko jest inaczej”.

MIAŁ RACJĘ I NIE MIAŁ

Kłopot w tym, że przekaz rabina zarazem jest prawdziwy oraz fałszywy. A na pewno nieprecyzyjny.

Gdyby słowo „wszystko” pojmować dosłownie, to rabin wprowadza w błąd, bo pewne podstawowe prawdy się jednak ostają. Gdyby tę zwodniczo prostą wypowiedź umierającego rozłożyć na czynniki pierwsze, to trzeba by uściślić, że mówiąc „wszystko”, rabin miał na myśli tylko niektóre aspekty ludzkiego świata – pewnie przede wszystkim nasz sposób postrzegania rzeczywistości. Najwyraźniej dopiero leżąc na łożu śmierci, rabin uzmysłowił sobie, że czegoś innego powinien był nauczać. Że droga do drugiego człowieka, że droga do Boga i do samego siebie polega na czymś innym, niż się zazwyczaj głosi.

ANALIZOWAĆ PROSTE

Ku jakiemu „inaczej” mieliby podążać teraz młodzi, oświeceni przez składającą się z trzech słów maksymę? Niełatwo analizować rzeczy, które wydają się proste. Jak bowiem rozłożyć na czynniki pierwsze coś tak prostego, że aż zdawałoby się niepodzielnego? Przekaz zbudowany z trzech słów ma jednak złożoną strukturę ze względu na to, że jest zawieszony w gęstym kontekście kultury – w sieci znaczeń i wyraźnych, i też mglistych.

MIND*CK

Tak właśnie wygląda tytuł wydanej także po polsku interesującej książki



*Ogrom wiedzy, po którą
możemy (czysto teoretycznie,
ale możemy) sięgnąć
w internecie, wcale nie
oznacza rozumności*

sygnalisty Christophera Wylie, której podtytuł brzmi: „Cambridge Analytica, czyli jak popsuć demokrację”.

Ta książka to próba rozgrzeszenia się młodego człowieka (ur. 1989 r.), który istotnie przyczynił się do owego psucia demokracji. Wylie dużo rozumie, potrafi to interesująco przekazać, ale najwyraźniej nie dotarł jeszcze do mądrości z poziomu łódzkiego rabina.

Opisuje, jak po doświadczeniach z kampanii wyborczej Baracka Obamy z roku 2008, a następnie nieudanej współpracy z działaczami Liberalnej Partii Kanady, których Wylie nieskutecznie przekonywał do prowadzenia kampanii opartej na danych i algorytmach sztucznej inteligencji, pojechał na studia do Londynu. Planował rozstanie z polityką. Ale zachęcany przez partię Liberalnych Demokratów do podjęcia pracy dla nich Wylie wahał się. Przekonała go wisząca na ścianie jednego z pokoi biurowych partii kartka. Zawierała

fragment deklaracji ideowej Liberalnych Demokratów: „Nikt nie powinien być niewolnikiem ubóstwa, ignorancji i konformizmu”.

A co, jeśli także do tych słów odnosi się maksyma: „Wszystko jest inaczej”? A jeśli i tutaj o wszystkim stanowi niewidoczny kontekst, którego nie da się uchwycić w żadnej pojedynczej formule?

PRÓBY, BŁĘDY, NAUKA

Czy czasem nie jest dobrze dla rozwoju (zwłaszcza osoby młodej) zaznać ubóstwa, by zobaczyć, na ile sprostamy trudom? A jeśli niewiedza czasem jest łaską? A czy dzisiejszy świat, po dziurki w nosie napakowany internetową wiedzą i „wiedzą”, potrafimy wyprowadzić z niedostatku? Czyż to nie właśnie supernowoczesne tzw. społeczeństwa wiedzy przyczyniły się do nigdy wcześniej nieistniejącej koncentracji bogactwa w rękach nader nielicznych, którzy – jakoś tak się złożyło – zarazem kontrolują wielkie bazy danych, czyli największy rezerwuar wiedzy, jaki istniał w dziejach ludzkości?

A jeśli bogactwo, ogrom wiedzy i hiperindywidualizm wcale nie oznaczają mądrzejszego życia jednostki i lepszegoładu społecznego?

Brak doświadczenia ubóstwa może prowadzić do narcyzmu i obojętności na potrzeby ludzi, dla których los okazał się niezbyt łaskawy. Ogrom wiedzy, po którą możemy (czysto teoretycznie, ale możemy) sięgnąć w internecie, wcale nie oznacza rozumności. Pewien poziom konformizmu – np. poszanowania zasad społecznego współżycia – jest niezbędny, by nasze zachowania były przewidywalne dla innych, byśmy się szanowali i czuli bezpiecznie.

Chociaż nie *wszystko* jest inaczej, to bardzo wiele z tego, co najważniejsze, *jest zupełnie inaczej*, niż mówią to motywacyjne maksymy.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:



CYFROWY
POLSAT

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



100 płyt
w prezencie

*Piękna płyta „Słynne włoskie arie operowe”
w wykonaniu obdarzonej niezwykle głośnie i znakomitej
polskiej sopranistki **Anity Rywalskiej-Sosnowskiej***

Partner płyty:



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW LUB PRZEDŁUŻ ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika **SIECI** i magazynu **wSIECI HISTORII** za **280 zł**,
a płytę **Słynne włoskie arie operowe** otrzymasz **GRATIS!**



Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.